# OBRAZKI WIEJSKIE.

PRZEZ

D-RA J. TCHÓRZNICKIEGO.



PETERSBURG.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI BR. RYMOWICZ.

1892

Дозволено Цензурою. С.-Петербургъ, 26 декабря 1891 года.



W druk. «Kraju» Trenke i Fusnot. Maksymiljanowski zauł. 13.

# SŁÓWKO WSTĘPNE.

Kiedy na wyżynach wrą zagadnienia polityczno-społeczne i poruszają się kwestje naukowe lub artystyczne, z górującemi po nad wszystkiem spekulacjami o zdobyciu dobrobytu materjalnego, tymczasem w najniższych warstwach naszego społeczeństwa chłodna reakcja, po odbytej gorączce emigracyjnej, zwolna budzi lud z letargu umysłowego.

Wszyscyśmy zaczęli potrochu zastanawiać się nad tem: co począć i jak skuteczniej radzić biedzie? Zrodziła się przedewszystkiem nadzieja, że fakt tej doniosłości co emigracja, zwróci nareszcie uwagę sfer, zajętych polityką wielką, na politykę i ekonomję małą, miejscową, zgodnie z tym aforyzmem J. St. Milla: «Stwórzmy silne indywiduum, a będziemy mieli potężne państwo»... Niestety, zdanie wielkiego ekonomisty, wśród naszych stosunków, jest poprostu czemś w rodzaju ironji. «Stwórzmy silne indywiduum!?» I owszem. Gdyby planeta nasza istnieć przestała, gdyby ród ludzki zniknął z jej powierzchni, a duchom naszym, świadomym siebie, dozwolonem było wcielić się w nową powłokę doczesną i nowe zamieszkać światy, wówczas

ani wątpić, że poparci doświadczeniem wieków, moglibyśmy upraszać siły twórcze o to, ażeby indywidua nowokreowane otrzymały «zdrowsze» warunki rozwoju i pomyślności. Jestestwa w tem lepszem otoczeniu wychowane, nie zapragnęłyby może wstępować w nasze ślady...

Ale dziś—jest inaczej. Zamiast silnego indywiduum mamy tylko osobowość człowieka: słabą, bardzo zależną od tysiąca nieprzełamanych okoliczności, niezdolną nawet w wielu razach zapracować na chleb powszedni. W świetle to zatem powszechnej tej niedoli naszego bytu, staje pytanie: czy rzeczywiście lepiej już być nie może?

Kwestja ta oddawna fermentuje w masach nieuprzywilejowanych. Naszeptywania agentów emigracyjnych, wieści o cudach zamorskich, koniecznie też wyrastać muszą w umysłach do wielkości zbawienia doczesnego i płodzić gorączki, z któremi się nie godzi żadna perswazja rzeczywistości. Taką jest właściwa geneza marzeń o polepszeniu bytu wśród nowych, fantastycznych, złotodajnych krain. «Chcą nam dowieść, że i tam jest źle»—powiadali chłopi. I po co to? My sami się o tem dowiemy. A zresztą, musi być gdzieśkolwiek lepiej!... Zawiodła Brazylja—no, to pojedziemy do Argentyny, do Stanów Zjednoczonych, na wyspy maurytańskie—wszystko nam jedno...

To są pospolite dziś rozumowania wśród ludu, który «wiosną» zabiera się w wielkiej gromadzie do nowej wycieczki.

Tymczasem wszelki ubytek elementu swojskiego zgubnie oddziaływa na ekonomikę kraju, wychodziec zaś, gdy raz opuści strony rodzinne, rzadko kiedy do swoich wraca. Straconym on jest dla społeczeństwa bezpowrotnie. Szkoda go... Działając rozsądnie, moglibyśmy go może powstrzymać i zachęcić do dalszej pracy dla swoich i wśród swoich. Lecz działanie to

nie powinno być powierzchownem; skutecznie i gruntownie polepszać musi warunki bytu, wytwarzające siły fizyczne, ekonomiczne i umysłowe. Niełatwe to wszakże zadanie—poznać wyobrażenia, dążności i. zamiary ludu. Do celu tego najlepiej, jak się zdaje, trafia bezceremonjalna gawęda w podroży. Chłop nasz, z natury skryty, wezwany umyślnie na indagację, zręcznie zamaskuje myśl rzeczywistą; natomiast zagabnięty doraźnie, bez systematu, rozprawia chętnie i długo, wypowiadając wszystko co go boli, co mu na sercu leży...

Kto chce przyjść z pomocą, potrzebuje najpierw poznać źródło bólu. Wywiadywanie się takie nie jest bynajmniej podstępem, jest ono szczerym i prostym kluczem do duszy, środkiem rozwiązującym skrępowany język, wyrazem rzetelnego współczucia w niedoli. Wpierw jednak, nim z tego klucza skorzystamy, spróbujmy przyjrzeć się środkom anty-emigracyjnym, podziśdzień stosowanym:

1) Pierwszym z nich, popularyzacja ostrzeżeń i odmawiań, za pomocą broszur dla ludu, gazet i drukowanych krótkich lub długich traktatów. Srodek ten daje bardzo wątpliwe owoce. Przedewszystkiem weźmy na uwagę stopień wykształcenia naszego chłopa i zważmy kto z nich i kiedy co czyta?... Włościanie młodzi umieją nieco czytać, lecz i oni słabo. Po skończeniu szkoły zapominają oni zupełnie w ciągu lat kilku to, czego się nauczyli. Przypominają sobie nieco z tej wiedzy w wojsku; powróciwszy atoli, zaledwie mogą przeczytać wezwanie do sądu. Pytają się nieraz pisarza o termin i regulują go podług nadchodzącego święta lub jarmarku: «na trzy dni przed Siewną, na dwa dni po św. Wojciechu» i t. d. Z książki do nabożeństwa czytają tylko te modlitwy, które są we własnym ich ołtarzyku, na innej czytać już prawie nie mogą. «Gazetę Swiąteczną», «Zorzę» czyta jeden na tysiąc—iluż więc z popularyzacji podobnej skorzysta? A przytem, alboż

pierwszym frazesem agenta nie jest: «Chodźcie», gdy drugim: «Pisaniom waszych gazet nie wierzcie, bo was chcą zatrzymać jako bydło robocze». Łączność kmiotka ze szkołą i z nauką po za nią jest omal, że nie żadną. Z biegiem czasu chłop przywyka do tego, że się bez gazety i bez kalendarza obchodzi. Jest dość leniwy: by miał się codzień nad sylabizowaniem mozolić, wreszcie wydaje mu się, że nie ma na te zbytki czasu.

2) Wpływ duchowieństwa. Jest to bezwątpienia środek potężny, lecz jak dotąd, niezbyt w pożądane rezultaty obfity. Podczas gorączki brazylijskiej powstał nawet pewien rodzaj nieufności: «Księdzu tu dobrze, po cóż ma iść do Brazylji? Wie on, że nie będzie komu dawać na mszę, za śluby, pogrzeby, to nas nie puszcza». Kapłani, cieszący się wyjątkowem zaufaniem, zdołali przecież, spokojnie przedstawiając kwestję, zachwiać do pewnego stopnia ślepą wiarę w cudy zamorskie i obudzić miłość rodzinnego kraju. Iluż jednak proboszczów może pochwalić się dodatnim skutkiem swych namów? A trzeba i ten szczegół uwzględnić, że jak dotąd myśl kmiotka krążyła i krąży przeważnie w sferze dobrobytu materjalnego, gdy tymczasem z ambony mamona jest potępianą i lekceważone dobro doczesne. Jednocześnie organista ani jednej świecy nie zapali bezpłatnie. Rozumując tedy po swojemu, przekonywa się chłop, że jakkolwiek Opatrzność Boska o najmniejszym robaczku pamięta i kwiaty w piękne przyodziewa sukienki, to jednak w pospolitych warunkach ten kto musi płacić, musi mieć czem płacić. Jakże tu nie pożądać mamony?

3) Wpływ pracodawców jest prawie ujemny. Obywatelom, dzierżawcom, właścicielom fabryk i t. p., chłop już stanowczo nie wierzy. «Czemu pan nie da większej płacy? Pan nie może dać? No, to ja w Brazylji zarobię więcej!... O mnie zaczęli się już targować, a pan chce, żebym ja tu był wołem? Pójdę sobie i chleb

znajdę»—to są autentyczne słowa jednego z parobków, namawianego do pozostania. Ogół stanowczo rozumuje w tenże sam sposób. I nie trzeba się temu zbyt dziwić. Wiemy, że lud nasz jest z natury uczuciowy i rzewny. Poranne wyjście na łany, przy świergocie skowronka, wspólna praca na ojczystej niwie, na tym od dziecka znajomym zagonie, szczęk kosy, śpiew dziewcząt, przepiękna muzyka wioski rechot żab i derkaczy, burczenie młyna, dźwięk dzwonu na «Anioł pański», uroczy krajobraz wioski przy blasku promieni zachodzącego słońca! Wszystko to bezsprzecznie tak cudne, tak wspaniałe. A jednak przestaje to go nęcić wobec myśli, że powróciwszy do domu spotka się z ciasną izdebką, zbiedzoną żoną i brudną dziatwą, tęskniącą jak do raju, do szklanki mleka i szczypty okrasy. A tu jeszcze, po spożyciu miski kartofli iść trzeba do stajni, dygotać pod kożuchem na dyżurze przy pańskich koniach, lub strzegąc swego od złodzieja, jechać na nocleg i nie spać noc całą. I za to wszystko otrzymuje biedak kilkanaście rubli, które mu zaledwie wystarczą na świtkę i buty, a gdy zachoruje, na tydzień leków... Za morzem, naturalnie, będzie mu lepiej. Tego jest prawie pewien. Wyobraża sobie, że byle się dostać do jakiejkolwiek Brazylji, wszystko odrazu się zmieni. Prawda, że parę lat będzie mu bardzo źle, powoli przecież wypracuje sobie własną gospodarkę i będzie panem u siebie. Wszelkie zaś gadanie, że i tak już ma dosyć, że w sąsiednim dworze jest jeszcze gorzej, że bądź co bądź w domu wyżyć przecie można... uchodzi w jego oczach poprostu za kłamstwo i obłudę.

4) Zakaz administracyjny i odmowa paszportu mogą być o tyle skutecznemi, o ileby obostrzenia podobne zaprowadzone zostały w miejscach, do których emigrant przybywa i o ileby o tym fakcie chłop wiedział dokumentnie... O ograniczeniach zapobiegających w kra-

ju, nie ma co mówić. Furtki poboczne są zawsze na ścieżaj rozwarte przed złotówką. Co więcej, przypuśćmy, że wyszło rozporządzenie o zamknięciu granicy zachodniej. Czyliż podobna wierzyć, aby granice tak obszernego jak Rosja terytorjum, dały się szczelnie obstawić i zatarasować? Spryt agentów emigracyjnych wynajdzie zawsze jakąś okolną drogę nie do morza Czarnego, to do Baltyku. Srodki podobne są skutecznemi; mogą one ograniczać do pewnego stopnia emigrację, lecz jej stanowczo nie zatamują.

5) Jako na jeden ze środków administracyjnych, wskazują na zakaz sprzedaży ruchomości i gruntów. Najpierw pamiętać trzeba, że najwięcej emigruje ludzi bezrolnych, którzy nie potrzebują sprzedawać chałup i gruntu, bo go nie mają. Ruchomość zaś składa się ze stołka, ławki, stołu, łóżka, skrzynki, dwóch misek, kilku garnków i łyżek drewnianych. Zachód ze sprzedażą tu niewielki; sami zresztą właściciele, gdy nie mogą przed rejentem sporządzić aktu sprzedaży, do takowej naturalnie nie przystąpią, pozostawią użytkowanie krewnym, oddadzą grunt w dzierżawę osobie zaufanej lub poprostu, jak się zdarzało nieraz, wyrzekną się ziemi. Z ruchomościami i inwentarzem nikt na targ wyjść nie wzbroni. Wychodźcy sprzedadzą je częściowo. Bo też, naprawdę, z jakiego tytułu przedstawiciel władzy zabroni chłopu sprzedać jałoszkę, gdy sprzedający powiada, iż nie ma z czego podatków zapłacić, że do nowego zboża daleko, a w domu dzieci mrą z głodu i t. p. Co do ścigania agentów i sądzenia takowych, ma to swe radykalne korzyści, ale ma też i niedogodności, gdyż podnieca ich czynność, zachęca do wynajdowania coraz doskonalszych metod tajemniczości, tak potężnie oddziaływającej na wyobraźnię mas.

Nareszcie 6) Spróbowano sprowadzenia pewnej ilości emigrantów z Brazylji. Powiadano sobie: powracający opowiedzą swoim jak tam źle i ruch powstrzymany zo-

stanie. Bezwątpienia, lecz trzeba, żeby wracających było jednocześnie bardzo wiele i żeby ci jednogłośnie utrzymywali, że tam, gdzie byli, rzeczywiście źle było i jest. Ludziom swoim, blizkim znajomym, zapewneby uwierzono. Ilekroć wszakże z jednej i tej samej okolicy powraca kilku, a kilkudziesięciu pozostaje na obczyźnie, lud z niedowierzaniem powiada: ci co przyszli są albo przekupieni, albo ostatni niedołędzy, nie umiejący sobie radzić. Alboż inny los spotkał parę gromadek emigrantów wróconych?

Ograniczamy do powyższego uwagi swe wstępne. Chcieliśmy zdobyć się w «Obrazkach» na wiarogodne odzwierciadlenie rozmaitych pojęć, potrzeb, zapatrywań się, wpływów, fantazyj, bólów i trosk naszego ludu biednego. Stanowić one zapewne będą zaledwie urywek z życia tych nizin, na których popędy emigracyjne fermentują; dopomogą jednak, być może, do niejakiego rozjaśnienia istotnego stanu rzeczy, będą przyczynkiem do djagnozy jednej z najcięższych chorób społecznych.

# Emigrant[1].

Gorączka emigracyjna udzieliła się i naszym okolicom w pewnym stopniu. Parę tygodni temu mój zwykły woźnica zakomunikował mi uroczyście, że udaje się do Anglji; zawiązała się więc na ten temat rozmowa.

— I czemuż to tak?—spytałem.

— Jechałem wczoraj z Nura—odrzekł—a tu idzie jakiś człowiek, porządnie ubrany, i prosi podwieźć.— Siadajcie. Powoli zaczął gadać, że idzie do domu po żonę, bo wraca z za morza z pieniędzmi i tam o wiele lepiej, jak tu u nas.

Podejrzewając co to za ptaszek, spytałem, jak wyglądał? Dokładnego określenia jednak otrzymać nie mogłem.

— Brunet, w średnim wieku, w palcie i czapce.

— Pewnie żyd?—zapytałem.

— Nie—była odpowiedź.

— I cóż on wam więcej opowiadał?

— Gadał o Anglji, że to kraj za morzem bardzo urodzajny i ciepły, że zimy nie ma, że wolno brać ziemi tyle, ile kto może sam zorać. Na każdą głowę dają po 40 morgów, a gdy jest żona, to 80 morgów. Ziemia

---

[1]) Obrazek ten był drukowany w «Kraju» z 1890 r. (Przyp. wyd.).

dobra, rodzi bez nawozu, aby zruszyć i posiać. Na 10 ciu dają całą milę i dzielą na kolonje. Kobiety chodzą w złotych trzewikach i wszystkim bardzo dobrze.

— I wy wierzycie takim bajkom?

— Nie bajki, proszę pana—i nasi z Nura wybierają się w 6 familij—bo jeden już tam jest i pisał list, że mu bardzo dobrze, i żeby reszta czekali listu, i nic na to nie zważali, co będzie w liście pisano, bo na granicy przepisują; tylko, żeby patrzali, jak w liście stoją kółka, to nie pytać, tylko jechać, jak krzyżyki, to niewarto.

— Tak, więc cóż stało?

— Kółka stoją precz—i tak się schodzą, i czytają i jedni drugim powiadają.

— A nie moglibyście tego listu dostać?

— Gdzie tam, nie dadzą, za drogą cenę go liczą, bo tam napisane, którędy i co. A jak nad morzem, to patrzeć, jak na okręcie ręka ojca św. namalowana, to w ten siadać, a jak nie ma, to taki fałszywy.

— I jak napisane?

— A tak, żeby tylko choć trochę grosza złapać i aby do granicy, a tam już stoją tacy, co przeprowadzają na miejsce.

— I cóż, to pewnie żydzi?

— Nie, katoliki nasze, żydów tam nawet nie puszczają bardziej, a tylko nasz lud, bo wiedzą, że do roli zdatny, a tylko tu nie ma czego się jąć.

— Jakto, alboż nie macie zarobków?

— E... jakie to tam zarobki, żal się Boże, we dworze oto teraz złotówkę od młocki na dzień płacą.

— No, bo dzień krótki.

— Krótki, albo i nie krótki, a robić trzeba, a za złotówkę co kupi?

— A ot wy bierzecie 5 złotych za pół dnia za konia.

— A bo to owies mało kosztuje? a moje bałamuctwo? a moknięcie na deszczu? A tam, powiadają, deszczu nie znają, ani śniegu, tak tam czasem pokropi dla sławy, a rzek dużo i woda z morza podchodzi.

— I wy tak myślicie, że to wszystko prawda?

— Jušci prawda, pocóżby pisali?

— A ja wam powiem, moi kochani, że was bałamucą, kobiety w złotych trzewikach nie chodzą i darmo nikt nic nie da.

— Widno da, kiedy idą, i podróżny ten powiadał, jak przyjechał, zaraz go wzięli we dwóch i poprowadzili do jaskini. On patrzy, a tam złota aż strach! aż w oczach iskrzy, leży tak w pęczki powiązane. Mówią, bierz!... On ima się—nie zmoże... tak włożyli pod jedną pachę, pod drugą, resztę poddali i mówią: idź do domu! To nadziwować się nie mógł! mówi, że trochę wziął na drogę, a resztę ma schowane i wie gdzie, a jak wróci, to jego.

— No, moi kochani, jużbyście nie dali się na takie bajki łapać.

— A cóżby on w tem miał? zsiadł, poszedł, powiedział Bóg zapłać! i jeszcze chciał wódką poczęstować, ale że się odmówiłem, bo nie piję.

Stanęliśmy u celu i rozmowa się przerwała. Na drugi dzień, gdym wracał, znów weszła w dalszą kolej.

— Więc cóż, jedziecie?

— E... jeszcze nie wiem, tak bez namysłu nie można, ale co nurscy jadą, to jadą. Oj, oj, powiadają tu koło Grannego cały folwark poszedł, służby porzucali i ordynarję, tak het precz darowali panu i poszli; nawet wczoraj Boruch w karczmie mówił, że dobrze, że aby do morza, a potem na wodzie i jadło i odziewek jest.

— To przecież i tu jadło i odziewek macie.

— Ha, na dziś to jest, a na później, jak dzieci się podzielą, to i co — bieda!

— I nie żal byłoby wam swoich? kościołka?

— To i cóż, swoi darmo nie dadzą, ot z braćmi procesuję się o 6 morgów i na ósmą sprawę jutro trzeba jechać, a każdy raz 30 rs. do pana adwokata wieź. A zkąd nabrać?

— Zmiłujcie się, cóż tak często do sądu?

— A cóż, zaczęliśmy się bronić, po śmierci matki— powiadali — pierwszy raz, będzie skutek; a tu idzie i idzie, od sędziego gminnego do zjazdu i do okrużnego, a teraz do komisji, i tak ciągle.

— Więc to was tak zmarkociło?

— E... i to i nie to... i cóż tak całe życie siedzieć? Kościoły i tam są, i po trzech księży, i ojciec św. błogosławi każdego, i odpust zupełny daje, żeby tylko do tego króla w Anglji iść, bo on na kościoły dał — ile to — pięćdziesiąt miljonów na budowę...

— Nie do Anglji, tylko pewnie myślicie do Brazylji.

— A jušci, to ja przepomniałem—tak, do Brazylji.

— No i widzicie — i nie wiecie gdzie to jest, i pisać nie umiecie i mogą was oszukać.

— Toż to to, że człowiek ciemny — choć o swoich to bajka, jak pieniądze będą, to można przypłynąć nazad, a czytać tam nauczą, bo powiadają, że ten król to każdemu uczyć się każe, czy młody, czy stary, i księża uczą.

— Ale gdzie tam, napletli wam: czytałem dziś w gazecie, że tam właśnie król uwolnił niewolnikówmurzynów i kazał im się uczyć, ale murzyni poszli w góry i lasy, i skutkiem tego fabryki, pozakładane przez niemców, zostały bez robotnika, więc tych, co przyjdą, do roboty zajmą.

— No to niech! bez roboty być nie może, a zresztą ja będę miał, jakbym sprzedał wszystko, z 600 rs., to się da radę, jedno dziecko, żona... tylko najbardziej, co bojący jestem wody.

— A właśnie, a to przez całe wielkie morze jechać trzeba.

— Gadają, przez trzy morza?

— Naturalnie, i morza są bardzo głębokie, takie jak trzy kościoły by się schowały, a najstraszniejsze są burze, które często zatapiają okręty razem z wychodźcami.

— No, a jednakowo ludzie przejeżdżają.

— Przejeżdżają i wracają, to wszystko w opiece Boskiej, ale przejazd to jest niebezpieczny.

— O! albo to u nas na kolejach bezpiecznie, a czasem i konie poniosą i też narobią biedy niemałej.

— A jakże wy, namyśliliście się?

— Jeszcze myślemy, bo i tego żal co jest, i tam niewiadomo co i jak, a żeby tak napisał do tej Brazylji, do jakiego pana, co też on odpisze, tylko że znów po jakiemuby.

— Napisać to można po francuzku, ale jak wy byście tam poszli, po jakiemuby szła mowa?

— Toż chyba przewodniki umieją po tamtejszemu.

— Umieją, aleby też was mogli sprzedać.

— A ksiądz?

— A ksiądz może francuz.

— Nie, polski, powiadał ten co jechał, że polski i kazania ma po polsku. Wreszcie, aby na pierwszy raz, a potem możnaby się już douczyć.

Pomyślawszy nieco, rzekłem: — hm, spróbuję, napiszę, są takie spisy księży, doktorów, kupców, co tam są — ale kiedy list przyjdzie? Chociaż co prawda, to i w gazetach dość już piszą.

Na drugi dzień otrzymaliśmy numer gazety warszawskiej, w której naoczny świadek losu emigrantów na granicy, p. Stan. Lesz., dokładnie opisuje pojęcia wychodźców i to co ich w pierwszych chwilach podróży spotyka, oraz cytuje list, otrzymany z Brazylji. Przeczytałem te numery kilku ludziom zebranym i da-

łem na poświętne do czytania, tamże przesłałem numer «Kur. Warsz.», traktujący o emigracji.

Kiedy po paru dniach spytałem—a co, czytaliście?

— A jakże—była odpowiedź—dokumentnie opisuje.

— I cóż ludzie mówią?

— Ot co tam, jeden tak, drugi tak.

— Ale przecie?

— Gadają, że to nieprawda, że to naumyślnie tak panowie z gazety piszą, bo ich obywatele i tutejsze fabrykanty prosili, żeby robotnika nie wypuszczać; boją się, żeby nie zdrożał.

— I któż tak mówił?

— Kto słuchał, to gadał.

— A wy jak myślicie?

— Kiedy my już po swojemu wiemy, bo ten, co ze mną jechał, to z Nura, po żonę przyjechał i opowiadał.

— I cóż mówił?

— Mówi, że był w Warszawie w fabryce i źle mu było, i roboty brakło, to go puszczali do domu, to znów wołali, to tak po parę miesięcy czekał, aż o wielganoc wziął i pojechał do Brazylji. I zaraz robotę dostał w fabryce chustek jedwabnych i płacą mu po 5—6 rs. na dzień i jadło ma nie takie jak tu, a kawa, cukru co chce i mięsa dość, a potem, te... jakże to, nie jabłka, tylko...

— Pomarańcze.

— Tak, tak, pomarańczy co niemiara i w lesie figi, to głową strącaj, a tego, co to w sklepach sprzedają świętojańskiego chleba, to tak na ziemi się wala, jak żołędzi. I ciepło, przez całe lato było—prawie w koszuli chodził.

— I zdrów?

— Zdrów; mówi, że inni na febrę chorowali, a on nie.

— Ale inni chorowali?

— Chorowali, ale cóż to, i tu albo na ospę łoni nie marli, a teraz na tyfus co zmarło, to mówi, że i tam umierają, jak wszędzie; kto ma umrzeć, to umrze, komu Bóg da życie, to będzie żyć. Tylko, że do kościoła daleko, bo wieś od wsi o 20 mil, ale duże wsie i piękne, i fabryki są duże, i szpitale jakie piękne; jak sobie nogę stłukł, to leżał w szpitalu i nic nie płacił. A jadło, nie to co nasze—pańskie i w poduszkach pierze z dzikich ptaków i czysto, aż się świeci.

— No, to mu było dobrze!

— A dobrze, to chwali sobie.

— Hm... hm... i kawę pił?

— I, kawy tobym nie chciał, ja jej i tu niebardzo.

— A pomarańcze to się sprzykrzą.

— E, zawsze to dobre, tylko też prawda, człowiek niezwyczajny, jak to w gazecie piszą, że ta dziewczyna je dziesięć na dzień... toby zemdliło... ale cukier, mówi, że z takich słodkich kijów, co dziko rosną.

— Z trzciny?

— A tak, z trzciny i fig mają tak, że po robocie w fabryce to piją piwo jakieś mocne i figami zakąsują.

— No, to widzicie, to jakby się tak przyzwyczaił, toby tu wróciwszy na czarny chleb, to niebardzo.

— E... tożby wtedy wracał, kiedyby już bogaty był, wprzódy nie. Koleją mówi leci jak ptak, ale najgorsze morze.

— Boicie się morza?

— Bać się nie boję, ale żeby choć ląd ciągle widział, ale mówi, że najstraszniej jak już sama woda, jechali 6 dni i nocy, potem stanęli — i znów jechali, ale burzy nie było, tylko że coś się w maszynie popsuło, to stali cały dzień — i dużo strachu mieli, ale potem nic.

— No, a paszport dostał?

— Dostał i dla żony wziął—i jeszcze sześć familij, co pojechało, dostali, z granicy ich wrócili, przyjechali

do Łomży, w guberni przejrzeli paszporty i sześciu popisowych i powiedzieli: kiedy wydane, to jedźcie gdzie chcecie.

— Ej, chyba coś nie tak?

— Tak... i ze Sledzianowa z za Buga 10 familij poszło i z Grannego 5, i z Bużysk 4, i z Mnia i z Rudki, i z Pobikrów idą.

— I cóż, nie zatrzymali?

— Zatrzymali, wrócili, a oni znów.

— Więc widać im już tu bardzo źle.

— Nie to źle, nie dobrze, a chce się lepiej.

— No, ale jakże myślicie, dlaczego tak?

— Bóg ich wie.

— A wy pójdziecie?

— A wielmożny pan by rezykował?

— Ja, hm... żeby tak ze 20 lat temu? możebym spróbował, ale tylko wtedy, gdyby mi źle było, a jak dobrze, to po co?

— Wiadomo.

— No, a wy pójdziecie?

— E... chyba jeszcze poczekam, zobaczę, co będzie dalej.

Rozmowa ta nasunęła sporo myśli, mających bezpośredni związek z kwestją emigracji wogóle, a u nas w szczególności. Czy tym ludziom tak źle?—myślałem sobie. W następnej podróży postanowiłem kontynuować kwestję.

— No, a w folwarkach, co dobrze gospodarują, nie narzekają?

— W folwarkach tak, ale bo gospodarują; jakie woły, pługi! a na wsiach co? u szlachty tu żal się Boże!

— Rzeczywiście, moi kochani, gospodarstwa idą źle, jak jest 400 morgów, to sto w płodozmianie, a na 300 trzypolówka, ziemia wydaje mniej, nic nowego a lepszego nie robią, tak jak u niemców, u anglików.

— No, a w Brazylji jak gospodarują?

— Inna rzecz widzicie, tam grunty świeże, nawozu nie trzeba, to i idzie—tu potrzeba wielkiego rozumu i forsy.

— A kto rozum będzie miał? Chłop! Zkąd go weźmie; co we dworze nie zobaczy, to się i nie dowie, a do jednego dworu wszyscy się nie docisną.

— A jednak chłopi u nas bogacą się i mają grosz, nieprawda?

— No, są, który skąpy i już tak żyje licho, tylko, tylko aby do jutra, a pieniądz dusi, tak u niego ten pieniądz leży, i ani na procent, ani nic. Żyd toby rozdał zaraz i zarobił, a tu nie, i dla biedaka źle, bo taki zarobić nie da.

— No cóż, kiedy im z tem dobrze.

— Im dobrze, ale co?—do grobu z sobą nie zabierze, a jak umrze, to pójdzie na działy, synalki rozpuszczą, rozprocesują i tyla.

— Oj, działy te, działy gubią.

— A gubią, ani słowa, ale jakie każdy ma prawo; ot Karula dzieci to się podzielili do 1½ morga i chałupa do 4-ch należy, tak się biją, już 3 razy byli w sądzie!

— To źle, dzielić się tak nie mają prawa, bo najmniejszy dział jest 6 morgów.

— Ale oni w kancelarji nie odpisują, tylko sami z siebie.

— A jak się wam zdaje, lepiejby było, żeby tak np. brat starszy dostawał na własność trzecią część, a z dwóch trzecich braciom i siostrom co dwa lata robił spłatę?

— O, toby bardzo dobrze było, toby się gospodarka utrzymała, nie jak teraz—każdy za swoje i rób co chcesz.

— No i cóż z tego dobrego?

— A cóż, posprzedają swoje części i zostają bez niczego—to co będzie robił? chce do Brazylji.

— No, to może iść w służbę.

— W służbę, a do kogo? Dawniej dwory posyłały ekonomów do wsi, żeby służbę namawiali, a dziś sami ludzie mało palców panom nie poodgryzają, prosząc o miejsce.

— To jeszcze idą do gospodarzy.

— Aha! gospodarze... choć i lepiej płacą, to pędzają do roboty. Oho!... nie po dworsku...

— No, a jak taki brat na gospodarce zostanie, to się utrzyma?

— Taki się utrzyma, zaraz namawia drugich, żeby serwitut brali, powiększy się i żyje, ale jak tam braciom biedakom, to już znać nie chce.

— A za serwitut dużo wzięli?

— Po 10 morgów z lasem, toż i pana szarpnęli.

— No, toby szli na zarobki, tak jak górale z Galicji, albo co?

— Nie pójdą—będzie siedział, chleb i wodę pił, a nie pójdzie.

— A do Brazylji może?

— No, już jak całkiem, to co innego.

— O, rzeczywiście, moi drodzy, wszystko to brak przedsiębiorczości—siedzi i gnije—i dlatego tylu mamy ludzi bez roli.

— A czy to wiadome, ile jest takich, co bez roli?

— Liczą dwa miljony, moi kochani.

— E, to jak pójdzie z piędziesiąt tysięcy, to co? to jeszcze zostanie dosyć— i dla tych zarobku nie będzie.

— Rzeczywiście, moi kochani, macie rację, dwory upadły,—dziś trza się ratować samym. Ale to już skończone kto uległ, nieprzygotowany do takich zmian, to uległ. Ci, co zostali i dobrze stoją, to już będą się trzymać. Widzicie, nieszczęście jest szkołą życia, więc i dziś te mają-

tki, co przeszły pierwsze trudności, zdobywają złote medale, a inne za niemi, a wsie niech idą za dworem, już i dziś znajdziecie często w gospodarce wieśniaka dużo nawozu, koniczyny, pługi, żelazne brony, młynki. Zkąd o nich się dowiedzieli?—ze dwora. Jak sami dobrze robić będą, to i w służbę iść nie trzeba.

— E, co, proszę pana, kiedy te wszystkie dwory to już dziś w żydowskiem ręku. Ot w Dzierzbach, na dworzysku, w dawnych ośmiorakach 20 famielij żydowskich, a wszystko to po to, żeby z chłopa żyć—to bieda.

— Nie dawać się, moi kochani.

— Jak niedawać? opętali. Jak na tych ludzi z tych żydowskich wsi patrzeć, to aż żal bierze—hulaki, złodzieje, pijatyka ciągła, nikomu wierzyć nie można, tylko u Szajka siedzą i w karty grają.

— E, czyż być może, co wy gadacie?

— Sprawiedliwie. Są tacy, co do kościoła nie nagoni, a Walek, to jakiem go raz spytał, że siedzi w karczmie, gada: «ja się uczę szachrować».

— I cóż, nauczył się?

— Gdzie tam, zagłupi i bojący.

— To dobrze, lepiej tak, jakby miał mądrość na złe obracać.

— On ni to ni sio—tylko próżniak.

— E, już zanadto gadacie na nich, owszem lud nasz jest pracowity; jak przyjdzie wiosna, lato, czyż nie widzicie, jak się uwija: i sobie zrobi, i na pasznie wyjdzie—a potem zmłóci i sprzeda.

— Tak, póki jest robota, to jest, a jak nastanie jesień, zima—to pan myśli co robią?

— Nie macie co mówić, wiem że nic, albo nie widzę, jak się wałęsają przez cały listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec? oprócz karmienia inwentarza nic i nic.

— A juści prawda, drągale tak tylko od kowala do karczmy, to znów do domu, babie nawymyśla i znów na ulicę.

— E, przecież są kołodzieje, to znów letry robią.

— O, jak tam 2 — 3 letry wyplecie, to już potem do Wielganocy na to pije, albo i zaraz na jarmarku letry pójdą.

— Czyżby?

— Prawdziwie—a co przeleży?

— Tak, tak, widzicie, a gdyby ich tak, jak w Brazylji, na 5 miesięcy do fabryki zagnać, co?

— A co jemu za niewola, albo on nie gospodarz?

— Może co czytają?

— A przysyłają ze dwora «Gazetę Swiąteczną», ale kto czyta? Weźmie krawiec, bo lubi w to się bawić, a reszta to tak — jak co bardzo zabawne, to jeszcze, ale jak nie pojmie, albo styda się, bo jak raz krawiec spytał—no co, o czem czytałem?—to mu nawymyślali i więcej nie przyszli.

— O, to źle, moi kochani, kiedy tak gadacie.

— Gadam, bo prawda.

Przybyliśmy do celu i znów rozmowę przerwać wypadło. Na drugi dzień, jadąc, spotkałem babę.

— Gdzie tak mateczko?

— Do farby—brzmiała odpowiedź.

— Ot widzicie—rzekłem do mego woźnicy — baby was wstydzą; całą zimę przędą z dziewczynami talki, tkają sukna, robią dobre płótna.

— A to już baba od tego, a cóż jej robić?

— Mogłaby w złotych trzewikach chodzić!

Rozśmiał się.

— A boso nie łaska!

— Widzicie, jak wy ich ubieracie, boso, a żeby na waszą wyglądały pracę, to i nago, a tu i fartuch jest, i koszula, i dla siebie, i dla was, i jeszcze farbowane.

— No, bo żyd ufarbuje, to nie sztuka.

— Sztuka, ale tej sztuki mógłby dokazać i Walek, żeby nie pił, i Stach, żeby nie leżał na przypiecku. i

chomont by zrobił, i półkwartek, i kożuch uszył, to nie! wlecze się na jarmark.

— A jakże, jarmark to cała wesołość.

— Zapewne, jarmark potrzebny, nie przeczę, ożywia ruch w okolicy; to się sprzeda, to kupi, lecz iluż to z potrzeby idzie?

— Wiadomo, mało kto.

— A naturalnie, nadciągają tu właśnie owi próżniacy ze wsi, nie mając co lepszego z czasem do zrobienia. Jarmark wygląda pokaźnie, dużo krzyku, harmidru, dużo do sprzedania, ale kupiono bardzo mało.

— E, zawsze świń się sprzeda, zmieniają konie, krowę kupią.

— I wszystko to zaraz na litkup?

— Wszystko nie wszystko, ale z połowę, oj, oj!

— To karczmarz zaciera ręce?

— Już gadają dom kupuje, toby nic, ale baby pić zaczynają.

— A mężowie co?

— A razem.

— Dobrze! Czyż i na odpustach piją?

— Za jedno.

— I ksiądz nic?

— A co ksiądz powie, swoje i hola! a tam który idzie do sklepu na papierosa, a który do karczmy na gapia.

— A który na poczęstunek?

— Takich to najwięcej.

— A jutro w Kosowie, a potem w Stoczku i t. d.

— Czy wie wielmożny pan, że ten Koanko, to jak w poniedziałek tu był, to aż w piątek z Jadowa wrócił.

— Cóż on?

— Na jarmarkach konia szukał do kupna.

— Znalazł?

— Gdzie tam, obiecali mu na przyszły tydzień: gada, pojedzie, tylko się podarł ze złodziejem, co mu chciał z kormana pieniądze zabrać, i będzie sprawa.

— A wasze sprawy co?

— Powiestki są, przywiózł woźny, to rs. 7 k. 20 kazał zapłacić, to nie mogli przysłać przez pocztę, bo pilno, to najął i przyjechał.

— To teraz do komisji?

— Nie, to od sądu ale i od komisji. Teraz już pewno na skutek.

— I cóż, wygracie?

— Jak znów nie poskarżą.

— I cóż, to tak będzie do końca świata.

— Albo wiadomo; Storozum z Wólki to 12 spraw na ten tydzień ma z Malewskim, i samych świadków trzydzieści przywiezie.

— A wy?

— My bez świadków, na pana adwokata zdali.

— No i powiedzcie tylko, jakbyście wy i Storozum i Malewski pojechali do Brazylji i tam nie było sądów i spraw, cobyście robili?

— E, jakby było 40 morgów, to bajki.

— A jakby tylko na robotnika wypadło, to co?

— Toby robił.

— A jakby chciał tak żyć jak tu, to co?

Zamilkł...

— To widzicie, tamten fabrykant to co innego, dał sobie rady. Ale was, jakby tam zagnał do roli na nieswojej ziemi, jakby popędzał tak codzień na plantacjach, toby lepiej jak tu było?!

Milczał...

— No co, pojedziecie?

— E! już chyba zostanę...

# FORNALE.

## I.

## Kacper.

Śnieg pruszył zlekka, śląc z niebios białe płatki, uściełające i tak już dobrą sannę.

Przed domem stały sanie, zaprzęgnięte parą gniadych, ciężkich koni.

Wysoki mężczyzna w siwej sukmanie nasadził kaptur na głowę i chodził tam i napowrót, pobijając rękami w ramiona.

— Zkąd to?—spytałem, wracając do domu.

— Tu list do w-go pana.

Nie chcąc na zimnie rozrywać koperty, dodałem:

— A kto tam chory?

— Mnie niewiadomo! tylko pan fabrykant (praktykant) przyleciał do stajni, na duch zaprzęgać kazał.

— Dobrze, to zaraz pojedziemy...

Po chwili byliśmy na gościńcu, a ciężkie koniska, dostawszy raz, drugi biczem, dobyły ruchu...

— Po co tak smarujecie?

— Kto smaruje ten jedzie, wielmożny panie! a z czego będą miały ruch jak nie z bicza... dwa garnce owsa i trochę mąki na takie bydle.

— To cóż, zamało?—a koniczyna?

— E!... co to świadczy, na ich potrzeba już najmniej po trzy garnce, tak jak w Rozgłośnej dają na taką robotę; dziś do południa siano zwozili od świtu, czy chcesz, czy nie chcesz, pięć wozów przywieź i basta.

— To pewno blizko?...

— Będzie z wiorstę—to kłusem lecim, aby dopełnić.

— To u was żywo idzie...

— Gumienny nowotny nastał, wielmożny panie, pyskaty jucha! jak wrzaśnie, to aż człekowi mdło się zrobi.

— Taki straszny?...

— Bardziej ze złości, wielmożny panie! Człowiek tu zdrowie straciuł i sam wie jak — akuratnie, a tu ten z końca świata przyleciał i krzyczy.

— To róbcie tak, żeby nie trzeba krzyku.

— To jednoż! abo on co? krzyczy... tak się przed panem pokazuje.

— Taki już zaufany?...

— A zachwalony, z majątków dziedziczki wychodzi.

— No to i cóż, jak kto dobrze robi, to się tam krzyku nie boi.

— Wiadomo, ale markotno — człowiek tu siłę postradał, za dwóch robiuł... bywało, gdzieby potrzeba drugiego wołać — nie! sam się weźmiesz, aż w krzyżu pęknie, a dźwigniesz.

— To kto wam kazał? lepiej zawsze w miarę...

— Nie na mnie, wielmożny panie, ja niecierzpliwy będę czekał? Oho, to też już tak i wie pan rządca i dziedzic... to, co najcięższe, to na mnie.

— To pewno za to was lubią?

— Abo ja wiem. Toć tak to chyba wydaje, ale piętnaście lat służę i cóż ja?... końmi i końmi...

— A czemuż na gumiennego nie chcecie?

— Jaby chciał... ale.. chybaby wielmożny pan u jaśnie pana co dla mnie skórał, a co już ja sam, to nie śmiem.

— Zapewne! taki stary sługa, toby się należało.

— Markotno, wielmożny panie, jak taki pyskacz, ścierwo, krzyczy, chodzi z kijem. A żeby się bez co przewrócił, to nie podniesie, tylko: chłopcy! raźniej!... A bodajeś oparszał!... przed nim umiataj.

— I umiatacie, trudno moi drodzy, to już tak na świecie, kto nad kim postanowiony, tego trzeba słuchać.

— Wiadomo, musim, służba...

— A pensja gumiennemu wyższa?

— O, juści wyższa. My bierzem po 20 rs. i pół dwónasta korca ordynarji, i nie cały mórg pod kartofle, a on 25 i 12 korcy, i cały mórg w polu, i izba szersza... a za co?... chłopcy raźniej! Wielga rzecz, to każdy potrafi—stoi, nogami przebiera, a tylko patrzy czy jaśnie pan, albo pan rządca nie idzie.

— A jak idzie, to co?

— To zaraz albo za miotłę, albo za grabie i niby robi.

— To wam śmiech?

— A juści, nam wara! Tak, to choć czasem nie widzi jak tam obroku dla konia uszczkniesz, a niechby go obraził... oho!...

— To źle, moi kochani, czegóż wy obrok bierzecie pokryjomu.

— Niech tylko wielmożny pan nie gada, ale dalibóg, koniskaby pozdychali, toć żal! a i samemu za niego ciągnąć czy jak?

— To tak głaskacie gumiennego, żeby nie widział?

— A juści...

— A on nie bierze ziarna?

— Bóg go tam wie, kto mu w kieszenie patrzy, wiadomo, ciągle przytem i kur ma dość... ale nie widać.. A nareszcie sprawiedliwie nie mogę objaśnić.

— To tak już w zgodzie—wy nie widzicie jego, a on was.

— A juści.

— A czemuż panu rządcy nie mówicie, że koniom mało!

— Gadali, wielmożny panie, albo raz, nie nada. Milcz durniu! jak się wa!... będziesz mnie tu nauczał!... To człowiek milczy...

— A jak konie nie ciągną?

— To batem, niech zdycha... Pan rządca dobry... Onby chciał—ale dziedzica się boi, drugi raz, jak go przyciśnie, to nic nie mówi... tylko jak się wa... jak się wa... słucham... i hola... a potem żółty jak złotucha chodzi.

— Ha, to już widać do pana dziedzica znajdujecie okazję...

— Ono by czasem można, ale straszno... Jakościś latem, dziedziczka poszła z panną służącą na spacer—my wieźli żyto.... Stójcie! krzyknęła—patrzę hyś! hyś!... i obie na wozie... jadę i jadę... a one tam coś po niezrozumiałemu gadają. Co wy tak wolno?

— Jaśnie pani! obrok kiepski, nie można zmagać sprzężaju...

— Tak! a mój Boże! powiem ja panu rządcy.

— Jaśnie pani, tylko proszę nie gadać, że ja narzekał. Nie... nie... moi kochani... To potem kazali i mąki dosypać i owsa dodali, to widać z jej przyczyny.

— To dobra pani?

— O, dobra, pani jak złoto; gdzie chory dzieciak, albo i stary, czyli tam baba, to jak się dowie, to zaraz: Moi kochani! czemu wy nie gadali? macie doktora, macie aptekę, idźta prędzej!... Dobra pani... Albo dzieciakom, co ona tych cukierków nadaje? A z panem pod rękę, to tak po brózdach skacze, jak sarna...

— A pan wasz?

— Pan by niczego... tylo, co bez to, że bardzo nowe porządki lubi... to co jak było... to mu się nie spodoba, chciałby po swojemu... a ono to się niebardzo da... to bez to bardziej prędki... wiadomo, młody... pró-

buje. O! mnie pan taki lubi, wie co ja nieleniwy, ale to za to wszystko na Kacpra!...

Niespostrzeżenie dobiliśmy do lasu; gęsto splecione gałęzie młodej choiny, pokryte śniegiem, tworzyły piękny, malowniczy widok, dalej wyniosłe sosny strzelały w niebo. Wzrok się napawał rozkosznym ich widokiem, w duszę płynęły weselsze myśli o lasach dziewiczych w tych błogich czasach, kiedy to wszystko było tak łatwo, prosto, natura pieściła swojem bogactwem, potęgą... I to wrażenie już miało zostać w duszy na dłużej... gdyby nie jedna mała, napozór nieznaczna drobnostka: na korze drzew najpiękniejszych, najwynioślejszych, widać było jakąś obrączkę, a na tej świeżej ranie złowieszczo czerniał numer... Biedni skazańcy, nie długie wasze rozkosze wśród pięknego gaju...

Sanie pomknęły żwawiej po równej drodze...

— A to już stare konie?—spytałem.

— Ta lewa siedem lat przed św. Wojciechem skończy.

— A ten prawy?

— To gałgan! poletni, co ja bez niego zdrowia postradał! niech ręka Boska broni!...

— To też swego chowu?

— Nie, to żydowski. Przychodził Mendel, przychodził, kłaniał się panu rządcy bez cały tydzień, aż wsadził za dziewięćdziesiąt rubli...

— Wart?...

— Bodaj go, narowny jucha! Jak zmiarkowali, do kogoby—do Kacpra. Młodą mi klacz zabrali, że niby za ostra i tego dali... Ale że zadem biuł, nikt nie oduczy, tylko ja. Zrazu jako tako, potem jak zaczął machać kopytami, jak mnie raz uciął, tom trzy dni leżał, podnieść się nie mógł i z tego czasu w dołku mnie boli—wszystko za pańskie dobro.

— Aleście oduczyli?

— Oduczyłem! ale nie zaraz. Worek-em z piaskiem przywiązał do ogona, a kozicą bez bicza zaczął łupić, tak teraz ustał jakoś, nie bije.

— No i widzicie, na zwierzę są sposoby...

— To też, w-ny panie, bez to co wiedzą, że ja mam sposoby, to aby tylko co najgorsze, to do mnie.

— Widać was mają za dobrego fornala.

— A juści, a mnie to łatwo. Jak raz pan rządca kupił konia na jarmarku, do domu przywiedli... zaprzęgają... a on, choć go rznij, ani w te, ani w te stronę, drugi chłopak go, młody, miał—nic nie radzi... co robiący do Kacpra go, a juści. Co ja z nim zdrowia stracił, niech ręka Boska broni, ja go batem—nie! kijem—nie! kłónicą!... choć umrzyj... Stanie i choć ty tu co chcesz rób.

— I jakże, ujeździliście?

— A ja na niego sposób znalazł.

— Przecie.

— W kozice-m szydło wsadził, co dźgnę to pójdzie, a potem i to nie chciał, tośma mu worek na łeb wiązali; jak we worku idzie, wstrzymać nie można. Raześmy z odstawą do berlinki jechali, jak się rozszedł, leci na prom, stój! stój! mało rąk nie oberwie—w Bug wali... tom się strachu najadł, poszedł... nie strzyma!... Szczęście co woda była płytka, tylkośma się zmaczali; pszenicy żyd przyjąć nie chciał... Co wielmożny pan myśli, powierzyli? a juści!... Gumienny zaskarżył co naumyślniem w Bug wjechał—nakrzyczeli—no, ale konia żydoju na deptak sprzedali...

— I nie żal go wam było? na deptak... zmiłujcie się, a toż to męka.

— Żal, ale co w-ny panie, kiedy taki — wiadomo na deptaku ostatnia rzecz... jak ja to widział u Olejarza... Koń się położy... boki trze... krew leci, aż patrzeć markotno—a drugi chodzi i koło kręci—to cóż i ten wstać musi.

— A to fatalne!...

— I że to wolno w-ny panie, i rząd nic na to?

— Jakto? męczyć zwierząt nie wolno — jest takie Towarzystwo opieki nad zwierzętami w Warszawie... co za tem patrzy.

— Aha! to jeden tu pan fabrykant je taki — jak żyd cielęta powiązał łbami do ziemi, na wóz położył— to go do sądu oddał—sam stanął i dziesięć rubli kary nałożyli.

— To właśnie do tego Towarzystwa ten pan praktykant należy.

— Oj, boją się go teraz, boją! jak obaczą, na duch cielaki rozwiązują... to... tak... to... A to te pany widno do deptaku się nie dojrzeli... boby chyba nie dozwolili.

— Naturalnie... ale... tu na wieś kto tam będzie zaglądał, w Warszawie nie wolno.

W tej chwili nagnaliśmy przechodnia, ubrany w stalową burkę kramnego sukna, wywijaną czapkę—z parasolem w ręku, zeszedł z drogi, buchając w śniegu.

— Weźmy go, Kacprze—rzekłem... Przystanął. Siadajcie przyjacielu!... gdzie tak dążycie?

— Do siebie, w-ny panie -- odrzekł siadając przy woźnicy.—Niech będzie pochwalony!

— Na wieki!

— Dziękuję w-mu panu—bardzom się zmęczył.

— Ciężko?—zaznaczył Kacper — a wprzódy lekko było?

— Wy zkąd idziecie?

— Chodziłem służby szukać, w-ny panie.

— I cóż?

— Co, w sześciu dworach byłem—ani weź, wszędzie mają... swojemi się obędą.

— A wy na kogo?

— Na kogobądź.

— I, nie gadajta!—przerwał Kacper; na nikogo, w-ny panie! On był u nas za chłopaka przy źrebakach, to co?... tylo papierosy—haligancja—dziewczyny i tyla...

— A juści... wyśta widzieli...

— A widziałem... To potem przystał do gospodarki— wzioł trzy morgi i był gospodarzem na cudzem.

— I cóż, do służby chcecie, toż gospodarka lepsza.

— E, była gospodarka... ale nie ma—odparł skonfundowany...

— A gdzie trzy morgi?

— To tak, naprzód bracia jej nie chcieli dać wszystkiego—ja trzymał, a oni w prawo... tom morg uprzedał.

— Tak!... więc dwa zostało.

— A juści, w-ny panie — przerwał Kacper—drugi, to prawdę gadajta, na wódkę poszedł i na kaszkiety, paltony dla niego i żonie posprawiał.

— O już zara wieta... a dług co z prawa, to z czego ja dopełnił.

— No... no... a trzeci?

— Trzeci to jest—ale bracia wygnali, gadają—idź gdzie chcesz, siostry nie damy... dzieciaki niech będą przy matce... a ty idź szukaj służby.

— Mają rację, moi kochani, bo i trzeci by może poszedł...

— Prawda! prawda! przyznajta się Franek! a co nie gadał ja wam? nie lepiej było dworu się trzymać? bylibyśta fornalem — a tak, to i służby tera nie najdzie—chyba że do płockiej guberni pójdziecie, tam, gadają, niemcy przyjechali namawiać i lepiej obiecują i zabierają, to idźta!...

— Ja prawdę mówiący i w Warszawie był... gadali dobrze—to co, znajomości nie ma — miałem sześć rubli swoich, rozeszło się — a darmo nic... Nocował ja bez cały tydzień w ogródku, pod Matką Boską, na przecko Saskiego—żyd stręczył, że za stróża... to... sio... a z głodu mrzyj... zabrałem się i znów tu przyszedł...

— U nas to w-ny panie słuch jest—zaczął Kacper— co te niemcy — to nie do siebie do służby biorą — a gdzieś daleko mają wysłać za morze. To tybyś Franek tam się zdał—idź nieboraku... idź.

— O, abo wam to co tak dobrze?—odparł ze złością Franek. Pókiśta zdrowi to jeszcze—a jak broń Boże co...

— Taak?... widzisz go? a na fornala chcesz? a nie ma gdzie...

— E, może ta i znajdzie... Stańta Kacprze—dziękuje w-mu panu—ja w tę dróżkę.

— Łajdak, w-ny panie! ladaco. Bili się codzień z jej braćmi—pomstowali... oniby nawet chcieli po zgodzie—to nie!—on w prawo pierwszy poszedł—i jakoś tam nakręcili. co choć ich ziemia... a on sprzedawał, kilu zarwał, tak ten adwokat naradzał...

— No! co tam moi kochani... jak sobie posłał tak się wyśpi... a namartwiliście go zanadto.

Z góry sypnęły nowych płatów fale—kryjąc łabędzim puchem powierzchnię pól i drogi. Jak słupy śniegu poruszaliśmy się naprzód, tuląc w kołnierzu usta. Znów jakby uciął i padać przestał. Znów nowa fala, a wreszcie wolniej, słabiej... Płatki drobniejsze... rzadsze i już ich nie ma. To obmurował—trza się otrząchnąć.

— Ha, widać mocna będzie zima.

— Sypie i sypie bez miary... a zwózki nie pofolgują—jak się przyjedzie, zaraz zakładaj, choćby dwie fury, to nie daruje...

— Ot, wy gadacie temu Frankowi, a sami się skarżycie?

— To cóż, w-ny panie, choć się pożalę, a zawsze lepiej... ciężko to temu, co czeladnika nie ma, a musi najmać, a u mnie je dwie dziewuchy — to bajki. Tylo żeby w-ny pan za mną się wstawił.

— No, a jak gumiennego mają, to co pomoże.

— Juści... i to jest racja... będzie polowy potrzebny—ale dopiero od św. Jana.

— A na polowego chcecie?

— E!... gdzie ta... za stary jezdem i już uciekać bym nie mógł.

— Uciekać?... chyba doganiać?

— Oho!... aby nadążył uciec.

— Czemu tak?

— Jak pasą juchy to w ośmiu, dziesięciu, to co tam jeden skóra—tylo co dojrzy i w nogi.

— To ci polowy! a cóż z takiego?

— A do folwarku da znać—pójdzie z pietnastu piechotą i z ośmiu konno, to zajmą.

— Aż tak?

— Ho! ho! teraz już naród zmądrzał—a i w kożuchu ciężko mi chodzić i z watą...

— Z jaką watą?

— A juści musi z watą, bo biją—naszego jak pobili—to żeby nie wata, toby nie żył — a on krzyczał, krzyczał—potem na ziemię buchnął i palec se zarznął, jak obaczyli na śniegu krew, tak go puścili.

— Taki?

— O! bywalec, żołnierz! w Tyflizie, gada, był—to różne sztuki wie.

— To i w Rozgłośnej jest żołnierz, a o takich bataljach nie słychać.

— Wawrzyniec? o! to mądrala, on inaczej... Wiadomo, grunta przy gościńcu blizko, zaraz widać — to on nie leci zajmać, a leci na gościniec i pokazuje takiemu co przechodzi: o, patrz, pasie... Pierwszy raz przepuści, choćby i złapał, drugi też, jak trzeci — tak zaraz: świadki je — do sądu, abo: płać tam, ile, trzy, pięć rubli—i musi opłacić, bo się ciągania boi, a nocą we dwóch chodzą i temu tyż dopłaca od siebie. O! to mądrala, on bez każde lato storublówkę uzbiera, słychać, po ludziach grosz ma... ale to chyży młody, żeby tak na mnie—gdzie ta?...

— No, to już widać do starości tak będziecie...

— E, chłopak podrasta, jak się ożeni toć nie wygoni—dobry dzieciak.

— No, i pan o was nie zapomni... przecież są emeryci, dostają ordynarję, izbę...

— A są... dostają, ale tak jak jaka najgorsza, co już robiący wziąść nie chce, to ten jemeryt musi. Wiadomo, gdzie się podzieje, ale już to tam nie daj Boże!... Pan, jak pan—dobry i na nich łaskawy—a ludzie szelmy... Te to tak się tylko dopytują: a kiedyż on już umrze, ten stary chrycz? toż to i czas, cóż u Boga-Ojca—dosyć się nażył.

— Cóż tam na ludzi zważać, aby miał kąt i chleb.

— A co im do tego? to nie ich, ino pańskie; z jego łaski i zasługi, a wiesz ty, czego sam doczekasz? Popracuj-no tak ze trzydzieści roków, to obaczysz jaki klej w kościach będzie.. O! w-ny panie, jużel co sam nie pomyślisz, a Bóg Najwyższy nie da i zdrowia i opieki, to już to chyba niezkąd się weźmie.

— To też, moi kochani, jeszcze nie narzekajcie, pan o was, a Pan Bóg i o panu i o was pamięta, widzicie, ot nad drzwiami kościołka—oko Opatrzności Boskiej—więc cóż narzekać?

— To tylko jedno i pociechę człowiekowi daje.

— A potem, moi kochani, aby zdrowie-to reszta bajki.

— O, ma! prawda!... Dziękuję w-mu panu za krople.

— Nadali?

— Nadali... jakiem wziął pić, odraz taki duch lekki jak wiatrem owiał!... i lżej...

— To Bogu chwała... Z apteki dali?...

— Dali na pańskie—a jakże.

— Widzicie jak to dobrze, a inaczej bolałoby was, kiedybyście się tam zebrali o radę...

— O! to co prawda, niech Bóg najwyższy i jaśnie panu i w-mu panu da zdrowie...

Stanęliśmy u celu i przerwali rozmowę.

II.

## Na folwarku.

Z pośród drzew, na których śnieg gęstemi warstwy osiadł, wychylał swe oblicze biały, schludny domek i zdawał się zapraszać. Na spotkanie wyszedł pan rządca. Przyjemna twarz, otwarte szczere spojrzenie i całe wzięcie znamionowały człowieka z inteligencją, doświadczeniem i znajomością rzeczy. Zdawał się być stworzonym do samodzielnej pracy i w swoim czasie dał jej dowody—administrując znaczne dobra—skład jednak okoliczności zmusił go do przyjęcia bardziej zależnego stanowiska, na którem doszedł do pewnej nerwowości, widocznej w każdym ruchu i słowie.

— Cóż tu u państwa, ktoś nagle zachorował, a w liście nie ma dokładnego opisu, jechałem nieco zaniepokojony.

— Synek mi chory, okropne dreszcze, gorączka, nie wiemy co to znaczy... takeśmy się polękali, żem nie miał głowy opisywać.

— Więdz chodźmy, zobaczymy.

— Ja już to tam nie pójdę... Poczekam tu na pana konsyljarza.

— Zgoda...

W tej chwili weszła pani domu i zaprosiła do chorego. Kiedym po jakimś czasie powrócił, niespokojny ojciec spytał pospiesznie.

— Więc co to takiego?—i czekał odpowiedzi ze drżeniem mięśni w twarzy...

— Uspokój się pan, proszę... nic tak strasznego, przejdzie... lekki dyfteryt.

— Mój Boże!... mój Kazio!... Co z tego będzie? co z tego będzie?...

— Myśleć o tem, to moja rzecz. Nas w danej chwili zajmować winno, co dziś jest. Tonąc w przypuszczeniach, trujemy się niepotrzebnie, a najważniejsze, co robić w tym względzie? Pozostawiłem pani szczegółową instrukcję i proszę spać jak najspokojniej—dodałem z uśmiechem.

— Ale panie konsyljarzu, mrą na dyfteryt, ja tej choroby jak ognia się boję...

— Pokaż pan gardło?

— Nie! nie! ja zdrów jestem, Bogu chwała—ale...

— No to i dobrze... Statystyka wykazuje, że na dzień umiera na świecie 94,000 ludzi, a za to rodzi się 106,000, więc przybywa codzień 12,000, to dosyć, i to statystyka dawna, a teraz?

— Tak, ale nie daj Boże należeć do tej pierwszej kategorji; nasz proboszcz powiada: «Daj Boże być w niebie—aby nie prędko».

— Cha, cha, cha! Zuch proboszcz, to rozumiem. Ja znów mam kolegę, który zawsze pacjentom powtarza: «Nic ci nie będzie do samej śmierci!»...

Rozmowa weszła na tor wesoły.

— No, co tam w gazetach?—spytałem. Nie mam czasu czytać, próbuję w drodze coś chwytnąć, znów oczy bolą. Pan pewnie studjuje?

— A, wieczorem przeglądam. Teraz to ciągle o emigracji piszą.

— To właśnie nieszczęście! Przybiera ona coraz większe rozmiary... I jak pan myśli, co za przyczyna takiego prądu? Pan z ludem wciąż przebywa, to zna go doskonale.

— Nie wiem, może się mylę; zdaje się jednak, że: zniechęcenie... trwające od czasu, jak obniżyły się ceny na robotnika, a ztąd lenistwo.

— Ależ panie! ceny te są zbyt wysokie w stosunku do cen zboża.

— Tak... ale są, tylko że odpowiednie w stosunku do ich pracy. Żeby pan poszedł kiedy na pole, a zobaczył jak oni robią; to okropna rzecz, aż mdło patrzeć, póki to ręką ruszy, póki się schyli... zacznie... znów zaraz stanie i tnie gawędę... dotąd, aż karbowy krzyknie. I to tak każdy.

— No, ale przecie, dlaczego?...

— A bardzo prosto, mało zarabia, to jest najgorszy system najmu, jaki się tu praktykuje; nie ma jak dać na wydział, t. j. na akord, to różnie nazywają.

— Pan mi z ust wyjął; to wiele lepiej, znajdzie się siła, ochota i wszystko!...

— Jedyna rzecz; ma pan całe Niemcy, tam już tego nie znają. Masz zrobić tyle i tyle, chcesz, choć w trzy godziny mórg wykoś i owszem... I sam zarobi, i dwór na tem zyska... trzeba pilnować tylko, aby dokładnie robotę wykonano.

— Więc czemuż pan nie zaproponuje?

— Ale proszę pana... wprowadzić tu co nowego, to trzeba dziesiątków lat, rutyna, zwyczaj, niepodobna... nie z naszym ludem.

— No, bo w przeprowadzeniu każdej inowacji potrzeba wytrwałości i stanowczości: *tak dobrze, tak musi być!* Wie pan jak cesarz Wilhelm, *tak! a więc* na miejsce dawnego *tak! ale...*

— Właśnie cesarz Wilhelm zajął się szczerze tą kwestją, i jeżeli system przezeń wprowadzony dojrzeje, byt klas robotniczych poprawi się bystro.

— Cóż to za sposób, proszę?...

— Pierwsza rzecz, robotnik otrzymuje wynagrodzenie od sztuki, a potem co tydzień kupuje markę emerytalną i wkleja ją do książeczki; może wreszcie odrazu kupić, a co tydzień wklejać, a drugą taką markę wkleja pracodawca na rzecz robotnika... i z tego stwarza się emerytura.

— Swietnie rzeczywiście, jeżeli tylko będzie to musowo.

— A naturalnie, i wogóle w Niemczech nie znaną jest praca inna, tylko na tantjemę... i właściciel i pracownik na tem wygrywa.

— No tak, to teraz, ale przed laty przecież emigracja z Niemiec przybrała wielkie rozmiary... i do nas szli i do Rosji; no bo w Niemczech swoją drogą jest przeludnienie oddawna.

Właśnie, a jak się dziś mają!... proszę spójrzeć w okolicach Mińska, kolonizowano las, tożsamo jak dziś w Brazylji... Karcze, drzewo i pnie musieli odrabiać od każdej sztuki inwentarza po dniu na rok i jeszcze 6 dni za kontrakt, i... dali sobie rady. Niektórzy przyszli z pieniędzmi i zaraz najęli chłopów do karczunku na morgi. Oni więc pierwsi wprowadzili pierwiastek pracy od sztuki, cóż kiedy to się dotąd nie upowszechniło.

— Więc źle panowie agronomowie! skoro jesteście o tem przekonani, pisać do gazet!... przekonywać! bić! kuć! a głównie zacząć od siebie!... przykład, to najważniejsza rzecz!...

W tej chwili drzwi z sieni się otwarły i wszedł mężczyzna w szarej sukmanie.

— Czego to chcecie?

— Antek nie domaga, dziś do roboty nie poszedł, chcieliśmy prosić pana doktora.

— To trzeba na folwark?—spytałem.

— A tak, tu bliziutko, pan konsyljarz go obejrzy, to niezły parobek—dodał pan rządca—a przytem zwózka pilna, wozim wołami, szkoda czasu.

— Więc proszę pani—ukłony, a jutro synka muszę widzieć. Konie niech tam przy ośmiorakach staną.

Narzuciwszy futro poszedłem obejrzeć chorego...

Długi rząd ośmioraków stał frontem do ulicy, wysokie ściany i duże okna świadczyły, że o mieszkanie

dla ludzi dbano. Wnętrze izb nie pozostawiało nic do życzenia. Drzwi z sieni wiodły do obszernej izby. Sypialnia, salon, pokój jadalny, kuchnia—wszystko w tej jednej izbie, a jak w niej jednak miło i czysto. Ode drzwi półki, ubrane różnokolorowym papierem i fręzelką, a na nich: miski, talerze, pozatykane łyżki, szklanki, noże, widelce i parę flaszek od lekarstw. Od okna pod nie wsunięte krośna z postawem, na wybielonej ścianie pełno obrazów świętych; pod oknem stół, pokryty białą płachtą, dalej łóżko, a na nim chory, na dwóch olbrzymich poduszkach, przykryty kołdrą z samodziełu, znów duża wiśniowa malowana skrzynia i drugie, również suto usłane, łóżko. Dalej drzwi do komórki, komin i kółko. Gdym skończył tłómaczenie co i jak z chorym robić—postanowiłem sobie obejrzeć też komórkę.

— A co to tam komora?...

— A juści, to tak na różne dobro.

— Otwórzcie ja zobaczę...

— Wielmożnemu panu na co? tam nieporządek, żeby wiedzieli, toby sprzątnęli.

— Tak spojrzę na wasze bogactwo.

Drzwi otwarli i w pierwszej chwili znów stodoła, spichrz, spiżarnia, wszystko tu; i rzeczywiście kąt po za drzwiami odgrodzono na kartofle, na których leżały worki z plewami, podłoga zastawiona faskami, beczkami z mąką, kaszą, żytem, grochem, osypką, na ścianach półki pełne drobiazgów — sit, przetaków i t. p. W jednem miejscu ubiory, a u sufitu połeć słoniny i napoczęte sadło! Przez małe okienko widać opodal chlewki—masę świń i ptactwa...

— A gdzie kapusta?

— To znów w zimnej komorze.

— Bogu chwała... moi kochani! macie wszystkiego dość.

— Toć na potrzebę je...

Wtem mała dziewczynka, śliczna jak różyczka, wychyliła z po za ramion siostry główkę, raz... drugi.

— Co ty tu chcesz, ty mała!...

— Panie! Panie ja się pana boję...

— Chodź tu!...

Siostra się usunęła i na przypiecku zostało same maleństwo w kłopocie, założyło rączki za siebie i prawie z płaczem powtórzyło:

— Ja się pana boję—pan Zuzię weźmie.

— Chodź! choć duszeczko, nie wezmę, to jak masz imię—Zuzia...

— A to zuch Zuzia, miła dzieweczka......

......Przecież nie straszcie dziecka doktorem.

— No, bądźcie zdrowi .. Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków...

Wtem pac! pac w rękę... my chcieli prosić też w-go pana, u mnie matka chora, a u mnie dzieciaki... Chodźmy!... Radziemy... i znów puc! puc! a mnie krzyż boli, a w-ny pan do ogrodnika wstąpi... Dobrze! idziemy... chodzimy... radzimy... izby ogrzane — na dworzu zimno... patrzę już dwie godziny na ośmiorakach zeszło...

— A konie są?

— Jakże czekają... Grzesiek powiezie.

— Zbierzcie recepty—ile tam?... Masz szesnaście—jak przywiezie odda butelki do pana rządcy, a oni niech tam idą i proszą, to rozpowie.

— No więc siadajmy!... a to tu Kacper?

— Taki zwolnili od zwózki, kónisko zmachał się, niech w-mu panu Bóg da zdrowie. W-ny pan daruje, jeśli ja co nie tak rzek, wiadomo, człek bez edukacji.

— Owszem, dziękuję wam Kacprze, ja od was dużo ciekawych rzeczy się dowiedziałem--dziękuję...

— No ruszaj bracie! a prędzej...

## III.

## G r z e s i e k.

— No! małe! hej!... hej!...

— Dobrze! dobrze zaczynasz, to duchem dolecimy.

— A no jak? z imi trza gadać, a choć bydle, a rozumie, o żeby nie mowa, a tylo biczem, toby i trzeciej części nie słuchał.

— Kacper, ten jakoś inaczej...

— To bez to w-ny panie, jemu dobrego konia nie dadzą, tylo tak, co najleniwsze, o! on ma ciężką rękę.

— A do roboty zuch?

— Do roboty ujdzie, starowny, ale się straśnie z gumiennem nie lubieją, uh! jak te koguty, jak się nastawią, bez wymysłów się nie obejdzie!... a tu już kiedyś do grabi się brali... No! małe! hej! ruśta! aby na drogę no! no!

Po małej chwili przejechaliśmy przez dziedziniec, okolony stajnią, oborą, owczarnią i stodołami... i znaleźli się na gościńcu.

— No! teraz—pokażta co umieta hej!... hej!

— To ty biczem ani... ani?...

— A na co? tak dla postrachu się trzyma, ale bić nic... oni czują...

— Zuch jesteś, zuch i wesół chłopak—kawaler?

— Nie! żonaty i dwoje dzieciaków jest.

— Dobrze!... a w służbie dawno?

— Już trzy lata wysłużył, a tera czwarty poszedł.

— A dużo bierzesz pensji i ordynarji?

— Pensji 21 rubli z zadatkiem, a ordynarji wiadomo pół dwunasta korca.

— I to wystarcza?

— Musi!...—odrzekł wesoło — chleba nie kupujemy od pory do pory nie zbraknie. Na chleb, na kaszę, na osypkę—pszenicy na placki—jak święta... i grochu do garnka i mąki na kluski.

— A kartofle?

— Kartofle—pół obiorą — i zjemy, a pół dla świń zgotuje...

— Więc sprzedać z ordynarji nic się nie uda?

— Chowaj Boże, ani ziarnka.

— Ale zapewne kobieta sprzeda świń?...

— O to jej mus!... łoni wieprzka za pięć, drugiego za siedem, i świnkę za dwadzieścia dwa upasła...

— No to zawsze 34 ruble, a z pensji co zostanie?

— Z niczego, w-ny panie, kup but, sól, naftę, mydło, zapałkę, odziewek, rozydzie się ani widzim.

— A z kur jest dochód?

— Ja w kurach się nie kocham, dwie jest kokoszek i kogut, u drugich tam i jajka na targ się znajdą, a u nas nie...

— A krowę także macie?...

— A jakże, krowa na dworskiej oborze, dobry karm, moja trzy garnce daje, jest dla dzieci, na ser, a z czasu i jaki tam funt masła się sprzeda.

— I takie krowy wszyscy macie?

— U mnie się tak udała, i jeszcze się znajdzie, a inna i garnca nie dociągnie.

— Jak żona koło dzieci chodzi, to już zarobku nie?

— A czeladnica... ta musi chodzić do dworu, ale to już tam z tego, może tak, co na siebie i tyla.

— Nic nie zostanie?

— Aby nie dołożył!... płaca mała, co to dopiero caleńki dzień żniwo wystój 50 groszy... znów zimą, czy

tam z przetakiem, czy przy młockarni dwadzieścia groszy, tylo co wiosną, jesienią, to tam poprawią do złotówki, to z czego tu się zbierze?... Wio małe! wio!... widzisz go już folguje... ja ci tu dam hej...

— Czekajcie obliczemy ile to dni wypadnie na rok: Jak wiadomo, mamy w roku 365 dni, z tego odchodzi 52 niedziele, 23 świąt, ze 4 dni odpusty w innych parafjach, ze 4 dni jarmarki, a z 7 sądy i świadki, jeszcze z 10 dni choroby i różne interesy, to razem 100 dni precz, zostaje 265 dni...

— Aj prawda!... Tylo co do sądów nie każdy, a i choroba tyż, jak ja o bez trzy roki, daj Boże w dobrą godzinę wymówić, ni razu nie chorował.

— No dobrze... a jak który dwa miesiące leży, co?

— A juści, są i takie.

— Widzisz więc, liczmy dalej 265 dni na 12 miesięcy, to na każdy miesiąc wypadnie 22 dni zarobkowych, niech nawet 25 dni, to już taka czeladniczka musi ciągle robić. Zatem: 4 miesiące letnie 100 dni po 25 kop.—25 rubli, 5 zimowych po 10 kop. za 125 dni wypadnie 12 i pół rubla, a za dwa jesienny i wiosną po złotówce—7 rubli 50 kop. Razem 44 rubli 50 kop. No! trzysta złotych.

— Jak w-ny pan tak może bez księgi rachować, toż u nas jest najem i dnie to po książce.

— No widzisz, a ja bez książki i dobry jest rachunek, co więcej ci powiem, że wypadnie za tę czeladnicę dla ciebie na dzień około 25 groszy.

— A czy w-ny pan myśli, że za te cynę ktoby ją chować zechciał?

— No może tak wogóle—jak z jednej miski.

— Jak świat światem nie; to tylo tak, że nakaz z dworu jest i przy zgodzie bez tego nie chcą, to człowiek musi, a co na zysk nie warto.

— Przecież taka dziewczyna, jak dobra, to i dzieciaka przypilnuje i świniakowi da i co uszyje.

— Jak dobra, może, a gdzie ich tych dobrych szukać? taka co jak zwyczaj—to jak już do roboty chodzi to ona tylo co do miski, a potem na ulicę szczerzy zęby; jak wody przyniesie albo kartofle poskrobie, to wielga łaska.

— No przecież i sobie musi uszyć, uprać.

— A juści musi, a jej z okrasą daj i 25 rs., to co zostanie?... Wio małe! wio! a to psia para! Ej! bo jak walnę!... no!...

— To widzisz jak to z rachunku wypadło, a teraz sprobujemu policzyć co ty pana kosztujesz?

— A no... niechno w-ny pan, jaby i sam chciał wiedzieć.

— Myślisz tak mało? wcale nie, ja już to kiedyś rachował. No czekaj, ja będę liczył, a jak co nie tak, gadaj. Bierzecie zasług 21 rs., żyta 5 korcy po 5 rs. to 25 rs. Jęczmienia 4 korce też po 5 to też 20 rs.— to razem będzie 66 rs., a teraz dalej, pszenicy pół korca trzy i pół rubla, grochu korzec pięć i pół. Drzewa fur ile?...

— U nas po 10 parokonnych fornalek biorą.

— To po 2 ruble jedna, czyli 20 rubli. Z poprzedniemi uczyni 95 rubli, a teraz mieszkanie 15 rubli. Plew pewno ze 12 worków—4 rs. Słomy 4 centnary—półtora rubla. Ogród na len i kapustę—półtora rubla, na kartofle — 10 rs., to jeszcze 32, to z poprzedniemi 127, jeżeli dodać trzy ruble na koszta leczenia, wypadnie 130 rs. Dobrze?

— Ono tak, tylko na żyto i drzewo wydaje zadrogo.

— No niech od żyta 5 rubli precz, od drzewa 5 rubli precz — zostaje 120 rubli, a że liczyliśmy roboczych dni 265, niech 280, to wypada po 43 kopiejki z czemś za dzień... No teraz porównajcie, wy bierzecie po 43 kopiejki, to jest prawie po pół rubla za dzień, a taki czeladnik, ogrodziarz, lub najemnik po pięćdzie-

siąt groszy i mniej — jakże wy powinniście pracować na tego pana, żeby on na was wystarczył.

— A juści! abo to ja w niedzielę i święto nie obrządzam, trzeba i bydłu zadać.

— No, co to za robota? A prawda! nieliczyliśmy utrzymania krowy na dworskiej oborze.

— Pan będzie panem, w-ny panie, choćby tam jak, a my co sobie poradziemy biedaki... Hej małe!... wymijaj! na bok!... nie widzisz!...

— Co, to wasi fornale?...

— A juści, nasze — z odstawą do Buga jeździli — wracają.

— Dobry uprząż i chłopcy jak jeden.

— Jak który... tera po letku — to bajki... tylo co wczoraj żyd im powiadał co cyna mała będzie... mój Boże, za takie ziarno—jak złoto.

— A mała... co poradzi?

— A juści, Berko gada co na samego prusaka dziesięć złotych z korca płaci. I co ten Prusak za taką siłę ma? za same takie ziarko jak brali te pszenice ho! ho! to na okoliczność się nie najdzie, a widno prawda, żydby łgać chyba nie łgał.

— Tak jest, od zboża płacą cło na granicy, inaczej korca do Prus nie puszczą, a niemiec płaci też za to wszystko co tu przywozi, za maszyny... zegary... jedwabie... węgiel.

— Gadają, w-ny panie, co tak nasz cysarz ma taki mur budować na tej granicy, tak wysoki, jak dzwonnica.

— Głupstwa gadają... to na to jest, żeby tu robili zegary i maszyny, nie tylko gotowe szły z Niemiec.

— A niemiec czemu na żyto?

— On też chce odemścić, i mówi do swoich siejcie sami więcej, co macie polskie sprowadzać, albo ruskie.

— Aha! tak się wadzą... no ale bez to toć chyba nasz pan najbardziej stratny, bo żyd wiadomo odpisze...

— Wasz pan ile odstawia na rok?

— Bóg go tam wie! jak popadło, łoni to z naszego folwarku, pszenicyśma odstawili 200 korcy, żyta—300, grochu i jęczmienia po 50 i koniczyny 8 korcy, a co ze wszystkich, nie wiem.

— No to widzicie 600 korcy, to od tego wypadnie 900 rs. na cło.

— O la Boga! a to psia para niemiec chytry... a może żyd z nim w zmowie?

— E nie!... tą razą się mylicie.

— Bo oni, w-ny panie, na jarmarku, to w zmowie są, jakieśmy cielęta pańskie powieźli na jarmark tylo zaraz nasz pakciarz podszedł i gadany co jesteśta!... probujta! a sam zdalecza stoi swargoce idzie drugi — skubie... co za te cielę?... Półsiodma rubla... co? takie chude, skóra i kości, to z dworu takie, stydźta się, chceta po trzy ruble, a nasz dawał w domu po pięć...

Półsiodma rubla słyszysz? podchodzi drugi, drą cielaki... guzdrają... ja na nich — nie ruśta, bo kozicą!... Ny! co pan Grzegorz taki zły?... znów rudy jakiś podlazł żydzina, bierzeta po dwadzieścia dwa złote?—gada. Tak rozzłościł! jak nie krzyknę. Idź! bo cię hyclu bez łeb zwalę!... Półsiodma rubla słyszałeś!... odeszli... ja stoję... stoję... znów podchodzą... ny, 23 złote i groszy dziesięć nie weźmieta—i dwa kieliszki wódki. Gadałem idź do djabła! abo daj cynę i bierz! tu zimno z tobą rozprawiać!...

— Co, wasz pan tu?

— Nie, w domu.

— No to mu powiedzta—niech sam przyjedzie, to się zgodziema...

Stałem i stałem tu już pod wieczór, ani jeden więcej nie przyszedł co robić do domu... tylo patrzę, nasz pachciarz znów... Panie Grzegorzu, zabierzta mnie do domu.

— Niedoczekanie twoje, psia paro! nie wziąłem... co robiący, wiozę cielaki do domu. Pan się nagniewał—gada durniaście posłali—niech Kacper jedzie.

— Cóż, Kacper sprzedał?...

— Dzie ta! i on to samo... a cielę w domu zre...

— I cóż nareszcie?...

— A taki pan sprzedał pachciarzoju po 5 rubli, a co zjedli, przepadło...

— To może pan wysoką cenę stawiał?

— Nie! chowaj Boże, cielęta byli walne, ale co z żydem poradzi—chciał tanio kupić, podmówił innych i hola! Gadają u nich tak, jak jeden kupuje, a drugi go podkupi —oskarży do rabina, nie wolno... i bez to wszystko tanio.

— A czemuż ze wsi nikt nie podkupił?

— Co we wsi, mają swoje...

— A wolarz?

— Wolarz to na cielęta nie łasy—jakby tak wołu upas — to insza racja, a co do cieląt, to gada żydowskie.

Zciemniło się, konary drzew przysłoniły horyzont, srebrne promienie, przedzierając się przez gęstwinę, zwracały oko ku górze—ku temu światłu, co obojętnie patrzy na ziemię i z zegarową, egoistyczną dokładnością bieg swój toczy. Wązki paseczek modrego nieba wskazywał drogę — tam... tam... wysoko, tak jasno... tak modro... tak pogodnie... Wtem chmurka weszła na tarczę, promienie znikły...

Na koźle Grześ—w około las... jedziemy stępa...

— Czemu tak wolno?

— Niech się przejdą... już kilka wiorst lecieli.

— To ty ich lubisz, widzę?

— Jaby za konia nie wiedzieć co oddał—mój jeden zwłogawiał, teraz u Jankla je—to ja nie mogę patrzeć na tę jego mękę—nakładzie—nakładzie i do Warsiawy prze... A niech cię...

— To trudno, za to pasie.

W tej chwili sanki stanęły. Grześ, który od pewnego czasu lejcami szarpał, zsiadł i przed konie zaszedł, poprawił lejc, który koń przez łeb przerzucił, pogłaskał konie, poklepał po szyi i oderwał podkowę, która widocznie przeszkadzała w biegu prawego konia... Pozostawało niewiele drogi, postanowiłem więc wyczerpać inne kwestje...

— A tak na ośmioraki żydzi zachodzą—zacząłem...

— Boją się, w-ny panie, jak są mężczyzny w domu, to nie napuszczą, ale jak u roboty, to babom zaraz nadają—a to chustkę, a to na fartuch, a to śledzi, abo paciorków różnych.

— A potem, mężu, płać?...

— Nie, same się wypłacą, ale wiadomo co z jednego.

— No, a pieniędzy na procent—wódki, nie dają?

— Wódki to nie—boją się—która tam do nich pójdzie, to na cichego pije; a co pieniędzy, to się nie zdarzy—na zasługi nie zaufa.

— I cóż wam baby o tem mówią?

— Gdzie ta, sam człowiek miarkuje.

— Toście powinni ukrócić...

— Jużе tam, w-ny panie, co z babą skóra? jak zechce, to żeby tam sto oczów miał, osiuka...

— A tak nie podmawiają do kradzieży z pańskiego, co?

— Onby rad... przyjmie... już trzeba mówić akuratnie — przyjmie, tylko zanieś... ale się boją — było wykrycie na taką rzecz... to czterem wymówili służbę... teraz nie słychać.

— A wybyście poprosili pana, żeby tych żydów, co bardziej oszukują, nie trzymał...

— To nie dworskie—to na wsi siedzą.

— Na wsi nie wolno.

— Wolno im widać, sklepy mają... Raz jakoś pan się uwziął i gada do wieskich: nie miejta żydów u siebie, i ja się swego wyzbędę...

— I cóż?

— Ha, wymówili im kontrakty i niby to coś miało być—to jak stara Janklicha poszła do jaśnie pani, zabrała wszystkich bachurów... jak zacznie płakać a gagać: A my tu byli... i dziadek i babka, a ja pamiętam jak jaśnie pan tylki był... Wiadomo, pani ma miękkie syrce i znów zostało jak było...

— I gospodarze nic nie zrobili?

— A nie, gadają: kiedy jaśnie pan nie—to i my nie.

— No, ale też gdzież się i oni biedacy podzieją?

— To czego w-ny panie siachruje? Kiedy chce siedzieć i na dziadka się zaklina, to niech uczciwy będzie i niechby siedział... ale gdzie ta! wyprosili—a teraz znów toż samo... jeszcze leśnika zwymyślał i gada: nas ruszać nie wolno! niech no by kto spróbował to jemu i jego żonie, dzieciom i wnukom źle będzie i mściłby się, o mściłby jak świat światem.

— Tak myślicie?

— A juści jak w Kogucinie żyd na karczmie siedział i pacht trzymał. Tylko już w tej karczmie co tam nie było? i złodziejstwo się wdało i strażników pobili i różności, pan się rozzłował gada zgorszenie idzie—wymówił żydoju... Co robiący—żydy zebrali się z rabinem—jak jęli przeklęstw dobywać tak mu zadali... że panu w głowie się pomieszało— nie spełna rozumu został—co nie robili i doktory i u ciepłych wód i po zagranicą. Mocno było zadane! nie wytrzymał nieborak... pomer. A tera te same żydy na karczmie siedzą, dziedziczka pobojała się, kazała puścić — co ma robić?

— It! głupstw słuchacie. Chory był dawno, pogorszyło się i trudno...

— Nie! w-ny panie, jakuratny pan był, prawda przyskąpy, rachował, ale każdego szycko doszło — mój brat tam służy, to gadał—i nabożny, a tylko taki dopust Boski i żydowskie czary. Sam nasz Jankiel gadał co oni zadali za karę, ale kto im dowiedzie...

— A wy byście go przy świadkach zaraz powiedzieli tej pani dziedziczce—niechby zeznał...

— Co mnie ta w to się wdawać, takiego robaka toby zamarnowali, na nie nigdzieby służby nie znalazł.

— I tak nawet?...

— Zgani, w-ny panie... zgani... z niemi nie można, ot pan sędzia ten tak z żydami w zgodzie, bez nich nic... to mu dobrze idzie... a przecko żydów nic nie poradzi—już wielgą siłę wzieli — na co pany mocniejsze od nas, a nie zmogą...

— Nie!.. wy moi kochani mocniejsi jesteście, bo nie macie długów i bardzo wam mało trzeba.

Wjechaliśmy w ulice miasta. Nikłe światło maleńkich świeczek w oknach znamionowało zajście szabasu i unosiło myśl w dal przeszłości, w Babilońskie czasy. Na rynku z bożnicy sypnął rój czarnych postaci, tam znów żydówek grupy w świątecznych strojach żwawo dążyły do swych domostw, uprzedzając mężczyzn. Po sześciu dniach pracy... szli odpoczywać... świętować...

# KONTRASTY.

## I.

### W pałacu.

Cuganty mknęły sążnistym kłusem. Wpośród fal śnieżnych, niedźwiedzi kołnierz woźnicy robił wrażenie lwiej grzywy, konie—apokaliptycznych bestyj, jarzące słońce kąpało się w tarczach guzów liberji i w srebrnych brylantach, rozsianych na powierzchni białego morza.

Pojedynki i fornale zjeżdżali pośpiesznie z toru, widząc imponujący zaprząg... Wkrótce stanęliśmy przed «pałacem», a po chwili znaleźli się w salonie.

Meble miękkie, aksamitne, złocone i jedwabne, stosy albumów, malowniczo ustawionych fotografij, masa drobiażdżków, aromat *ylang-ylang* i grupy egzotycznych roślin!...

Pięknie tu malowniczo... jakaż różnica od wieśniaczej chaty?!...

Po chwili wyszedł wytworny «jasny pan», a przywitawszy, prosił ogrzać się, wypalić cygaro... po czem do chorych wezwał.

Po udzieleniu porad podano kawę i gawędka dotknęła «emigracji».

— Choroba ta i nas dotyka, to jednak epidemiczne, nieprawdaż?

— Zapewne! — odrzekłem — gdy zaraza znajduje grunt odpowiedni łatwo się przyjąć może i robi wielkie szczerby.

— Czy pan znajduje, że tu grunt tak przygotowany? ja sądzę, tu bardziej działa sugestja agentów i ślepe naśladownictwo.

— Do pewnego stopnia, być może, jednak główną podstawą myśli o polepszeniu bytu, stanowi—byt zły.

— No, to względne. Moim zdaniem, ci ludzie, stosunkowo do tego co dają, otrzymują bardzo wiele! Spojrzmy na chłopa w takiej Holandji, Belgji, właściwie nie chłopa-fermera, który również się ekspatrjuje i wychodzi z kraju. Cóż za różnica w porównaniu z naszym? Tamto rzeczywiście pożądany element dla każdego państwa! A w takiej Anglji?...

— Nic dziwnego! statystyczne dane twierdzą, że przeciętny anglik wydaje na swe utrzymanie miesięcznie 21 rs., a że $^2/_3$ z tego używa na pokarmy, więc około 14 rs. Niemiec wydaje 16—18 rs., czyli na pokarmy około 11—12 rs. U nas zaś w Królestwie wypada średnio około 6 rs. na mieszkańca, który w ten sposób obliczając na pokarmy wydaje około 4 rs... Zkąd więc tu może być siła organizmu?... Zkąd mowa o dostatecznem wynagrodzeniu za pracę?...

— Przypuszczam, lecz zważmy co pracodawca otrzymuje od takiego najemnika w Anglji, a co u nas? Taki holender cały dzień umiejętnie pracuje latem i w zimie. Za trzech tych gapiów zrobi!... i kontent i wszystko ma—wesoły, uśmiechnięty, pracuje pośpiewując, prawdziwa rozkosz patrzeć!...

— Dlaczegóż mamy twierdzić, że nasz kmiotek nie byłby zdolny do równie intensywnej pracy? właśnie nie widząc tu pola, dowiedział się on o tej różnicy i dziś tak pragnie zmiany.

— Niech pan nie wierzy!... on chce próżnować!... powiedziano mu—złoto kapie nie będziesz nic robił... i już leci jak na lep, na próżniactwo!...

— Czyżby? — zaznaczyłem—wszak wiedzą, że tam trzeba lasy karczować, orać, siać, pracować.

— Tak, ale o tem nie myśli tylko dostanie darmo ziemię! i jak zostanie panem *nic nie będzie robić!...* to ideał!...

— To trudno, każdy ma swoje ideały, zdaje się jednak, że on liczy właśnie na swą pracę... i po niej spodziewa się dobrobytu, a może i wypoczynku!

— To najgorsza, że mu to się nie uda!... Zastanówmy się do czego zdatny? Orze licho, powierzchownie, inwentarza wychować nie umie, wszystko to jak muchy chude, ptactwa chowa mało, zapleśniały, zacofany, żyje jak nieboskie stworzenie! no co z takiego? Komu on na co potrzebny? Boże! w Brazylji? Zobaczy pan jak się przyjrzą nie zechcą przyjmować, jeden holender, nawet włoch, za trzech starczy.

— A jednak podobno lud nasz tam chwalą?...

— Tak mówią agenci, bo idzie im o głowy. Niech pan nie wierzy. Niema nic niedołężniejszego na świecie jak chłop i drobny szlachcic polski!... uosobienie niedołęztwa i niezaradności!...

— Biedni, źle byli wychowani.

Skrzywił się interlokutor i dodał: Może... od pewnego czasu wychowują się sami... Wreszcie zarozumiali, nieposłuszni i nie przywykli do rygoru.

— Ma pan zagranicą, służący wprawdzie przestrzega ściśle, by go szanowano, pilnuje się godzin wypoczynku, lecz w godzinach służbowych tak: «zrobisz to i to!... i nic więcej, to jest rozkaz, nic nie pyta, robi. My zawsze inaczej: Mój Andrzeju, zrobić to i to, bo... Weźcie ztąd tę lampę, bo zanadto świeci... i on na te objaśnienia czeka, robi się totumfacki. Powoli zdaje się mu, że tylko go trzeba prosić...

— Więc właśnie źle ich wychowaliśmy...

— Naturalnie źle, ale to już teraz nie da się odrobić...

— Tak, zapewne, widzi pan, ale lud wiejski nie czeka rozkazów, robi dla siebie, a widać ma mało, bardzo mało, skoro chce wychodzić.

— Tam... bardziej lenistwo gra rolę — chcę... robię— chcę... leżę — chcę .. jadę na jarmark; dzień za dniem rozbałamuca się... a potem ha!... bieda, już takiej biedy nie pamiętamy... i tak jeden za drugim... i ma pan grunt przygotowany nie tylko do emigracji, ale co pan chce najgorsze z łatwością zasieje.

Milczeliśmy chwilę...

— Więc w niedołęztwie własnem pan upatruje przyczyne złego?—dodałem.

— Przedewszystkiem... wreszcie to nazbyt szeroki przedmiot... lecz wróćmy do służby i oficjalistów — tu znów pretensjonalność bez granic, np. miałem ogrodnika z ludu — wprawdzie skończył renomowaną szkołę ogrodniczą... Nic!... tylko wynoś się dla niego z pałacu i 300 rs. płać!... za co? Jak cokolwiek chlipnął nie zna ceny!... a to rozbój na gładkiej drodze!...

— Cóż ten ogrodnik, musiał coś robić, dawał dochody?

— No tam niby dłubał—ale to wszystko nic warte...

— Jakto? wszak utrzymywał oranżerję, front pałacu, ogród angielski, warzywny, ogród owocowy.

— Cóż kiedy z tego dochodu nic...

— No, bo jak ogród angielski służy dla oka, oranżerja dla estetyki, warzywa i owoce ledwie wystarczą na użytek dworu, to zkądże dochód ma być? a on tymczasem pracuje... Niech pan cały ogród obróci na owocowy, będzie z tysiąc rubli zysku.

— Ale tymczasem za co trzysta rubli?..

— Za sto będzie jaki badylarz nic więcej, ale estetyka na tem stanowczo straci.

— Przypuszczam—lecz wogóle brak wielki oficjalistów praktycznych, niższych i wyższych — nie mamy kucharek, pokojówek, praczek, specjalistów nabiałowych—wszystko to w domu ucz, wyrabiaj.

W tej chwili weszła wykwintna i piękna jak hebe pani domu.

— Właśnie o pani zdanie tu idzie... bardzośmy ciekawi...

— Co takiego? panowie debatują?... chętnie służę...

— Mówiemy o braku wykwalifikowanych pokojowek, praczek, kucharek, mleczarek i t. p. Czy pani byłaby z takich patentowanych bardziej zadowoloną, jak ze zwykłych Kasi, Marysi, przygotowanych po domowemu?

— Zapewne byłabym bardzo rada... ale toby wyniosło szalenie drogo... to niepodobna...

— Moja kochana—kucharz bierze 600 rs., wprawdzie wyborny... ale za tę cenę miałabyś kucharkę, mleczarkę i no i np. gospodynię, prawda?

— Tak, ale tymczasem — te mają mniejsze wymagania—kucharz to trudno dla zdrowia—a toby się zaczęło!... to imby trzeba służyć!..

— Rzeczywiście, wtrąciłem, i tak źle, i tak nie dobrze, ja za kucharzem zawsze głosować będę o tyle, o ile on przygotowuje potrawy zdrowe, proste i smaczne, jeżeli jednak rozpieszcza podniebienie i potrzebuje masę różnych kosztownych dodatków, zaliczę go do rozkoszy... i kto wie, czy prosta praktyczna kucharka nie byłaby lepszą?

— Tak, kucharka może... albo np. oficjaliści cokolwiek wykształceńsi—nie wiedzą, jak się cenić! Wymagania niepodobne! Życie nad stan!

— Rządcy mieszkanie za małe, zły *equipage* do kościoła. Ekonomowi sto rubli pensja zamała. Gorzelany chce trzymać sześć sztuk trzody. Gumienni — indyki. Niepodobieństwo wytrzymać!... i każdy powtarza — co

tam dla jaśnie pana znaczy... ale zmiłujcie się, was tylu... jak tak każdemu.

— Przecież pan sam mówił, że tam w Holandji stokroć lepiej żyją—cywilizacja i tu się przedziera.

— To też to, że cywilizacja bystrzej rodzi wymagania, jak rozwija zdolności do pracy. Nic! tylko potrzeby życiowe! Potrzeby życiowe!., tu każdy żyje nad stan.

— To rzeczywiście zda się być głównem nieszczęściem—życie tak szare—przykre, że występuje na scenę nieprzełamana dążność do otrzymania wrażeń i złudzeń, a przytem cywilizacja, a poniekąd przykład rodzi poczucie potrzeb życiowych i budzi masy z letargu i snu niedźwiedzia, który dotąd niespostrzegając dalszych horyzontów nie śmiał nawet myśleć i był o wiele szczęśliwszy...

— I cóż wymyśli? może myśleć, pragnąc, a dostanie to—co wart, nawał kandydatów!... Nastały te czasy, że nie aspiracje, lecz rzeczywista wartość otrzymuje premje, to się da ogólnie zastosować, tak i z tą emigracją, jak tam sobie chcą... ale to nic z tego! ogromne będzie *fiasco!..* ich tam wykurzą duchem i popowracają.

— No, nic nie szkodzi, zobaczą kawał świata, przekonają się, że trzeba dziesięć razy tyle umieć i cztery razy tyle pracować, może się poprawią, a wtedy aspiracje wobec twardej rzeczywistości prędko ostygną...

Rozmowa przeszła na teatr, tryumfy Modrzejewskiej, rozkosze badów, cuda Wenecji i Neapolu...

II.

## Na torze.

Myśl biegła het!... w przestrzenie.

Wtem konie w bok skoczyły. W rowie przy drodze ktoś się poruszył...

Stój!... Kto tam?

To Dyzma, znany w okolicy żebrak, zmęczony podróżą, spoczął na chwilę...

Postać typowa i oryginalna, postrach dzieci i kucharek, wreszcie bardzo łagodny i potulny dziadek, kiedyś miał zostać braciszkiem klasztornym, lecz wcześnie rozwinięty pociąg do wódki zwichnął los jego. Przytem filut wielki...

Przed paru laty, niepokojony przez strażników o paszport, wziął się na taki sposób: jest chory, uzyskał więc świadectwo lekarskie, że potrzebuje udać się do klinik warszawskich dla wykonania operacji, od tego czasu najswobodniej cyrkuluje po całej szerokiej okolicy, okazując dowód, że do Warszawy idzie lub z Warszawy wraca...

— *Laudetur Jesus Chrystus!*—zaczął.

— *In saecula saeculorum!*

— Siadajcie, dziadku, podwieziemy...

— Dziękuję... zgoda, siądziemy.

— Gdzie tak Bóg prowadzi?

— Z za siebie—przed siebie.

— I tak całe życie? Pewnie z gospodyśmy wyszli? Oj, panie Dyzma, nie jeden radby was wspomódz, ale tak jakoś nie wierzy się... Pójdzie na wódeczkę...

— Aha! a ja się gdzie na starość podzieję... Jakie to u w-go pana ciepłe futerko, a mnie... mnie brrr zimno!

— Żeby nie wódeczka, wystarczyłoby i na kożuch...

— Stare kości, sam kożuch nie wystarczy.

— Poszlibyśmy po wsi — tu kaszy, tam ciepłego mleka, tam barszczu, ten buty, tamten sukmanę.

— Oho! nie te czasy! Niech Pan Bóg opatrzy! nie łaska, kromeczkę dadzą, a grosika nie! na kromki świnki nie mam, a dźwigać nie mogę. Wódzi nic! Dyzma biedny!... Bywało w ośmiorakach się pożywił, a teraz świętowali na sucho. Gorzelnia jest, a kwartówki pojechali do Gdańska. He! he! he!...

Woźnica poruszył się na koźle. — O ma! ma Dyzma rację!

— Jakto?—spytałem—jakie kwartówki?

— Niby to on gada, ludziom te święta pan dziedzic nie kazał dawać, to Dyzmy nie mają czem częstować.

— Hm!... to szkoda w samej rzeczy... a bez truneczku ani rusz? to bieda—możeby do Brazylji machnąć... a?...

— Oho!...—potrząsnął dziad głową—tu siedzą tysiąc lat, nie mają co dać, a tam co?

— Tam są bogacze, fabrykanci, kupcy?...

— I dla mnie tu wystarczy, a bo to ja mam dzieci? Ci co dla dzieci alimenta znoszą, to co innego?

— Prawdę mówiąc, więcej takich.

— Jest nas szesnastu w okolicy, a tylko ja i stara Joanna na siebie pracują, a reszta!... dla córeczek, wnuczków, szwagierków na przysmaczki, a chleb dla świnek—to lepiej?...

— Tak, tak! macie rację.

Jechaliśmy w milczeniu czas jakiś, tylko dziadek coś szeptał do siebie.

— Co to tak Dyzma się modli?...

— *In nomine Patri et Filio Spiriti sancti*—zaczął.

Ja dodałem: *Amen.*

— Na początku było słowo! a słowo było u Boga, a Bogiem było słowo, są słowa wyjęte z dopiero co przeczytanej ewangelji. Moi mili parafjanie!...

— Słyszałem, słyszałem, czy to znów jakie nowe kazańko?

— Wielmożnemu panu się nie spodoba?... I rzekł Bóg, niech się stanie światłość i stała się światłość, a światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły...

— I to znajome.

— *In nomine Patri et Filio!* Maluczko, a ujrzycie mnie! Maluczko, a nie ujrzycie mnie!... Państwo staną, ja w tę drogę...

— Już! Macie tu dziesiątkę na kieliszek!

— *Deo gratias!*... Stanęliśmy.

Dziad zlazł, torbę przewiesił, położył dziesiątkę na dłoni i zaczął:

— Ta-ak!... Na wódzię... akurat... wypiję... zapłacę. Siedem groszy dla Najjaśniejszego Pana! dwa grosze dla karczmarza!... grosz dla jaśnie pana!... *Vivat!... aqua vitae!... Laudetur...*

*In saecula...* I poszedł...

# N O C Ą

## I.

## Żydki.

Po dniu ruchliwym i jazdach w dwie strony, jakże się mile uśmiecha spoczynek!... Już nie ma prawie ważniejszej sprawy na świecie. Wzięta do ręki gazeta wabi i walczy swą treścią z Morfeusza władzą... nareszcie walka staje się nierówną... ręka drga... raz, drugi—gazeta spada... i budzi — przykręcamy lampę!.. światełko pyk!... pyk!... pyk!... jak dusza z gasnącego uchodzi ciała... nastała ciemność... przed oczami snują się jakieś widziadła... postacie... twarze... zielone gaje... błękity... i przechodzimy w stan bezwiedny... co za rozkosz!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Wtem zda się dzwonek? raz!... drugi!... Czy nie pomyłka?... Nie!... powtórnie... coraz mocniej... Ha!... dźwięki znane... zapałka... zegarek... pół do trzeciej... Dzwonek na służącego — głucha rozmowa w oddali... potem ciche kroki... Czy to we śnie? Niestety, zda się na jawie...

— Proszę pana! Proszę pana!

— Co tam?

— Jakieś żydy do chorej żydówki — tak płaczą... bardzo pilno!...

— Zaraz! zaraz!...
— Proszę pana, bardzo pilno...
— No zaraz, będziesz ty mi dokuczać!...
Raz! dwa! trzy!... jesteśmy w oczekiwalni...
— Cóż tam takiego?... co się stało?...
— Aj waj! aj waj! Pan doktór będzie łaskaw jechać... Una już nie żyje.
— Umarła? po cóż pojadę?
— Una tak trochę dycha.
— To nie mogliście w dzień?
— Kiedy una tylko co... tylko co może pięć minut jak ją złapało! już po niej!
— Cóż ją boli?
— Wszystko!... Oj na brzuch, głowa, ręce, nogi... serce... una mgleje...
— Daleko to będzie?
— Do Dosłębów Fejga Morgenstern, w-ny pan wi?..
Po chwili wychodzimy na 20-sto stopniowy mróz i w drogę...
Pani Hygieno!... co tam raczysz opisywać i dyktować?!...
Na saniach obok woźnicy siada jeden żyd, drugi z tyłu, opatrujemy rewolwer, para koni, droga niezła, więc jazda!...
— Cóż to, twoja żona?
— Nie, to moje żone siostra — ja jestem Hackiel Wiatr, a mąż... poleciał do rabina— co un każe robić...
— Aha!... a ten drugi?...
— To un tak trochę swojak, chciał się dowiedzieć.
— To on z miasteczka?
— Un? Icko w-ny pan nie zna?... swojak od Elo, co wielgi kupiec jest.
— Ciemno, nie widać—a te konie wasze?
— Jeden nasz — drugi najęty od tego gospodarza.
— To wy, gospodarzu, jesteście z tejże wsi?
— Ja Marcin Kędzior, z Dosłębów...

Zaspokoiwszy w ten sposób ciekawość i zadość czyniąc koniecznej nocnej ostrożności, próbujemy zdrzemnąć. Nieznośne wyboje udaremniają próby—noc tak ciemna, że ledwie woźnicę dostrzedz można — skulonych żydów rozpoznać trudno... Zapaliliśmy więc pochodnię, a gdy błysnęło światło... śmielej ruszyli w drogę...

— To dobra rzecz!...—wtrącił woźnica.

— Doskonała!... a cóżbyśmy widzieli?...

— Tylo bez wieś trza ze strachem— może zaświecić, ho! ho!..

— Bajki! głupieśta! jedźta chyżej!.. dziękujta Bogu co widno...—dorzucił żyd.

Chłop machnął biczem, konie szarpnęły — aż coś trzasło...

— Psia juchy żydy!... hyżej... widzisz go, masz!... złaź tera i przywiązuj!..

Żydek zlazł z kozła—orczyk przywiązał i w drogę...

— A wy tam co we wsi robicie? Pachciarze?

— Nie, my tak—trochę to... trochę to...

— Handlujecie?

— Siachrują, w-ny panie!—odezwał się głos z kozła.

— *Herste!...* jakie to zaraz paskudne gadanie... handel to z dobra woli—jak kto chce— odparł żydek.

— A kiedy przecież wam we wsiach mieszkać nie wolno—zauważyłem.

— My tego nie wiemy... mieszkają kilka lat.

— I macie sklepiki?

— Nie, my tak—to kupi tego... to tamtego, co się najdzie.

— A duża rodzina?

— Jest, Bogu chwała, żona, stare matkę, pięć dzieci.

— I cóż to też kosztuje tak przekarmić przez miesiąc?

— Ja daje żonce dziesięć złotych na tydzień.

— Co? dziesięć złotych? i to wystarczy?

— Musi—zkąd ja wezmę—co una chce niech sobie szuka.

— Alboż może, przy tylu dzieciach?

— Matka siedzi z dziećmi, albo ona siedzi, matka chodzi, i jest starsza córka, tyż pomoże.

— Trzymaj hyclu dobrze te lampę! masz trzymać, gelejda się, tylo zaciemia koniom—musztrował Kędzior Icka.

— Możeby lepiej zgasić?—spytałem...

— O nie, wielmożny panie, niech tylko nie śpi, zawsze to pomocne.

— To go budźcie!

— Ja go kozicą śturgał... nieczuły...

— No, ale przecież cóż głównie skupujecie—zwróciłem się do żydka.

— Skórę, cielaków, kurę, gęś, jajki, trochę masła, płótno...—odrzekł.

— Chodzicie i na drugie wsie, czy tylko w swojej?...

— Czasem się pójdzie po drugie... Co teraz wszystko ciężko stało, taki kiepski czas to stare ludzie nie pamiętają.

— Starym ludziom było lepiej... było ich mniej, znacznie mniej...

— Najbardziej, co teraz dworów nie ma, ah! to dla żydków największy upadek. Tu bywało, pan Lisiecki był dobry pan i pachciarz był, i szynkarz—na lato ogród... dał zarobić i sam miał... Ojciec mój był tu pachciarzem, szkoda mówić—dobrze miał... a teraz chłop, nu, co un wart? Un krowę na siebie trzyma.

— A przecież szlachta, nowonabywcy, na dworskiem?

— To wszystko jedno co chłop, co taka szlachta, jeszcze gorzej... Ogród wycięli—aj! ja co widział ten dwór, to aż żal patrzeć—takie zabudowanie—nie ma nic... takie szlachta!—dodał z lekceważeniem—bieda!... bieda.

— A wy byście do Brazylji, kiedy tu źle...

— To co tam zaraz taki miód? i tam jest dość... wszędzie dość...

— No, ale zawsze szerzej, łatwiejby było.

— Jest w Ameryce na wielgie miasto Dżykage kilka familij z Kossowa, nie wielgie rzecz, tylko co żyją. Tam inny świat, trzeba uczoność, handlujących jest zanadto, tam wszyscy handlują...

— A przecież Howbergowi z Australji przekaz na bank przyszedł—czterdzieści rubli odbierze.

— To taki traf! w naszę wieś tyż na Szaję Kukawkę, na Ickę Kwiatek, też przyszedł powiestkie, jednemu 15 rs., drugiemu osiem dla żone...

— No widzicie, więc iść co prędzej...

— Tam może mądrzejszy lud, to się osiukiwać nie da...—dorzucił woźnica.

Żydzi zaczęli szwargotać, potem ucichli... Przez chwilę sen zmorzył, lecz nowy giergot i zgiełk rozbudził. Mijaliśmy sanie, pełne cieląt i drobiu. Hackel zaczepiał każdego żydka zrzędu i o coś pytał krzykliwym głosem...

— I cóżeś się dowiedział?

— Tak, co tam słychać.

— To pantoflowa poczta?

— *Herste?*

— No, a jak wyjdą wszyscy chłopi do Brazylji, co wy tu będziecie robić?

— Ich tam wszystkich nie potrzeba... a pójdą, to się obaczy.

— A ja słyszałem, że wszystkich żydków do Palestyny wysiedlą, będą tam mieli swój kraj i wojsko...

— Na to jeszcze nie ma nakaz od Pana Boga.

— A kiedyż będzie?

— Nu, co to można wiedzieć! U nas to stoi w stare księgi, pan wie, jak Pan Bóg chciał żydki z Egiptu wyprowadzić, to przysłał Mojżesz.

— A tu jeszcze Mojżesza nie widać na ten interes?

— To wszystko od Pana Boga jest...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Konie zwolniły kroku, Kędzior kiwać się zaczął... kiw... kiw... aż palnął uchem w kij od pochodni.

— Panie Marcinie! Panie Marcinie!—zawołał Icko—Obudźta się?!...

— A to ci co?... zdrzemnąłem?... Wio! wio! rusiajta—bormotał Kędzior.

— Nie śpijcie gospodarzu, bo wolno idą, a pamiętajcie, że pospieszamy do chorej.

— To nic... niech się ta bydle przejdzie, ja nie śpię... nie... to tak wiadomo noc.

— To też miarkujcie... a może w miasteczku zdążyliście przetrącić kieliszeczek?

— E, chowaj Boże—żydy gwałtowali... kiedy tu?

— No to ruszajcie raźniej, a batem!

— Wio! małe! wio! aby do domu.

Znów chwila ciszy i chrzęstu sani... i majestatu nocy zimowej, mroźnej. Lazur sklepienia niebios nad nami!... tam Wielka Niedźwiedzica poważnie wóz swój toczy, zda się zawadzi o nas, tu Orion błyszczy... tam znów Polarna iskrzy i promieniami swemi do oka dąży, a tu nad nami maleńkich gwiazd miljardy i mleczna droga... daleko, het!... myśl bieży... a dalej co?... a jeszcze dalej?... Tam nowe światy... a za niemi?... Przestrzeń! a za przestrzenią... próżnia! a za nią... Zagadka! wielka, niezbadana!...

Wtem tssy! stajemy...

— Co tam?

— Tu widać Boim już zaświecił, okrutnie zimno—półkwaterek by trzeba, wielmożny pan pozwoli...

— No idźcie... aby prędzej!

Żyd z tyłu sanek skoczył i wraz z Marcinem do drzwi zastukał.

Po chwili wyszli, popluwając...—Podłą śmierdziuchę daje, u Siajki lepsza, dalibóg.

— I, nie gadajta, i ta niezgorsza.

— No, a w Dosłębach, kto tam szynk trzyma, pewnie też żydek, prawda?

— Co, żyd? Katolik trzyma—un tylko u niego co w pokomornem siedzi—pochwycił Hackel.

— To niby tak dla formy?

— Nie, chowaj Boże! Patent na piśmie dla Slusarskiego jest...

— Niby to! — wtrącił woźnica — a Siajko z żoną handluje...

— Oj tak, niestety!—dodałem.

— A rzemieślnicy-żydzi są na wsi?

— Jest szewc, szklarz, krawiec... nawet dwa krawce—ozwał się minister oświetlenia, siedzący dotąd cicho na koźle...

— I dobrze idzie im przecie?

— Nie tęgo—ledwie żyją.

— To we wsi mieszkają, czy na dworszczyźnie?

— Na ośmiorakach siedzą — we wsi tylko dwóch jest.

— A tak wszystkich ile być może rodzin?...

— Może z dziesięć familij.

— Ze trzydzieści familij, w-ny panie — był głos z kozła.

— I wszyscy tak z niczego żyją?—spytałem.

— Jak który może... co będzie robił?...

— A żeby tak roli kupił morg, drugi, a do pługa się wziął—to, jak myślicie Marcinie, zmógłby?

— Niehedukowany na to od dziecka i błahy, nie wiedzieć czyby do południa wytrzymał...

— To nie tak trudno, przecież jest tu folwark Skwierczyn, sami żydzi i orzą i wożą, sam widziałem.

— To nie żydowska rzecz—wtrącił Icko.

— Dlaczego? Uprzedzenie!... Takież same ręce, i chleb byłby i nie trzebaby tak biedować i gnieździć się w miasteczkach, po jednej rodzinie w czterech kątach izby... to aż żal patrzeć na tych biedaków, i co myślicie, ich wyzyskują; po 25 rubli za taki kąt płacą—a zaduch, wilgoć—to co, nie lepiej do roli.

— Jak ptak nie może ciągnąć wóz, tak żyd do tego nie może. Żydki to stworzone jest do handlu, do geszeft—to już tak od Boga jest.

— Tak i w chederze was uczą?

— W-ny pan wszystko chce wiedzieć — odparł Wiatr i znów żargonem słów parę przerzucił z Ickiem.

— Naturalnie, radbym się raz dowiedzieć, dlaczegoby żyd nie mógł tak samo orać jak włościanin?

— Bo ciężko, w-ny panie, a on chce lekko — był głos z kozła.

— Macie rację...

Dniało... Stanęliśmy u celu.

Długi ośmiorak stał ścianą szczytową ku drodze. Ledwie nie wywróciwszy w rowie, zakręcił Marcin sanki pod słup drabiny i pod drzwi podjechał.

Gier... gier... jak ul z pszczołami... sypnęło z sieni różnych postaci, starszych i młodszych... Spiesznie pomogli zejść z sani—gwar towarzyszył wejściu do izby...

Obszerna izba w dawnym ośmioraku była zastawioną różnemi sprzętami i mieściła dwie familje.

U sufitu wisiał miedziany kilkuramienny świecznik, spuszczony tak nizko, że wchodząc trzeba go było minąć—wreszcie, cała izba tak zapełniona żydami, żydówkami, dziećmi, że więcej niepodobna coś dojrzeć... Pierwszą więc rzeczą wyrzekłem podniesionym głosem:

— Rozejdźcie się, tak niepodobna!...

Tłum się poruszył i na miejscu został...

— No, wyjdźcie! słyszycie?! Dla chorej trzeba powietrza.

Ruszyło się dwóch żydów i odegnano paru żydziaków.

— Co to znaczy? Jak tak ma być, ja chorej wcale radzić nie będę.

Na te słowa izbę jak wymiótł—zostali tylko domownicy.

Wtedy mogłem zdjąć futro i powiesić na drzwiach, jako na części mieszkania często poruszanej, a więc najczystszej... W półcieniu ranka można było rozróżnić przedmioty wypełniające izbę: w dwóch przeciwległych rogach, przy łóżkach matek, wisiały na sznurach, przymocowanych do pułapu, kolebki. Zamorusane dzieciaki okoliły komin, na którym starsza dziewczyna gotowała ranny posiłek. Na stole pod oknem młodsza dziewczynka napychała siekaniną rybę, a na jednem z łóżek leżała chora, około której kręciły się dwie pozostałe żydówki.

Z badania okazało się, że chora od trzech tygodni cierpi astmatyczne ataki, połączone z biciem serca. Już wożono ją do dwóch innych doktorów, trzy razy mąż był u rabina, ciągle się więc leczy, gdyż chora od lat paru, nie może jednak zdecydować się na wyjazd z domu i systematyczną kurację, gdyż w szpitalu obawia się treńnych pokarmów, a do żydowskiego daleko.

Ataki powtarzają się często i nagłej potrzeby przyjazdu w nocy nie było. Gdym kończył wykład hygieny jaka powinna otaczać chorą i udzielałem porad, powoli zaczęli wchodzić chyłkiem, usunięci uprzednio spektatorowie. Po chwili okazało się, że są to pacjenci pragnący korzystać z wypadkowej porady.

— Zmiłujcie się!—wymawiałem się, po niewyspanej nocy jaka może być porada?—ja ledwie żyję, przyjeżdżajcie do mnie, chętnie poradzę..

— Ny, jak to można! pan doktór tylko spojrzy co z tem robić?

Musiałem uledz: powoli zaczęły przesuwać się przed oczami dzieci, chore na oczy i żołądek, żydówki na brak dzieci, upartą czkawkę. Cała rodzina dotknięta świerzbem — nareszcie jakiś staruszek 80-letni, chory na płuca.

— Dajcie mi pokój, więcej nie mogę. Nic nie wiem co mówicie, nic ta rada nie pomoże!...

— Ny, naprzód Pan Bóg, a potem pan doktór, jak z panem doktorem jest anioł, to pomoże.

Nareszcie siadłem do pisania recept, a po skończeniu takowych, rozpoczęły się kolejno rady i wywoływania: Szulim Pieprz—dwie recepty, olejek i lekarstwo. Asman Goldkronne—maść i krople. Brajna Sledź—olejek i rozcieranie. Chumka Bornsztejn—pigułki i przyjazd do miasta. Szmerko Wędrownik z rodziną—maść i kąpiele z szarem mydłem. Leibko Kołtun, Boim Marchewka i t. d.

— Dosyć, wynoście się... i drzwi roztwórzcie.

Tysiące pytań głównych, pobocznych, dodatkowych, powtórzonych, nowych, zgiełk, gwar... Wtem nastała uroczysta cisza... tłum się rozstąpił w dwie strony.

— Co tam takiego?—spytałem zaciekawiony.

— Ny, mąż od rabina wrócił!... A przy tych słowach chudy żydzina skwapliwie do mnie podszedł.

— To od rabina kupiec wracasz?

— Ny, tak... un się do w-go pana kłania i kazał...

— Co kazał?

— Ny, prosił, żeby jej dwie pijawki postawić na serce...

Tłum w poważnem milczeniu oczekiwał co powiem.

— Słusznie! bardzo rozumnie! — dodałem. Ha! to mądry rabin. Patrzcie! nie widział i wie co trzeba... Stawcie!...

Szmer zadowolenia przebiegł przez tłum, poczem powoli izba zaczęła się opróżniać.

Tymczasem, skutkiem braku powietrza, chorą pochwycił nowy atak. Pobiegli szybko po pijawki.

Przeobserwowawszy takowy już zabierałem się do wyjścia, powtarzając rady, gdy w izbie zjawiła się nowa postać.

## Rzemieślnik.

Blada, znękana twarz, miejski ubiór, chwiejny chód znamionowały pracownika igłą, lub szydłem... Nieśmiało zbliżył się i pocałował w mankiet.

— Co to pan sobie życzy?—spytałem.

— Ja chciałem prosić, żeby w-ny pan zobaczył mego ojca, strasznie zaniemógł... Tu zaraz, bez trzy domy—my tak czekali, czy się pan doktór nie zdarzy...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Chory okazał się byłym kamerdynerem jednego z zamożniejszych dworów...

Staruszkowi niewiele się należało — kiedyś u wielkich panów służył i syna na szewca z poręki dziedzica kształcił — na starość znalazł u niego kącik. Jako oznakę kamerdynerskiej godności, nosił baken-bardy, wąs zaś i brodę golił. Wyglądał więc w biednej chateczce szewca bardzo nie na miejscu, lecz trudno, los światem rządzi... Staruszek mówił więcej o przeszłości, jak o swej chorobie, na nią zdawał się być obojętnym, i parę razy powtórzył: «To tak mi syn dokucza, żeby się jeszcze ratować, ale to już się na nic nie przyda».

Izdebka mała mieściła całą rodzinę i warsztat u okna, chłopak bił energicznie młotkiem w podeszew; drzwi obok wiodły do komórki, a wszystko było tu biedne, lecz stosunkowo czyste, żony nie było w domu — poszła do chorej córki, jak mi objaśnił narzekający gospodarz domu.

Wkrótce podeszły sanki... Przy nich znów stali żydzi.

— W-ny panie--czy ta choroba to zdradne?

— Jaka?

— Nu u tej chorej, co pan jechał? A nie potrzeba reperacje?...

— Nie, nie potrzeba—bądźcie spokojni.

Wtem podszedł szewc.

— W-ny pan pozwoli przysiąść, jaby lekarstwa przywiózł—tu i te żydy dali, żeby i dla nich...

— Dobrze, siadajcie...

— Tak się siabasu boją, żeby nie chwytnął w drodze.

— To pana Stołkowskiego dziadek zachorzał? — spytał woźnica, robiąc na koźle miejsce.

— Siadajcie tutaj, panie Stołkowski, wygodniej będzie—rzekłem i posunąłem się na prawo.

— O, wielmożnemu panu subjekcja—odrzekł szewc. A chory biedak dziadzina! — dodał, zwracając się do Kędziora.

— To Marcin znów powozi? — spytałem — po nocy niewyspanej i w drogę?...

— Zgodziłem się tam i nazad—abo by co zarobił, żeby tak spał, trzeba się czasem natężyć.

— Macie, Marcinie, rację—trzeba się natężać i nietylko czasem.

— Oj, racja, racja, w-ny panie—przerwał szewc— po te czasy żeby się tak nie starał, co już aż oczy wyłażą—toby wypadło z głodu prawdziwie umrzeć.

— A ileż pan za komorne płacisz?

— Trzydzieści rubli na rok za tę izbinę... chatka już w ziemię wlazła... i ciemno, co mnie ta nafta wyniesie!...

— Zmiłujcie się, na wsi, za jedną izbę z komórką...

— Ho! tu żydy po 40—50 rubli za izbę płacą — aby chciał puścić...

— A czemże taki żydek, co jechał, się trudni?

— Hackel? To poczciwy żydzina — biedak on użyteczny, ale tu inny jest, Kukawka... ten!... pierwszy lichwiarz, za rubla—dwadzieścia groszy na tydzień.

— To po co brać? Czy wiecie, co to jest dwadzieścia groszy na tydzień? — to 5 rs. 20 k. procentu na rok od rubla, rozumiecie?

— Rozumie się — a zkąd weźmie, jak nie ma? gospodarz nie da... i każdy chrześcjanin nie da.

— A z kasy gminnej?

— Ta na zastaw gruntu da, a rzemieślnikom nie powierzy...

— Może pod porękę?

— Takiego dziś nie znajdzie, coby wręczył.

— To też to w Warszawie są kasy rzemieślnicze, a tu na prowincji nie. A tak roboty macie dość?...

— Byłoby dość, żeby nie jarmarki — okrutnie odbierają...

— To właśnie dobrze! na jarmarki róbcie!...

— Wiozą ze wszystkich stron — czy to słyszane rzeczy, teraz za 12 złotych buty z cholewami... a co w nich mocy? na miesiąc starczą... ale takie to kupią— nie naszą robotę.

— To wasza już taka doskonała?

— Nie najpierwsza — ale jużci że lepsza jak na tych, co w jarmarku.

— A gdzieście się uczyli?

— Mnie, co prawda, pan dziedzic do Warszawy oddał—alem był głupi, mały, wydało się ciężko—ojciec przyjechał, zacząłem płakać... zabrał mnie do domu... potem taki do Sokołowa oddał — tam już majstrzy nie to—chociem się naumiał, ale wiadomo, do warsiawskich nie dociągnę.

— No, a ten tu w Rozgłośnej, Sarna, on się nie skarży, byłem kiedyś tam u chorej matki—to czterech chłopców kuje, aż trzeszczy.

— Taki wiadomo, on robi pięknie, szkoda mówić, to też do niego same te eleganty się schodzą, i skóry ma dobre prosto z Warszawy i daje też na kredyt, a wszystko bez to, co sobie kapitał w posagu dostał.

— A wy na kredyt nie możecie?

— Zeby tak mógł, toby dawali... aleby potem odbierał, oho!

— A żydzi pewnie na kredyt dają?...

— Żyd da i odbierze, on ma sposoby, my do tego nie mamy serca, wiadomo proś go, z początku obiecuje... a potem, to idzie drugim bokiem ulicy... a buty u innego obstaluje.

— A jakże Sarna robi, że jeszcze nie przepada?

— To cóż on, jak to zwykle, jak już tę parę zgodzą, w karczmie obleją, on zara... weksel staw na tyle, na tyle... to nie przepadnie... a jak o nas, co wiedzą, ze i bez tego roboty brak, to wekslu nie głupi dawać..

— Więc biedujecie z dnia na dzień i tyle...

— Dawniej to jakoś bywało więcej... a teraz post już taki!... po dwa, po trzy tygodnie czekasz... aż znów tam jaka para wpadnie, a tak to bardziej stare ładuję.

W czasie naszej rozmowy Kędzior się zdrzemnął na dobre; Stołkowski wziął lejce i pełnił rolę woźnicy, nie omijając żadnego wyboju...

— Gadają, w-ny panie—ciągnął—o tej Brazylji, jak tam na rzemieślnika? musi brak?...

— A któż wam gadał?

— Tak ludzie pletą precz...

— Więc cóż, chcielibyście?

— Żeby nie dzieci, jednej chwili... najgorzej o te małe...

— A starsze?

— Te sobie dają radę. Chłopak w Warszawie u powoźnika już na wyzwoleniu, córka za mężem za ogrodnikiem, jeszcze małego tyż do Warszawy do szewca oddałem, a troje w domu.

— O!... to tak! piękna rodzina, toż to wychować coś kosztowało. W Brazylji wątpię czyby tak się udało. Tam bardziej gotowy towar wiozą całemi okrętami, ubiory, obuwie z Londynu, i tak amerykańskie przez bardzo biednych ludzi przygotowane, chybaby więc z początku biedował, a w każdym razie, mając taką rodzinę... Jeszcze tam jakie trzy lata, toż i dzieci pomogą...

— To też na to cała nadzieja... boby już człowiek nie wiedzieć i gdzie poszedł... ale jak kto tak wolny... nie ma tu bardziej co czekać.

— Eh! bo sobie nie umiecie radzić!... Zebralibyście się w kupie razem, narobić dobrego obuwia, wywieźć na rynek, toby tę tendetę duchem zwyciężył, jak tylko sama tandeta stoi, to ma się rozumieć biorą.

— I... w-ny panie! Sokołowiaki pośredni towar wiozą i tyż nie idzie.

— Bo może za drogo bierzecie?

— Nie drogo... już tak co można taniej, od warszawskiej ceny dwa ruble niżej. Kamasze... to tak trzy ruble, cztery wypadnie.

— No, jak na chłopa, to drogo, a wreszcie po co robicie kamasze, róbcie buty zwykłe, z grubej skóry, będzie taniej...

— Kiedy kamaszy chcą koniecznie na warsiaską formę...

Więc w każdym fachu są swoje biedy, zgryzoty, troski... przeszkody — myślałem — nie brak i chęci i pracy, a jednak... Czyby doskonałości brak? Czy przeludnienie? Konkurencja? Czy też brak łączności cechowej?... Rozwiązać te pytania nie łatwo, każdy patrzy na nie swemi oczyma, każdy też szuka gdzieindziej przyczyn.

— A w Warszawie nie macie też stosunków? żeby tak dla jakiego majstra robić. Ztamtąd wysyłają dużo

obuwia do Rosji, wybyście robili na zamówienie i dostawiali po 30 par naraz.

— Mają tam swoich dość. pełne poddasza i suteryny, jeszczeby nas brali?—nie dadzą, a tam znów iść i tak jak oni żyć, to już tu, chociaż bieda, a wolę...

— Nie!... tu mieszkając, robić i wysyłać, przecież okazji dość.

— Onoby można, ale... ten majster... to może już nie żyje... Chybaby bez znajomość, żeby pan doktór się spytał, jabym z chęcią, aby materjał wysłał.

— Albo tak tu weźcie w sklepie na kredyt skór, naróbcie dobrych butów, zawieźcie gotowych do Warszawy, do takich co to transporty do Rosji wysyłają, jak będą dobre, ręczę, że kupią...

— Sklepy żydowskie, skóry na kredyt nie da, tam jak na jaką parę, ale więcej to nie da. Żeby to taki sklep był, a dawał, toby tu każdy się rzucił. A co w Warszawie to też jakby popadło jedenby sprzedał, a drugi możeby jeszcze do domu musiał wieźć. O! to niepewne! takiego rezykanta nie najdzie.

— Hm! rzeczywiście... to trudno... to trudno...—znów pogrążyłem się w myślach. Więc brak kredytu, to najważniejszy szkopuł... tak... sklep hurtowy... i kredyt dla rzemieślników drobnych i gotowy towar na jarmarkach—i rozwiązana kwestja.

— A krawcom lepiej?—spytałem.

— Krawcy to jeszcze bajki, po ludziach chodzą... też muszą potrafiać na teraźniejsze te ubiory... Ale taki tam jeden w Gruszowej siedzi, a u nas we wsi coby robił, żydzi nie dopuszczą...

— To ci żydzi muszą trzymać całą wieś w ręku?

— Ho, wiadomo... tylo co bez to lepiej, jak jest chrześcjanin, to trochę taniej biorą.

— Teraz to wszystko u nich staniało, Bogu chwała—dorzucił Kędzior, który się już rozbudził.

— Zrazu nie miarkowaliśmy co to się znaczy, aż tu słyszemy w miasteczku sklep polski otworzyli.

— Aha! to dlatego? O! oni tak zawsze...

— Tak... tak... w-ny panie! aby ten sam sklep zgubić—rezonował Marcin...

— Więc wartoby sklep podtrzymać, kupujcie — przecież w niedzielę poszedłszy, można wszystkiego na cały tydzień nabrać.

— Był tu taki sklep w Gruszowej... był, to co? Zrazu poszli wszyscy... i ksiądz też nakazywał — poświęcał... cóż, kiedy jak zaczęła naftę lać taką jak smoła — cukier jak mąkę — zaraz się duża część ludu odbiła... To potem jednego nie ma, drugiego brak... na kredyt nie da—a bo ja was znam?...—gada.

— No, trudno, moi kochani, w pierwszej chwili tak zaraz porozdawać... Przecież to kosztuje, za gotówkę.

— Na kredyt tyż, w-ny panie! w guberni od żydów brała, płaciła drogo... Jeździliśma, to wiemy — to też na ludziach musiała wymścić... Jak zmiarkowali, że to żydowskie, tylo bez jej ręce, tak jeszcze bardziej się odbili.

— I cóż, sklep ten jest?...

— To potem znów późno otwierali—u żydów gdzie na wschód słońca już na ulicy stoją... co wam potrzeba? co? gospodarzu! Mało sukmany nie oberwą... A tam pudziesz bywało—tylo tak dzwonek we drzwiach dzielęknie—to stoisz... stoisz... ta pani wyjdzie z książką i z papierosem... Gdzie ta... niepodobna... ludzie choć głupie—a se miarkują...

— I cóż, nie wytrzymała?

— A juści—potem od naszych zaczęła brać—to od gruszewskich, pozadłużała się—na licytacji Leibko odkupił i siedzi... siachruje... — rozprawiał z werwą Kędzior.

— To szkoda!... Ten co jest w mieście, nie taki— to z kapitałem, prosto z Warszawy, każda rzecz będzie...

— Boga tam!... Wreszcie się zobaczy...

— Eh! bo wy tak gadacie: szachruje, szachruje... A czego sami dajecie się oszachrowywać. Narzekacie, to... to... to... sio... — a każdy bez żyda się nie obejdzie... Oni też muszą żyć, to na sposoby się biorą... Żeby to oni pomiarkowali, że was oszukać nie można... że w taki sposób nic nie poradzi, a z samego szachrajstwa nie wyżyje — toby się też do pracy wzięli — a tak co?...

— Snadno to... tak się wydaje... Nie z niemi się mocować — to nie ludzka siła w nich... to już taki dopust Boski za grzechy na lud poszedł.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Dojeżdżaliśmy do celu, a przez czas drogi już minęliśmy ze czworo sani, pełnych to drobiu... to żydów siedzących po kilku... znów jedne sanie, któremi chłop powoził—żyd jednak siedział z tyłu.

Pod samem już miasteczkiem szła partja wołów, pędzonych do Warszawy, a należących do miejscowego przedsiębiorcy-chłopa, który na handlu wołami w dość krótkim czasie dorobił się niezłej fortuny.

Nareszcie stanęliśmy pod gankiem. Małe saneczki i koń z torbą stały na uboczu, a w nich ktoś spał snem błogim. Przybycie nasze zbudziło go... wstał więc, oczy przetarł i podszedł.

— Co to?—spytałem.

— Ja po w-go pana!

— Zkąd to?

— Z Urwina.

— No, już darujcie, moi kochani — muszę się trochę przespać.

# SŁUŻĄCA.

## I.

### Skrzypce.

— Wielmożny pan—niech prędzej!... żeby choć żywą zastać! Biedna ja, biedna!

— Nie płacz, kochanko, zaraz jedziemy!... Dawno zachorowała?

— Ja przyleciała wczoraj, a ona ledwie zipie — tylo oczami mruga...

— Kiej mruga, to bajki! — wtrącił jeden z pacjentów, w oczekiwalni siedzący...

Was ni ziębi, ni grzeje! — odparła gniewnie dziewczyna. W-ny pan niech siada!...

— Nie mogę, moje dziecko, wprzódy tych chorych ułatwię, to pojedziemy...

— Im nic nie będzie... a ona taka chora, nieboga.

— A konia macie dobrego?...

— Raźny, doleci... Jak ją złapało percie pod boki— tylo co dysze...

Po chwili byliśmy w drodze.

— A ty zkąd sama?...

— Ja z Olszowego rodem, a sama w służbę poszłam.

— Czyś taka biedna?

— E, nie, niebardzo — tylko tak poszła do ludzi.

— Pewnie macocha z domu wygnała?...

— Ja już sierota całkiem — tylo co szwagier bardzo dokutny...

— Toś ty u siostry wprzód była? Siostra za mężem?...

— O, żal się Boże takiego zamęzcia!

— Za kogóż poszła?

— A toż za człowieka! niby się liczy muzyka.

— To dobry fach! ma postronny zarobek.

— O, już tego dobra! Niech Bóg ratuje, to taki człowiek, co żal się Boże!

— Jak się nazywa?

— Cieciuro, niby ze szlachty się pisze—ale nicpotem i tyla...

— To po cóż siostra szła?...

— O, na nią było sześć morgów gruntu, to się ułasił.

— Tylko dla gruntu? może i piękną była?

— Juści że piękna! to się dobijał. Co ona miała do siebie!... I z pod Stoczka, i z za Buga, i z Warsiawy... Nie i nie, uwziął się, poda — nie dam nikomu!...

— To zuch!...

— A juści, ona najbardziej o tem dumała, co ją najlepiej lubił; bo to tak—jak chcesz to dobrze, a jak nie, to jadą zaraz bez dwie chałupy, patrzą gdzie kratki na izbie i do drugiej.

— To ją zrażało?

— A juści!... A on miał osiem morgów, a nie chciał bogatszych.

— To dobrze stoją. Zmiłujcie się, czternaście morgów, pół gospodarki—to można żyć...

— O, można!... żeby nie te nieszczęsne skrzypce!...

— Cóżby tam znowu skrzypce?...

— Żeby ja w-mu panu opowiedziała jaki on je... to i płaczu i śmiechu warte...

— No przecie... jaki... opowiedz duszko.

— A taki: naprzód, jak kawalerem był, to ociec wszystko trzymał—on nic, tylko psocił. Bywało, do nas taki już chłopiec duży zalatał, tych sińców gdzie on nie miał—to my tak nad nim płaczem... Ociec umar... został grunt... a on sierota, gada — nikogo, tylko sierotę chcę, Helenki się nie puszczę... I tak zdawało się dobry, pobożny, i do kościoła, i do spowiedzi... ale już zawsze na chór łaził...

— I śpiewał?..

— Nie! tylko tak z ciekawości—i zkąd on nie wiedzieć chęci nabrał—ale się od organisty wyuczył trochę na skrzypcach, tak mu zasmakowało — nietylko skrzypce... Póki kawaler, to u organisty grał—jak się ożenił... co robiący — sprzedaje on morg i drugi za 20 rubli i żyta za 10 rubli i do Warsiawy jedzie...

— Jakto, dwa morgi za 20 rubli? Chyba za dwieście?...

— Za dwadzieścia, prawdziwie...

— Ależ to chyba warjat?...

— Chciał on ta więcej, zaczął targ z pięćdziesięciu. kupca nie było i tak zmarnował—gada... co tam, same wydmy... więcej niewarte. Co my mu naprzeświadowali... Nie i nie, pojechał do Warsiawy, był bez tydzień i przywiózł skrzypce...

— Przynajmniej piękne?...

— I... jakie tam... ot jak zwyczaj...

— I gra?...

— A grał... ale z początku nie mógł, jak zaczął... z domu uciekaj!... ona do niego: Jasiu! i Jasiu!... a on nic!... cały dzień gra, choć ty co chciej zrób!... Przyszedł Dudziński, co bez ścianę w pokomornem siedzi!... widzi co chyba zgłupiał — do niego!... a ten: nie rusz! bo ci łeb rozbiję!... nie chciał się przekomarzać i poszedł. To grał do północka, aż kur zapiał, on przestał.

— No, to już taki muzyk z Bożej łaski...

— A Bóg go wie, co on za taki muzyk się zarodził? Dopiero powiesił te skrzypce na suchej ścianie, na goździu i gada do żony i do mnie: ani mi się ważcie dotknąć, tylko patrzeć!... i zaraz pokrowiec szyj. Jak powiesił, to bez trzy dni tak wisiały, ani wziął.

— Już się nagrał?...

— Nie! gadał—tak w Warsiawie kazali... Tylko przyszedł ten czas—zdjął... jak wziął majdrować, mostek nastawiać, to siedział do południa, strunę zerwał, nie mógł nastawić, aż jak nie weźmie! jak nie łupnie o poduszkę! Pudełko poleciało na izbę, a szyjka została na łóżku...

— Tak? a to durnia kawał...

— Bóg go tam wie!..

— I teraz już wam nie gra?...

— Gdzie tam—wziął znów trzy morgi sprzedał za pięćdziesiąt rubli, ze zbożem co na nich było, poszedł do Zaromb, do muzyki. Co już wiadomo, muzyka jak należy—to bez dwa tygodnie siedział... uczył się, tak te skrzypce ustawiał, żeby sam mógł, to te złamane oddał mu, a przyniósł znów drugie...

— Jakto, za całe pieniądze?

— Nie, dziesięć rubli z sobą jeszcze miał... Żona w płacz, a on na nią! pokłócili się—niech Bóg broni...

— Ale się choć wyuczył grać?

— To na tych grał jakuratnie polki, oberka—na wesela chodził.

— To pewnie zarabiał?

— Juści tam niby za płatę chadzał—kiedy on na to nie patrzy... jak po niego przyślą, to taki wesół, bo jemu samemu miło jak gra... Na ten koniec, jak do Żochów poszedł, jak się popili, tak go chłopaki zbili, skrzypce mu poszczepali i tyla...

— A to już nieszczęście?!...

— Wziął wszystko w ogień rzucił i zaraz rzekł: jak kto przed żonką powie, kamieniem łeb rozbiję...

— A żonka się dowiedziała?...

— Ho! zaraz baby gadali... Tylo co robiący żonka widzi, że on siedzi jak bez rąk, przedała płótna, maku i wykupiła tamte z Zaromb, co z reperacji przyszli, położyła mu na łóżku... Jak zobaczył... jak się rozpłacze, jak nie weźmie ją całować... A moja kochana! a moja iedyna!... tak się rozdobrzył.

— Mój Boże! poczciwiec!...

— Ale zaczął grać... gra... gra... nie idzie... naprawiał te struny... piszczy... i tyla... gada: trzeba ich ograć!... Zamknął się w alkierzu i znów tak gra! tak gra! aż w uszach huczy!... Co robiący Dudziński, jak przyjdzie, jak go palnie w łeb! a będziesz ty mi tu nie dawał spać? a dzieci budzić? Jak się nie wezmą! On go pięścią! ten skrzypcami, ona się wdała, nic nie nadaje... bili się, bili, a z tych skrzypców to zostały jeno drzazeczki małe.

— Cóż u Boga Ojca? i te znów rozbił?

— Już taka widno na niego dola...

— To teraz pewno rzuci...

— A Bóg go wie... Dudzińskiego do sądu podał. Dwa miesiące chodził smutny, schudł... a teraz znów jałoszkę i źróbkę sprzedał i owies co na nasienie miał i znów będzie kupował...

— A z nasieniem jak będzie?...

— A prosił pana mojego, żeby mu zaorał i zasiał swojem, a za to kazał brać taką furę siana, co dwa konie uciągną—jak zaczęli nakładać, to kładli, kładli, ze dwie godziny, jak wezmą—tylko co z pola zjechali, a konie już nie mogą... odprzęgli, zrzucili na kupę—to trzy furmanki potem zabrali z tej kupy.

— E! już to niezdrów człowiek.

— Bóg go tam wie, co w nim jest.

— Może pije?

— Chowaj Boże! żeby choć co!... tylko jedne bułki lu ī—bułki to już cały smak—z czasu tam piwa...

— A dla żony też dobry?

— Jak dobry to do rany przyłóż!... a jak się rozezłości—toby bił czem popadło.

— To z takim życie nie daj Boże!

— To też ot ja nie chciała u nich siedzieć i w służbem poszła...

II.

## W tarapatach.

— Oj poganiajcie! moi kochani—nagliło dziewczę woźnicę—żeby choć żywą zastać!...

«Janko muzykant» stanął mi w oczach... i myśl pobiegła w przestrzenie. Dlaczegoż świat tak urządzony, że wtłacza jednostki w pewne koleje i każe kroczyć mimo ich woli. Ileż to prawdziwych talentów drzemie wśród mas, nie sądzono im nigdy dojść do zenitów, dla nich tak łatwo dostępnych. Kiedyż zaczniemy badać, pytać do czego masz powołanie? uszanujemy ten nieprzełamany pociąg, tę iskrę Bożą, która w tak wielu piersiach zapoznana gaśnie...

Wtem zając przebiegł drogę.

— W Imię Ojca i Syna!—przeżegnała się dziewczyna!...

— Zająca się boisz?

— Nie, to tak... tera już nic nie szkodzi...

— Oj, głupie zabobony!...

— A! chyba prawda! w-ny panie!—wtrącił woźnica—to złe w tym zającu, co bez drogę lata...

Wiedziałem, że nie przekonam, więc nic też nie próbowałem tłómaczyć. Sanki sunęły żwawo, koń młody parskał wesoło...

— Widzisz, koń prycha, to dobry znak!...

— Bom odżegnała, w-ny panie.

— Tego zająca? niech i tak będzie...

— To przez chorobę u siostry będziesz, żeby choć było komu ją doglądać...

— Wiadomo, dla dojrzoku ja pani prosiła na kilka dni, nie wiem sama jak będzie...

— To pierwsza twoja służba?...

— Nie! druga, wpierwej u pana pisarza sądowego była.

— To ty u państwa Rogalskich?

— U nich, w-ny pan zna?

— Znam, dobrzy ludzie...

— Pani dobra, ale on! on! o Boże!

— Z serwitutami skończył przecie?...

— A wieskich odrzucił, het precz pod łąki, tylo jeszcze tych ośmiu z Molowki, tych już kto wie czy zmoże?—dużo chcą.

— A ci po ile wzięli?

— I... nie wiem... coś pono po sześć, czy po dziewięć morgi, gadali, ale przepomniałam...

— To cóż, to źle? zmiłujcie się, i kosztowało pewno?...

— O, bez dwa lata jeździli do guberni i do komisarza.

— To może przez to pan taki zły?

— E nie, on z tego kontentny...

— Tak! jak zostało 8 włók, a było 12, to po niewoli będziesz kontentny—dodałem.

— A żydy! żydy! to tylko pani płacze i płacze, a pan codzień nad wieczór wróci taki pijany... wymyśla... na nią, na synów... idźcie mi ztąd!... dopóki mu ten spirytus z głowy nie wyparuie; wyśpi się, znów dobrze.

— A cóż synalki, w domu dotąd?

— Pan Feliksy nie chciał iść do nauki, mówi: dopóki mnie ociec z wojskiem nie obłatwi, nie pójdę nigdzie. Potem już mnie nie zobaczyta!...

— Teraz już chyba wolny?

— A głuchy był, w guberni i za morzem, i taki się nie zdał, wrócił...

— A teraz głuchy mocno?

— Kto go tam wie... jak co dobrego, to słyszy, a jak ojciec nagania do roboty, to głuchy...

— Przecież to pracowity człowiek?

— Jak go już tak zwymyśla, na czem świat stoi, to idzie w pole i orze, orze, aż się zrobi ciemno, przyjdzie do domu, pani go karmi.

— A czemu z domu w świat nie wyrusza?

— Ma się pono komplementować tej wiosny — to już w łaskę wszedł—gadają do Godlewianki, z fortuną.

— To będzie konie ganiał?...

— A juści, bez to musi w domu być.

— Dobrze, a drugi młodszy, też w domu siedzi?

— Pan Karol? o! ten na cztery klasy kończył, potem u warsiaskiego majstra na rymarza miał być, duży jak topola, tyż tak mówi: póki mnie ociec od wojska nie uspokoi, nie pójdę, potem to mnie nie zobaczycie... Ten w pole na nic, tylo tak, to chodzi, to czyta z czasu od księdza gazytę, to znów chce żeby herbata, śmietanka była.

— A młodsze dzieci?

— Te jeszcze małe...

— To wasza pani ma dość kłopotu.

— Pani to pani!... to anioł, co ona też wypłacze. A jak przyjedzie pani sędzina, co dawniej jej majątek był, to bieda!...

— Czemuż to tak?

— A bo jeszcze dług dwa tysiące dla niej należny...

— A wtedy trzeźwy?...

— Wie wcześniej... konie wysyła, to już się trzyma. Co ona razy już była! Jak przyjedzie, to pan do niej na sumitowanie—pani dobrodziejko! pani sędzino! tak narzeka... nie ma co jeść, bieda, podatki wielgie. A pani dzieci czesać, myć; stara Andzię lubi, to zaraz

lepsza, kawę wypije i gada: mam ja pięcioro, ale zapowiedziałam żeby mi żadnej nowiny złej nie przysyłać! Broń Boże! nie chce znać! jak dobra zgoda! Prawda, pani sędzino! prawda! Tak pan dogaduje i po rękach całuje. Stara przenocuje, weźmie procent, znów spokój...

— Na długo?

— Póki żydziska nie zjadą, te już najgorsze, nigdy bez korca nie pójdzie.

— I tak dają za każdą razą?

— A co ma robić? To z żelaznego sklepu, to nasz Abram bez ustanku nachodzi, to takie siachraje. Pani to całe nadzieje w dziadku ma, bo pan to zaraz: idź mi precz! żeby cię tu moje oczy nie widziały... Biedaczka milczy... co ma robić?

— A jak dziadek jest?

— Dziadek, ten ostry, oho!... jak krzyknie: po tom ci córkę dał żeby płakała? a te honcwoty! czego tu w izbie siedzą? a do roboty!... to tylo tak po za węgłami latają... Pani wtedy jak pawa chodzi, na pana spogląda, a on jej: moja kochana! moja Anielciu!... o! dziadek tęgo nadaje...

— I pewno pieniędzy da?...

— Ano nie?... Da... cała opora w niem.

— No, to przynajmniej Bogu chwała, to biedna pani wasza. A karmią was dobrze?

— Jadła starczy, i sami smakują, na to nie skąpią...

— Dom ciepły?... suchy?...

— I... stary domina, ale bajki...

— A pani ubiera się pięknie?

— Jeszcze jak... oho! jak na święto to z dziesięć lat młodsza, nową salopę teraz sprawiła, i taka uśmiechnięta z nim do kościoła jedzie. Tylo co z zasługami bieda, poczekaj... poczekaj... bez dwa roki tak jak nie płatne.

Koń zwolnił biegu, już wiorst piętnaście rwał wartko, bicz zaczął działać zbytecznie.

— Dajcie mu pokój!—zauważyłem—niech się choć z wiorstę przejdzie... tak zmarnować można...

— Co mu będzie, koński łeb nie zaginie...—odparł woźnica.

— A tu daleko jeszcze?

— Dobre pół mili...

III.

## Po lnowaniu.

Droga ciągnęła przez zarośla, pokryte jałowcem i karłowatą choiną, kiedyś zapewne był tu las wielki. Swiadczyły o tem wyniosłe sosny, wyciągające z oddala jedna ku drugiej konary. Zajęcze tropy często na prawo i lewo kierowały oko, gdzieniegdzie poprzeczna dróżka i na niej ślad sani dążących po gałęzie...

— Po szlachcie?—spytałem...

— A juści, to do szlachty... Jest tu dość tego dobra, ni to las ni pastwisko, ot tak leży... — odrzekł woźnica.

— A ziemia jaka?

— Srednia bielicowata, są nawet niezłe kawałki, tam oto dwie kolonijki stoją opodal, to nawet pięknie rodzi...

— To i twój tu grunt blizko? — spytałem dziewczyny.

— Nasze po tamtej stronie, odpowiedzialniejsze... Cóż z tego grontu, kiedy potrzeba służyć.

— Boś niecierpliwa, moja kochana, co ci tam mogło szkodzić, niechby sobie grał, pomogłabyś siostrze, a tak co?...

— Toć chyba lepiej co służę, to im lżej, a i ja se taki na posag co odłożę...

— O! toś rozumna, kochanko! za to cię lubię. Chciałem tak spróbować, co też ty powiesz...

— A toby ja z niemi wysiedziała? nie widziałam, o!.. Jeszcze w pierwszej służbie to mi jak dobrze było!...

— A gdzieś służyła?...

— Toć ja gadała, pan przepomniał?...

— A prawda, u pana pisarza z sądu.

— A jušci, tam mnie dobrze było, wikt był lepszy i roboty mniej... tylko żem z dzieciami zabawkę miała.

— To trzeba uwagi i ciągle być przy nich.

— E, ciągle nie... pani sama była... o te czasy, to ja i w domu nie postała...

— Chodziłaś na zarobek?

— I... nie... Pani mnie posyłała: po lnowaniu.

— Jak? co takiego?...

— Po lnowaniu co chodzą...

— Jak to, moja kochana, chodzi się? opowiedzże mi.

— A no, pani dawała wódki i ja chodziła.

— To ty już wódkę pijesz... taka młoda?

— Nie... nie ja... baby...

— Jakie baby... it! gadaj co masz gadać...

— Gospodynie co len mają, to konopie.

— To pan pisarz szynk trzymał?

— A to ci termedje, to w-ny pan nie wie co lnowanie! a toć to co rok chodzą. Pisarzowa mnie posyłała z butelką z kieliszkiem i ja się pytała po chatach, czy która kobieta nie da lnu...

— Aha! za kieliszek, zrozumiałem. I cóż, dawali...

— A bo nie? jak pójdę z renia to do obiadu taki wór o! o! przyniesę... lnu... konopi... różności... Ona mnie lubiała bez to, bo żadna nie mogła tak jak ja. Ewusia z poczty bywało chodzi i chodzi po pustemu, jak ja się pokażę, zaraz baby: chodź! chodź!...

— Czemuż to tak do ciebie, przez znajomość?

— Nie... wódka dobra, gadają... Wiadomo, pisarżoju to Nuchym najlepszą dawał.

— I to tak wszyscy robią?...

— A no nie?... tu kłak, tam kłak, a do jednego to znaczy, z mojego uzbierania tośma bez całą zimę przędli, na płótno, na worki.

— I to o wiele taniej kosztuje?...

— Ho! ho! ósmej części nie kosztuje...

— A tobie nie wstyd tak było z wódką chodzić?

— To bez co styd? pani mnie za to trzyma... jak dużo przyniosę, to da dziesiątkę i dwie, albo stążkę.

W miarę rozmowy naszej, zdziwienie dziewczyny rosło z każdem pytaniem, postanowiłem uderzyć w inną strunę.

— I jakże ty myślisz, to nie grzech tak rozpajać baby?

— Co ma być grzech, ksiądz proboszcz o tem nie gadał, widno nie grzech.

— No, ale jak ci się samej zdaje, toż chyba nie pięknie, baba... za wódkę... swego się dobra puszcza... żebyś nie przyszła, to len-by w domu został...

— Co dla jej znaczy?... kiedy one rade...

— A mężowie nic na to?

— Męże nie wiedzą, albo jem na co powiadać?

— A jakby cię tak spotkał?

— A to ja gadam co przyszła po co... abo po masło... abo po jajka...

— Widzisz, to musisz kłamać...

Zmilkła... a po chwili dodała nieśmiało: a boby inny biuł...

— Aha!... na złodzieju czapka gore?...

— O! o!... to co jakby ja przyszła z pustemi rękami, to coby pani nawymyślała...

— I jakże ci się zdaje, to twoja pani dobrze robiła?...

— A mnie co? jak se chce...

— No, moja kochana, to dziękuj Bogu, że dzisiejsza twoja pani nie posyła cię po lnowaniu...

— A ja myślę coby ja wolała, to się pośmieje, z ludziami nagada, a tu siedź, te kartofliny skrob... albo ze świniamy mała robota?

— Ehe! to ty znów tylko do lekkiej pracy chcesz.

— Abo ja taka mocna?... ja już zmożona.

— Tak na tem lnowaniu.

— E, w-ny pan się śmieje... Prawdziwie, ja i to już myślę gdzie dalej iść...

— Naprzykład?...

— My się już namówili z jedną z Warsiawy, okrutnie chwali tam służbę... była tu na święta, ani ją poznać, jej dobrze... u jednych państwa służy, piętnaście rubli na kwartał zgodzona, a jak tam pięknie... gada, te państwo akuratne, pan, pani i dziecko... Woda ze ściany prosto do garnka idzie, a jak chce wylać, to tylko chluśnie do takiej miski... O! nie zdźwigana... znać, tylo co po mięso... abo na targ z panią pójdzie.

— Dawno tam jest?

— O już półtora roku, gadała aby przyjechać, zara mi służbę da... na dziesięć rubli, już jak nie od Wielgiej nocy, to na święty Jan pewnikiem pójdę; tylo co latem o służbę trudniej.

— A ty czytać umiesz?

— Na książce nabożnej mogę.

— A tak na jakiej innej?

— Nie wiem, na innej nie próbowała.

— A tamta też piśmienna?

— I... nie wiem, chyba nie... nie!... nie!... ona nie uczona... tam tego nie pytają...

— A ile was tu u państwa Rogalskich służy.

— Nas trzy dziewczyny i kucharka.

— A tam, moja kochana, jest jedna do wszystkiego, musi gotować, prać, sprzątać, cały dzień się kręcić.

— Julka gadała, co ona temu sama da radę—to i ja by dała, abo ona co lepsza? ja już prosiła i księdza

wikarego, coby na spowiedź tam dozwolił i wedle postu. To co, ksiądz wikary nie radzi—gada nieprzespiecznie—wszystko bez tę Antośkę co wróciła, to już tak ze trzy zestrachał.

— Przez jaką to Antośkę?

— To jedna ztąd dziewucha poszła, a potem niepieknie se postąpiła, tera u matki siedzi.

— To też dlatego moja kochana i ksiądz wikary iść ci nie radzi... zobaczysz, że ta Julka tak samo wróci, albo tam gdzie postrada duszę i sumienie... Można i do Warszawy iść i chociaż pokusa wielka, uczciwie żyć, ale to trzeba do znajomego państwa, do porządnego domu—nie tak jak Julka radzi—i za co? za te tam parę rubli; i ja ci też nie radzę, lepiej tu siedź i pracuj, to wyjdziesz za mąż, przecież i posagu jest trochę...

— Ja za mąż nie chcę!...

— Wiem, wszystkie tak gadacie, a niech no który się spodoba, napewno pójdziesz. Jak to ty dobrze widzisz u państwa w domu wszystko — bardzo dobrze, moja kochana, widać że nie napróżno uczyłaś się co złe, a co dobre—ale o sobie pamiętaj, oj to najpierwsze—a jak masz imię?

— Zofija.

— To też o Warszawie nie myśl. Tak kiedy, jak tam naskładasz w przytworkę [1]), wybierzesz się do Częstochowy, to i Warszawę po drodze zobaczysz...

— Ja w Częstochowie na odpuście była z Ciotką.

— Cóż, podobała ci się Warszawa?

— To i ciotka na kolei tak się pytała ciągle—czy podobała się Warsiawa?—ja była mała, tom powiedziała z głupia: «Jaka to wielga karczma»!... Jak się

---

[1]) Skrzyneczka mała w skrzyni, do chowania pieniędzy.

te państwo, co z nami jechali, nie zaczną śmiać—i dali mnie cukierka...

— Prawdę mówiłaś, wielka karczma!...

— Co tych domów!... a ulic, a krzyk—ja tak myślała co chyba zginę...

Ku wielkiemu zadowoleniu kandydatki na emigrantkę, dojeżdżaliśmy do wioski. Konik dobywał ostatnich sił, woźnica odwinął kołnierz, a dziewczę znów westchnęło!...

— Oj! aby żywa!...

Stanęliśmy przed izbą... Przypomniałem, by prędzej zmieniono konia.

## IV.

## Muzyka.

Jęk chorej słychać już było w sieni...

— O, Bogu chwała, żyje!...—rzekła dziewczyna.

Weszliśmy do izby. Drzwi otwarł młody mężczyzna, wątły, blady—wyglądał na lat trzydzieście, a jednak usta okalał zaledwie miękki puszek, z pod długich rzęsów patrzało wyraziście dwoje czarnych oczu. Wogóle robił wrażenie człowieka nie tej sfery...

— Cóż tam, jak chora?—spytałem...

— Czekamy pana doktora—stęka wciąż...

Zbliżyłem się do łóżka; zbadawszy, podałem rady, a słowa moje wkrótce wróciły pogodę na stroskane lica—uspokojona stękać przestała.

Piękność cierpiącej była uderzającą!... Nieopisany wyraz miękkości i słodyczy rozlany w jej postaci, łuk brwi, ciemne szafirowe oczy i bujne, prawie czarne włosy, tworzyły skończoną całość... Pod wpływem obserwacji, na bladej twarzy osiadł rumieniec, a gdy otwarła usta, białe, niewielkie zęby, dopełniały wdzięcznego obrazu. Zdawało się, żem już ją widział kiedyś...

Po zapisaniu recept zacząłem rozmowę:

— Czemuż to w pierwszej chwili nie przysłaliście? wszak już choroba trwa parę tygodni...

— Nie było męża w domu...—odpowiedziała chora słabym głosem, tłumiąc uczucie bólu—krzywiła usta.

— Proszę nie mówić, nie męczyć się, zachować się spokojnie...

— Mnie lżej jak stękam... Dziękuję panu doktorowi, że przyjechał, już się nie boję, mnie pan już raz uratował.

— To też ja patrzę... coś znajomego! A prawda, prawda!... Helen... pamiętam!... Ona spłonęła rumieńcem...

Rzeczywiście, przed trzema laty byłem wezwany do tej chorej, która służyła we dworze znacznie ztąd oddalonym. W dziewczynce młodej zakochał się panicz... Historja zwykła... on ją porzucił—dziewczę zrozpaczone rzuciło się do Buga!... Było to latem, kośnicy wpadli do wody w pierwszej chwili i wyciągnęli pół martwą. Tą nieszczęśliwą była obecna żona artysty... Nie mogłem wiedzieć, czy cała ta historja była mężowi znaną, więc też przerwałem dalszą rozmowę.

W izdebce było czysto i schludnie.

Grajek, stojący opodal, wydawał się być obojętnym, wsunął w kieszenie ręce i stał patrząc w okno... Podszedł jednak do łóżka w chwili gdym pisał—i podał chorej wody, poczem usunął się znów na stronę...

Całym reżyserem, jak widać, była ruchliwa Zosia. Ona też wbiegła wkrótce oznajmiając, że koń już gotów, najęty od sąsiada; gospodarz jednak jechać nie może, więc szwagier musi i niech przywiezie prędzej lekarstwa...

Uspokoiwszy jeszcze raz chorą, obiecałem pojutrze ją odwiedzić.

Wkrótce też wyruszyliśmy w drogę...

Koń kary, bystry, już parę razy w bok skoczył. Mój pan muzykant widać nie tęgim był woźnicą. Wziąłem więc lejce do ręki i sunęliśmy mocnym kłusem...

— To jesteś, panie Cieciuro, zdaje się, muzykalnym?...

— A jakże, na skrzypcach potrafię...

— To wesołe życie, możecie żonce przygrywać i ludziom też uciecha...

— Najwięcej ja sam się w tem lubuję, jaby już teraz bez nich chyba nie wyżył.

— E, gadacie!... Człowiek do wszystkiego przyzwyczaić się może...

— Mnie żeby na ten przykład, co nie daj Boże, rękę wypadło stracić, jaby się chyba zabiuł...

— Tak już kochacie muzykę?

— Tyle i mego co skrzypcę widzę i zagram sobie.

— No, a dla ludzi przecież grywacie!... Ja sam słyszałem, na weselu w Mrównie, wszak to tam wy byliście?

— I spodobało się panu doktorowi?

— Bardzo, bardzo pięknie, znać że jest zamiłowanie.

— A gospodarce to nie przeszkadza? wszystko się w polu, w stodole w porę zrobi?

— Trzymam takiego do pola, trochę kuzyn, ten co wiózł w tę stronę, przygłuchy, to jemu snadniej.

— A tak na stronie zarabiacie dość?

— O to mi bardziej nie idzie — a grywam często. Już to co niedziela na chórze bywam. Na organach mszę bym mógł wygrać, a jak wesele, czy też chłopaki do domów proszą, albo z kompanją do karczmy, to nasza rzecz...

— I drogo za to płacą?

— Dziesięć złotych — dwa ruble — różnie się zdarzy, a jak porządne wesele, co dwa dni tańcują, to i dziesięć—dwadzieścia rubli muszą dać.

— Jednemu?

— Nie, na czterech. My się zbieramy: Jaworski na drugie skrzypce, Morawski na klarynecie, a taki przechrzta, to ten na basie pomaga. Dawniej był i bęben—to jak się popili—pałkę odebrali, bęben porżnęli i teraz nie ma.

— Jakże to można takie brewerje?

— Ot, zapłacili mu dobrze, to się uciszył.

— A te muzyki, reszta, zdatne? wychodzi dobrze? gracie przynajmniej co nowego? czy zawsze jedno i toż samo? Ja ile muzyk ludowych słyszałem, to najprzód że niedobrani, a potem zawsze jedno i jedno...

— Nam trzeba grać co każą: polkę-fromeskę, walca wiedeńskiego, kontredans z «Kasparona», to teraz najbardziej.

— Mazur nie idzie?

— Nie—mazura nie każą, chyba na takiej szlachcie co to już trochę z panów, to my możemy.

— A warjanta?

— To tylko u podlejszych—ja to tam nie bywam.

— Ciężka to praca tak przez noc całą...

— Jak padnie, to i dzień i dwa tańcują. Tu po Zabużu suto sprawiają... Jedne tańcują, co pierwsze i najkrewniejsze—a te co błaksze, po za oknami stoją, jak się pomęczą, to znów tych puszczą, to już tak dojdzie, że na sam dzień zabawę mają...

— I muzykantom pewnie dolewają na rezykę?

— Niewolno, tylko potrochu, bo jakby się upił, toby muzykę zepsował. My sami pilnujemy, ale się zdarzy, są takie co wytrzymują, jak o! nieboszczyk Kotoski, ten bywało nie folguje! co lepiej pije, to lepiej gra... To grał tak, grał przez dwie noce bez ustanku—ochota była dobra, aż tu jak naraz struna pęk!... Patrzą... a on na ziemi!... Co do czego... czerwony, siny—to nie to... chcieli krew puszczać — nie wiedzą jak... i tak nieborak w tem zakończył...

— Szkoda, to dobry był człowiek.

— A cóż, pierwsze skrzypce trzymał, kiedy pomiarkowania nie miał! To też my tak, jak już widziemy że trudno będzie, to pędzim! pędzim!... Jak się pomęczą, tak wnet i odpoczynek jest — a jakby tak tylko co pomału chciał, toby nie wytrzymał...

— To zawsze macie wesołe życie, i cóż tak na rok się zarobi?

— Jak do roku, sześćdziesiąt, sto się uzbiera, nie zawdy wraz.

— Ale dla zdrowia to niebardzo...

— I... jak który... Jak ja, to mogę.

— A w gospodarce przez to ubytek...

— To co ja z zrobię z sobą? do gospodarki ja na nic—tak nieraz chcę—myślę, szkoda tego pola... wyjdę, nie mogę—zaraz tak do mnie przystąpi... nie mogę sobie dać rady.

— Cóż was tak truje przecie?

Westchnął głęboko raz, drugi i milczał...

— Wyście tutejszy?

— Matka w Lublinie służyła u jakichś państwa, jak ja się rodził pomerła, ojciec tu niedaleko fortunę miał, a jak się żenił, też był w Lublinie, w jakiejś tam służbie przy trybunale, tam się poznali, ja matki nie pamiętam, ojciec bywało nie wspominał... nic...

— A żonkę gdzie poznaliście?

— Ja sierotą został, nie było komu do pracy zagnać, możeby jako lepiej wypadło...

Widocznie unikał rozmowy o żonie!

— Zapewne—rzekłem—mając takie zdolności, należałoby się kształcić, wydoskonalić.

— Oj, jaby chciał, mnie i pan Karol namawiał do wyższej szkoły w Warszawie... cóż, kiedy rzucić trudno—ja już chciałem do Ameryki uciec, żeby najdalej... najdalej...

— Czemu tak?

— Czy jest gdzie jeszcze dalej, jak Ameryka?

— Jest, jest—odrzekłem—Australja.

— To tamby najlepiej...

— Co was tak pędzi?

— Nic!... tak...

Widocznie biedak miał tajemnicę, gryzącą serce...

Dłuższem milczeniem uszanowałem troskę, myśl biegła szybko i szybko mknęły sanki... niepostrzeżenie— wyrosły nad horyzont wyniosłe kościelne wieże... mijaliśmy jedne po drugich wracające z jarmarku kompanje, przez główną ulicę przyjechać niepodobna — musieliśmy robić objazd dokoła... zanim stanęli przed domem...

Przez parę dni następnych tajemnica Grajka nie mogła mi wyjść z głowy i... pozostała zagadką...

# PO NADRZECZU.

## I.

### Gospodarz.

Na czystym nieba lazurze skrzące zimowe słońce jaśniało w swej koronie. Gra świetlnych promieni w kryształach śniegu, kryjącego ulice i dachy, ten blask zdawała się potęgować. Dzień zapowiadał się pogodny, choć mroźny; piękny kasztan, wprzęgnięty w pstrokate sanki, już od godziny rżał niecierpliwie i kopał w śniegu. Gospodarz jego, tęgi, siwowąsy mężczyzna, ubrany w kożuch, sukmanę i rogatą czapkę, gawędził z gromadką bab, od czasu do czasu rzucił spojrzenie i konia zdawał się zachęcać do cierpliwości.

Obserwowałem tę scenę przez okna, załatwiając pacjentów, i żal mi było, że ten koń stoi. On był stworzony do lotu...

Nareszcie siedliśmy i ruszyli w drogę. Kasztan skoczył raz, drugi—i dalej hopki sadził...

— Tss!.. tss!.. zwolna!.. Tss!..

— Pięknego konika macie, aż miło spojrzeć... to swego chowu?..

— Swój—na święty Wojciech 180 dawali, alem nie sprzedał. Może tam jako Bóg Najwyższy zachowa.

— Czemużby nie?..

— Ha! po te czasy—niełatwo, jak co dobrego—zabiorą, już mnie dwa razy obrabowali do czysta—teraz, co dobre psy mam—to jakoś cicho...

— Tak kradną—cóż to, cyganie?

— Żeby to wiedział—toby odszukał, ale niewiadomo, ja za swoimi jeździłem het, precz po za Łosice; gdzie tam—jak kamień w wodę—przepadło...

— A do powiatu daliście znać?

— A jakże, i do gminy i do powiatu—strażnikowi obiecałem—co! po próżnicy!..

— I podejrzenia na kogo nie ma?

— Ono to pomyślenie je... naprowadził tu jeden ze wsi... ale cóż tak gadać, jakeś nie widział... straszno—odemści jucha trzy razy... Niech ich tam Pan Bóg sądzi.

— A we wsi mają jeszcze tak dobre konie?

— O, u niektórych się znajdzie, ale boją się bardzo drogiego trzymać, bez niego życie postradać można...

— Czyżby już tak kradli?

— Lada czego nie weźmie, tylko na dobre czyha. Cóż?.. i o nich różne były gadki. Tych dwóch, to niby tegoż wieczora córka przepinatora widziała w karczmie—a kto ich tam pozna... Onoby nic... żeby nie taka bieda na świecie—prędzejby się na nowego zdobył. Ale co źle, to źle!.. w tym roku już nie daj Boże dopiekło.

— Tak narzekacie z przyzwyczajenia... ja oto ile lat żyję, jedno pamiętam: ciężkie czasy... ciężkie czasy — bieda... Jak było bardzo dobrze... zboże płaciło... toż samo powtarzali... już tak się ludzie przyzwyczaili... Sami nie młodzi jesteście — pamiętacie lata przed 50-ym rokiem, jak owies był 4 złote, żyto 6, pszenica 10—12, to cóżby teraz zrobili?

— A, w-ny panie, czasy były lepsze — co się ma znaczyć, zmiarkować trudno... Ja tylo wiem, że za młodu bywało kasza, groch, czy tam kluski z okrasą,

kartofle z mlekiem, kieliszek gorzałki i hola—dziś jak się widzi... choćby ot i u mego syna... co oni se wymyślą... herbata, pytlowy chleb, albo bułki—to zkądby na to brał.

Gościniec usadzony równą, podrosłą wierzbą, wyglądał wspaniale; na rozgałęzionych koronach osiadł szron, brzozowy lasek przy drodze tworzył fantastyczne pejzaże, a wąsy mego sąsiada sterczały jak dwa rogi. Scieżką po obu stronach drogi, wierni dążyli na mszę świętą. Różnobarwny tłum kożuchów, palt, sukman, marynarek z grubego sukna, palt damskich, skrojonych podług mody, kaszmirów, falban i t. d. Mijaliśmy też sporo saneczek, na których siedziały wystrojone pary, niekiedy kapelusz damski dziwnie odbijał od otoczenia. Zaledwie co czwarty, piąty, ubrany był w sukmanę, kożuch, lub przyjaciółkę—przeważnie były tu stroje mieszane — niezgrabne, zimne, niewygodne i drogie.

— Czy to nie odpust dzisiaj, że takie masy ludzi podążają do kościoła?

— Nie, tak niedziela, z poblizka idą... a i z dalecza spieszą, to jeszcze Bogu chwała, że choć do Boga się garną.

— A w wasze czasy czy tak się ubierali?

— A chowaj Boże! a toćby mnie ociec na próg nie puścił, to cała zaguba, w-ny panie...

— Ha! taka nastała moda!

— Moda! a niech ją palarusz trąci, *to złe...*, w-ny panie, taką księgę ma i tak przewraca karty... jak do ostatniej dojdzie — to znów nanowo ludzi tumani — tyło co do tela chłopa nie zaczepiało — a po te czasy i tu mu Bóg pozwolił... O! to zaguba straśna—pomiarkują się kiedy, jak bez butów pójdą.

— O, gdyby więcej tak myślących było, ale młodzieży nie przekona.

— Nie...nie...—pochwycił—darmego mowa na nich!...

— Oto widzicie! to na takie rzeczy... cały zarobek idzie...

— Idzie to w-ny panie i na co trzeba i na co nie trzeba—tylo się za kieszeń trzymaj — choć i z gospodarki — wiadomo — jednej pszenicy jak kilka korcy sprzedasz—jeszcze tam może grochu—i jakby z dochówku—a tak co zbierzesz—to tylko Maciek zarobił Maciek zjadł, jak to mówią.

— Bo nie umieją dobrze doprawić ziemi. U nas tu jeszcze nie tak ciasno. Jest taki kraj, nazywa się Belgja — to cztery razy tyle ludzi co u nas żyje na takimże kawałku, a żyją dostatnio... ale pracują nie próżnują.

— Chowaj Boże! i u nas pracują—próżniaków nie siła—ale co poczniesz, kiedy co przyjdzie płać! płać! choć ty tu co chcesz rób!...

— No, to bez tego nigdzie na świecie nie jest...

— Wiadomo, w-ny panie — co cysarskiego cysarzoju—a co Boskiego Bogu! Niechby... ale najgorsze to te wyrwasy! Na szkółkę płać... na gminę płać... na stójkę, na sąd, na księgi... na każdą rzecz.

— No, i na asekurację...

— Na sekuracje tu przyniewolstwa nie ma, mogę sobie jak chcę—choćby na sto rubli całe budynki podać—to już choć jak się spalę, czego broń Boże, odpłacą — ale już tak... ot teraz małośmy napłacili za jakichś chorych, przyszło tam zkądś z Karkowa, czy jak, 300 rubli za jakąś dziewkę, co tam leżała—niby to z naszej gminy ma być... zapłaciliśmy. A teraz znów schód był — co? co? Na warsiaske szpitale z nas. To już nie inaczej, tylo na tych być musi co z tej Brenzylji mają powracać, tylo na szpital składa.

— To też wam nagadają, a wy zaraz wierzycie. Przecież zważcie, jak składka idzie to z całej guberni do powiatowej kasy i ztamtąd odsyłają...

  

— A juści! aby zapłać! to odeślą!... juże! tyle ich widział — co my to już napłacili i wszystko idzie... idzie... ani nastarczy...

— Ot, widzicie, niby zdawało się żeście gospodarz rozsądny, a tego nie chcecie zrozumieć, że trzeba dwa, trzy razy tyle pracować, to wystarczy, to tylko dla naszego ludu tak ciężko płacić, to wszystko—bo nic oprócz roli nie zarobi, nic nie wymyśli, siedzi i tak ot czas schodzi, je źle, ubiera się źle... przeziębia, a potem choruje.

— O ma i to prawda.

— A jak zachoruje, to zamiast raz, dwa, trzy! — wyleczyć się i znów do pracy, to nie — będzie łaził, jeździł od felczera do baby, od baby do zamawiacza, aż choroba wlezie w kości; wtedy do ratunku, a tu już zapóźno—cały dorobek marnieje, choroba gospodarza dokończy i tyle, potem sieroty! bieda...

— O ma! o ma! w-ny panie, święta prawda! cóż, kiedy boją się lekowania... boją, jako żywo — jeszcze doktór jak doktór—ale japteki nie zwycięży—każe płacić, nie pyta, ostatni grosz... ani gadać.

— No jakże wyście chcieli—to trudno przecież, to wszystko kosztuje—czy wy pszenicę oddacie darmo?

— Nikt nie gada—wiadomo, przytem siedzi i jednego patrzy—a zresztą musi się opłacać.

— A musi, to wszystko drogie rzeczy i delikatne—a wreszcie musiał się uczyć przecież; ot macie, jak jest rządca we dworze, to on żadnego materjału nie wkłada a tylko za naukę bierze i pensję i ordynarję, tak i tu...

— To już niech... ale gadają do rządu trzecią część ma oddać... a pan doktór czwartą... że mieli o to na to przysiądz...

— Co?!...

— To też bez to rząd nagania do doktorów i do japteki, bo się uskąpienia na podatku boi...

— At, bajki! bajki!... I któż to tak mówił?

— Gadał Tomasz z Nadarówki...

— To ten co syna felczera ma?

— A może to on i ma... a juści pasierzba.

— Aha!... to naumyślnie takie wam puszczają wieści, żebyście do felczerów szli...

— Bóg tam wie jak to jest—my wiadomo tylko zesłuchania co się dowiemy.

— A nikt nie czyta we wsi gazety?

— W naszej się nie znajduje... Na Jagodnem tam pono jest jeden taki, to tę gazetę przepatruje, ale to mruk, i tak kto tam do niego pójdzie?

— To szkoda...

— Tak o teraz to najwięcej mówienia o tej Brenzylji, co nie mówią, co nie mówią...

— A dosyć plotą... a głupi słucha...

— To tak, w-ny panie, chłopaka mi zdurzyli—wybiera się na wiosnę, już w kompanje z takiemi wszedł, wyprzedają tak, tylko żeby co na sobie i co do drogi... ja mu gadam... głupiś... poczekaj co z tego będzie... a on nic—tylko za morze.

— Ojciec ma prawo zabronić, nie puścić...

— Nie po te czasy, co ja nim władnę—chłop pod wąsem, tylko przeświaduje: zmiłuj się, a toż to na morzu broń Boże śmierci—kamień do szyi i na dno. Własne dzieci zagubiać—ja, co do dzieci bardzo kochający, to samo pomyślenie aż cierpko... Choćby do lądu te samą trunę dowieźli, po chrześcjańsku, jak Bóg nakazał—to nie.

— Niepodobna, kilkanaście dni jadą, zepsułaby się, tam gorąco.

— A żeby taką łódkę przyczepiuł, a trunę dobrze zalutował, toćby taki przyholował.

— Najlepiej żeby spalił, a popioły krewnym oddał...

— To niby jak?—to tyż nie po chrześcjańsku.

— Zawsze już lepiej jak w wodę...

— Zawsze to nie podobne... czy to chrześcjany ten okręt mają?

— Różnie się zdarza—chrześcjanie, żydzi, kto sobie kupi.

— Kiedy to pono taki morski kraj jest, co już pod ich prawem trza być bez całą drogę.

— No, naturalnie, robią tak jak lepiej dla nich, a kogo wiozą, musi się słuchać.

Wjechaliśmy do wioski, zabudowanej w ulicę, rząd dużych domów, drzewka pookładane słomą, ulice do stodół stojących opodal rzędem, wogóle wrażenie dobrobytu...

— Tu piękne domy mają...

— Wzięli serwitut z lasem, tak się wyszykowali... o, tu bogate chłopy są, ta o tam chata z gankiem, jegoby za pięćdziesiąt tysięcy złotych nie kupił...

— A wy jak? macie dość gruntu?

— Półtory gospodarki—po braciem pół odkupiuł.

— A dzieci dużo?

— Pięcioro je, to dwie córki pożenione, już podzielułem, te pół co kupne i mojej pół na pięć części, a swojej pół do śmiercim se zostawiuł. Choć dobre dzieciaki, ale na ich się oglądać nie daj Boże! a tak i dla nich i dla nas starczy—tylko co żonisko, o, to kto wie czy Bóg Najwyższy do chwały swej nie zawoła...

Minęliśmy wioskę i pomknęli ostro... Kasztan sadził sążnistym kłusem i śnieg wyrzucał z podkowy, sypiąc i w oczy i twarz...

— Dajcieno lejce, ja go spróbuję...

— W-ny pan ostrożnie, aby pod ogon lejca nie wpuścił, zaraz poniesie, nie strzyma...

Ująłem lejce i mimo całej siły by powstrzymać— koń hopki sadził... kręcił się, skakał... nie mogłem mu dać rady...

— Widać tu gospodarska ręka potrzebna, inaczej idzie...

Uśmiech zadowolenia osiadł na ustach starca.

— Pan doktór tylko równo trzyma i trochę niżej... o tak! nic nie szarpać, tak!... teraz puścić wolno...

Koń poszedł równo... chociaż uszami strzygł częściej... sanki sunęły żwawo.

— Ile też owsa dajecie dziennie!

— Co zje. Tak mu się sypie bez miary, on zrazu, jakiem go z młodego postawił, ogromnie żer, a tera jakościś czy zapasiony, czy co—niebardzo.

— A krów macie też dosyć?

— Cztery krowy, dwie pary wołów, owiec z piętnaście.

— To musi być piękny paśnik?

-- Tego nie braknie, Bogu chwała... lewentarzowi swobodnie.

Koń prychnął raz, drugi i znów dał hopka...

— Tssy! Tssy... nie trzeba ściągać... już poczuł dom to leci...

Po chwili też byliśmy przed domem.

Izba obszerna, światła, podłoga ułożona z desek, niebielone ściany i niewykończone okna dowodziły, że dom jest nowobudowany z dobrego materjału—fundamentalnie... Stół duży, pokryty czystą serwetą, ustawiono w kącie—na nim chleba bułka, pod białym jak śnieg ręcznikiem, obok na talerzu święcona woda, kropidło i krzyżyk—oczekiwano księdza—pod oknami ławki. Przy ścianie, oddzielającej izbę od alkierza, na dużem łóżku leżała chora. Inne sprzęty widocznie usunięto na drugą stronę domu; wszędzie widniała zamożność... Chora złamała dwa żebra i nogę, wskutek spadnięcia z drabiny przy schodzeniu z góry. Porada zatem krótka: odwieźć wraz z łóżkiem do szpitala, w którym może być udzieloną skuteczna pomoc...

Gdym się zabierał do wyjazdu, wszedł jakiś człowiek, widocznie do mnie mający interes.

— Co to takiego?—spytałem.

— Pan Ścięgosz prosi w-go pana zajechać do nas koniem tego gospodarza, a sam już pana doktora odeśle.

— To proście gospodarza, żeby mnie do was dowiózł.

— A właśnie już gadałem, im jeszcze bliżej...

— Nie odprzęgajcie kasztana, prędzej doskoczymy.

— Koń już zmieniony i syn na sankach czeka.

— No, bądźcie zdrowi. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!

## II.

## F r a n c u z.

Na sankach siedział młodzian jak świeca, śniada twarz, orli nos, czarne oko i wąs; przepyszny typ cygana. Na tle siwej kapoty, wyłogu kożuszka i zasp śniegu wyglądał dziarsko, odbijał malowniczo.

— Tylko Ludwiku żywo... bo trzeba matkę odwieźć— napomniał ojciec.

— To się wie!—odparł zuchwale młodzian...

Ruszyliśmy...

— To wy do pana Scięgosza należeliście?

— A kiedyś do tych dóbr, teraz tylko co serwituta na gruntach, no i na zarobki do niego... cóż, kiedy licha płaca, to bardziej iść nie chcą.

— Lepiej rydz jak nic...

— Lepiej nic... jak od 6 rano do 7 w wieczór pogania, a da złotówkę, to Panie Boże zapłać!

— To musicie mieć dużo pieniędzy!...

— Ja tam nie mam, tak co trzeba, od ojca wezmę.

— Toż ojciec mi mówił, że gospodarkę podzielił.

— Niby się liczy podzielił, a mnie młodszego przy sobie trzyma... ojcoju dobrze... czterysta rubli od księdza proboszcza pożyczył, stryjową część spłacił, w dwa lata dług oddał.

— To czegóż trzeba... A! to to kawaler pewnie do Brazylji zamyślasz?...

Zarumienił się nieco, zmieszał, pokręcił wąsa i odrzekł:

— A czemużby nie?

— Bo niewarto, po co? na biedę?

— Jak komu, po coby zazywali, musi chcą poddanego mieć, to wiozą darmo, płacą dwa ruble na dzień, toć z tego taki już jakby nie było, co zostanie, można powrócić.

— Wszystko drogo: masła 8 złotych funt, jajko 40 groszy, kura dwa ruble.

— To jeszcze lepiej, toby się prędko zbogacił jakby krowę w lesie pasł, robił masło, uchował kur i sprzedawał jajka... toby i robić nie trzeba.

— Kiedy krowę tygrys zje, kurę wąż, a i pasterzowi może się dostać, a takiego gruntu co się rodzi, mało; albo las, albo góra.

— O, ziemi tam co niemiara, nie tu... to tu... Z pod Brańska poszedł jeden wdowiec, już niemłody, na zięcia wszystko zdał i tak się umówił: ty trzymaj, a jak wrócę to oddasz. Poszedł z dwoma synami, z córką, to był tam, był, aż tu patrzą przychodzi sam, co się znaczy, niewiadomo.

— Widzieliście go?

— Chmurny, nic nie gada, wiadomo ludzie dopytują... co tam, jak? choć go zarżnij... Jak chceta, to idźta sami... Jedne gadają co on tych synów domieścił, a sam, co stary, chce w domu umrzeć; drugie, że oni powymierali... to potonęli—a nikt prawdy nie wie.

— A wy jak myślicie?

— Ja myślę co im tam i bez niego dobrze, a tylo stary marudny, nie mógł się zgodzić.

— Może.

— A drugi co przyszedł, to miał znów iść, aż tu go złapało za boki... do trzech dni nie ma!... zakończył nieborak, to jak go ubierali patrzą, a tu na piersi wypalony krzyż i na lewej rybie drugi i jakieś kółko.

— To cóż to ma znaczyć?...
— Musi przysiągł, że wróci...
— Aha!... leczył się?
— Nie, na takiego co przysiągł leków nie ma, dopóki zdrów to dobrze, a jak zapadnie, to już umierać musi.
— A jeszcze kto wrócił?
— Nie słychać, ale listów ze trzy przysłali...
— Cóż, piszą że dobrze?
— Zrazu to im straszno było na wodzie, ale się pochowali na same dno w okręcie i potem nic, jadła nie brakło, jak przyjechali zaraz przysięgli... i na kolonje...
— A więcej nie piszą?
— Więcej? Piszą: jedźta!
— A widzicie, w gazetach są drukowane listy, zupełnie źle okazuje: bieda, strach, z głodu mrą; błagają, żeby krewni pieniędzy na powrót przysłali.
— W gazycie?... i zrobił taką minę jak gdyby mówił: wiem... wiem co pan mi powie...
— Nie w jednej... we wszystkich — dodałem.
— Pieniędzy to mu nikt nie pośle, kto go wie, kto pisze, może za niego jaki, a zresztą, jak jemu tam nie dogodzi, to po co tu ma być?...
— Jak spróbował, że pieczone gołąbki nie lecą do gąbki, toby się chętnie wziął do pracy.
— Takiby myślał jakby znów...
— No a jak tak go zostawić, to teraz zmarnieje.
— Kiedy szedł, niechby na siebie liczył; jabym tam, żeby mi z głodu przyszło umrzeć, tobym słóweczka nie napisał...
— Dlaczego? Nasz lud miłosierny i często pomaga bliźniemu w potrzebie.
— Głupi co na to liczy, kto mu tu będzie duszę zastawiał?

Mego interlokutora widocznie drażniła ta logika i rozmowa, dodał więc zaperzony:

— A na te gazety to wcale nie ma co patrzeć — powiadają, co jeden pisarz dziesięć takich listów z Brazylji na dzień napisać może.

— Grzech wam, moi kochani, wszystkich mieć za kłamców! Tu się zajęli gorąco, szczerze, żeby jak tych dzieciaków, co łapę w ogień sadzają, wyratować, a wy zaraz podejrzenie!...

— Niech się w-ny pan nie gniewa—dodał spokojniej—ale różnie na świecie jest: Kazimierzowi, co poszedł do wojska, co go zagnali het na Kaukaz, za Turkiestański kraj — to brat 8 razy po 3 ruble posyłał, a jak wrócił, gada: anim grosza nie widział—klął się i do spłaty nie chciał przyznać, aż mu kwity pokazali—i taki na pół rozcięli te wysłane pieniądze... to kto mógł pisać?... juści jakiś oszust!... Pisał i zabrał!

— To może być, a mogło i nie dojść...

— A w listach tyż stało: i jaki kraj i co — i pokłon do ojców akuratnie...

— I cóż to dowodzi?...

— Że różne zmyślenia są na świecie; to nam wiadomo, że tam dobrze jest — tylko kto idzie niech na siebie liczy i grosza trochę trzeba mieć—ale się można zbogacić i wrócić. Mnie tak aż korci, od pierwszej chwili jak usłyszałem — nic... tylkobym jechał!... Tak we wsi całe życie siedzieć?!... O, nie!... nie!...

— No, to was chyba tylko najtęższa bieda przekona—bo dobrej rady nie słuchacie.

Spojrzałem na młodzieńca. Twarz jego piękną była, piękniejszą stokroć — jakaś energja niepojęta biła z każdego słowa, a oko pałało ogniem gdy mówił; to każde słowo popierał gestem ręki, lub brody—to znów odrzucał głowę z fantazją. Patrzyłem też nań z ubocza z rozkoszą artysty. W tej twarzy było coś niezwykłego.

— Wy jak się nazywacie?—spytałem.

— Ludwik Dekaban—była odpowiedź.

— Tak?... Tutejszy, czy przychodni?...

— Z dziada pradziada tutejsi...

— Mylicie się, moi kochani. Wasz dziad, potomek znakomitego de Cabanów rodu, był rodowitym francuzem, przybył tu w r. 1812 z Napoleonem. Czy słyszeliście o Napoleonie?...

— Nic nie słyszałem...

— Był to wielki cesarz francuzów, który chciał zawojować w 1812 r. Rosję. Kiedy cesarz Napoleon pobity wracał do Francji, wasz pradziad nie widział możności zachowania swych dóbr i wiedział, że cesarz Napoleon już nie będzie panował, i wreszcie był tak ciężko raniony, że musiał zostać w Polsce; znalazł więc opiekę i przytułek na dworze hrabiów Krasińskich, a gdy wyzdrowiał, pan hrabia, znający doskonale jego rodzinę—dał mu miejsce nadleśnego...

— Zkąd w-ny pan to wszystko wie?...

— Posłuchajcie... Pan de Caban ożenił się z piękną wieśniaczką tutejszą, która służyła u niego; umierając, zostawił trzech synów; rzeczy inny obrót wzięły i piękna lecz biedna pani de Caban wychowała synów po tutejszemu, w domu swych rodziców... Ci trzej de Cabanowie, już jako prości wieśniacy, tu w ludzie gdzieś są, lub ich dzieci...

— Nic o tem nie słyszałem nigdy—ale trzy familje takie jest, a jakże.

— Otóż widzicie, jesteście francuzi z krwi, pewnie dlatego tak się wam chce cieplejszego nieba... A jeszcze co wam powiem — zostały tu i inne familje: są Mowele?

— Są, a jakże, dwie familje.

— A Karubiny?

— Nie znam.

— No to są jeszcze Mauvelle i Carubiny i Maruny (Marène).

Cała ta historja, którą słyszałem z ust proboszcza, znawcy stosunków miejscowych, wywarła na potomku znakomitej arystokratycznej rodziny niemałe wrażenie... Siedział na sankach jak nieswój, stracił fantazję, głowę spuścił i dumał, wreszcie spytał:

— A czy daleko do Francji?...

— Bliżej jak do Brazylji. Czy chcecie iść?

— Pokazaćbym się nie śmiał—ani ja mowy—ani... Do takich panów...

— Kto to wie, może ich nie ma, może już nikt nie żyje, a może są tam wasi krewni — majątek i ziemia?

— A tak dowiedzieć się nie można?

— Można napisać.

— To niech w-ny pan napisze.

— I owszem, mogę. Jeśli ci odpowiedzą, dam wam znać, ale z jednym warunkiem: siedźcie w domu i czekajcie, bo jakbyście poszli do Brazylji, gdzieby was odnaleźć.

— Dobrze, zostanę...

Niepostrzeżenie dojeżdżaliśmy do folwarku, a w czasie ostatniej rozmowy sanki szły wolno i tylko wjazdowe wrota przerwały takową...

Oto i dworek...

## III.

## We dworku.

Wpośród topoli, przy okólniku, złożonym z obory, stodół i stajni, stał biały, słomą kryty szlachecki dworek. W nim to mieszkali państwo Ścięgoszowie; za domem kolisto ciągnął do rzeki ogród, pełen wybornych drzew owocowych.

Pan domu, człowiek niemłody, w swoim czasie odbył podróż nad brzegi Leny i Jeniseju, a że był sprytny i zabiegły, administrował więc czeladzią kupców, czemś tam zarządzał w kopalniach złota—słowem, przymusowa wycieczka nie była dlań bezowocną. Wróciwszy do kraju, ożenił się z ciepłą wdówką i objął w posiadanie piękny mająteczek.

Na ogorzałej twarzy, kutej jak z żelaza, nie znać jeszcze trudów i zmęczenia, cała postać zawiędła, a czerstwa, zdawała się mówić: przeszedłem ogień i wodę i miedziane rury—co mi tu życie?—fraszka!.. Odziany w krótki kożuszek, wyszedł na spotkanie i zanim zsiąść zdołałem—prosił, by zwrócić sanki ku sąsiedniej chatce.

— Któż to tu chory?—spytałem.

— A jest tu chłopak, gapia kawał, chodzi na dniówkę do młockarni, zdaje się przyzwyczajony—gdzie tam! Wsadził łapę w tryby i ma zgniecione palce.

W maleńkim domku, tuż obok dworu, zalana łzami kobieta jęła mi rozpowiadać—jak to się stało: więc

rano wyszedł, nawet nic w gębę nie wziął, jakiś był nieswój, potem na obiad przyszedł, łyżką tam w misce gmernął i poszedł znowu — żebym wiedziała!.. żebym wiedziała!.. tobym go nie puściła—żeby te maszyny w ziemię się zapadli...

Cały ten lament wcale nie wzruszał pana Ścięgosza, ani też chłopca, który spokojnie pokazał rękę, grubo oblepioną chlebem. Po obmyciu okazało się, że trzeba odjąć trzy palce!.. a była to ręka prawa!..

Tu lament matki doszedł do zenitu: a nie ruszajcie panowie! dajcie mu pokój! może się zrosną! może zagoją! Nadszedł i ojciec, biedny ogrodziarz... nowa narada—nareszcie trudno...

Usunięto matkę, przyniesiono podróżną szkatułkę, wody; pan Ścięgosz pomagał, chłopiec wrzeszczał, ojcu się źle zrobiło, matka pięściami w drzwi biła... Palce odjęto, rany zaszyto i w opatrunku chłopak miał jechać do szpitala dla dalszej kuracji.

W izdebce stało łóżko, stół, dwa stołki i kilka garnków—to cały dobytek ogrodziarza.

Gdy całą sprawę skończono, prosiłem, by pokazano mi miejsce katastrofy.

— To wszystko jedno, proszę pana, jak nie w młockarnię—w sieczkarnię wsadzi, lub się siekierą rąbnie—to takie cielę!..

— Nie, proszę pana, gdyby tu była blacha ochronna i tu... i tu... palce byłyby całe. I ręka u dziewczyny z Czajkowa, com jej niedawno odjął, i noga u chłopca z Olszowej—padły ofiarą takiegoż zaniedbania.

— Tak pan konsyljarz uważa? Dobrze, zastosujemy. Słuchaj, Walenty! —jutro blacharza, żeby mi tu całą młockarnię, sieczkarnię i młynki blachami poobijał — pamiętaj, raniutko! Powiedz, niech do mnie przyjdzie!..

Rozkaz był dany z tak wielką werwą, żem wątpić zaczął, czy go wypełnią.

Wreszcie podążyliśmy do dworu. Uprzejma pani domu siedziała przy samowarze, otoczonym szynką, indyczyną, salcesonem, serem, masłem i t. d.

Na widok tylu rozkoszy, rozjaśniło się mi oblicze, ponieważ od kilku godzin przypuszczałem, iż jestem jednym z nieszczęsnych emigrantów, umierających z głodu.

— Pan konsyljarz pozwoli herbatki?

— Wolałbym co przetrącić.

— A i owszem. Kasia! Kasia! Rosół odgrzejcie zaraz i kurę po łbie—wiesz, tę jarzębatę! tylko prędko...

— Ależ, pani dobrodziejko, łaski! łaski! dla jarzębatej, śliczne stworzonko, niech żyje—ja lubię wszystko na zimno—tu tyle mamy tych rzeczy.

— No, dobrze, zgoda, to może winka, musztardy, octu, konfitur? doskonałe—może grzybków, korniszonów?

— Dziękuję, dziękuję pani! najprzód szyneczki...

Gosposia ucichła tylko na chwilę, pókim napełniła talerz, śledząc z upodobaniem za każdym ruchem widelca.

— I cóż z tym chłopcem?.. Niech sobie pan wyobrazi: on chciał iść do Brazylji, lepiejby zrobił, możeby miał rękę całą... biedny chłopczyna, a jaki to dobry dzieciak, pracowity, jak go mój Pawełek lubi.

Rozmowa wkrótce dotknęła emigracji...

— Szkoda tych ludzi—rzekłem— zawsze to swoi i tak na zgubę idą.

— A niech idą, choćby wszyscy, jak najprędzej! Każdemu po trzy ruble na drogę dam!... — była odpowiedź.

Przy tych słowach zaiskrzyły się oczy piwne i zjeżyła broda.

— Jakto? uszom nie wierzę... I pan to mówi? Pan, obywatel?

— Nie ma czego załować! Prawdziwie, żeby pan konsyljarz tu z nimi pobył, zobaczylibyśmy, jakby sądził...

— I cóż tak pana zniechęciło przecie?..

— Łajdaki! szelmy! gałgany! ciągle w szkodach siedzą, nocy spokojnej nie ma, pasą w koniczynie, tratują rzepak, w łące siedzą jak u siebie, mają prawo trzymać 75 sztuk bydła—trzymają 160.

— I cóż, pan nie umie sobie poradzić — przecież jest komisarz?!

— Byliśmy już wszędzie... Komisarz dwa razy zjeżdżał, nakazał wójtowi sprawdzić!... Podług tabeli moja racja! Cóż z tego? Dostają, panie, nakaz — będą rachować wójt z sołtysem — komisja, a jakże!... Przyjeżdżają, liczą—jest 75—a te łajdaki resztę po lasach z chłopcami roześlą. Nie łaska!... Idź panie, szukaj!... Na wieczór znów są...

— To niech pan serwitut ułoży.

— A proszę mi poradzić! Mam 630 morgów, 22 gospodarzy i 16 osadników. Gospodarze chcą po 12 morgów gruntu i po 2 lasu — osadnicy po 6 i po morgu lasu, inaczej ani weź — razem 420 morgów. Zostanie 210. Czy podobna? Towarzystwo, długi prywatne, hypoteczne, ani sposób!...

— Ależ pogadać!...

— Nie, nie, gadane! Jest taki adwokat, ludzi ich, że wezmą co chcą i sami dobrzy... Co im za niewola, pasą gdzie chcą i kiedy chcą, las rąbią...

— To też potrzeba tem bardziej do ugody przystąpić.

— Niepodobna! Z początku posyłałem—to co poślę, to o mórg więcej daj... tak z 7 wjechali na 12!

— Dość mają ziemi?

— Różnie, chociaż tu grunt nietęgi, piaseczki.

— No, a jak pójdą i pan bez robotnika zostanie?

— To cóż, będę się szlachtą z sąsiednich wiosek obywał...

— A tamci chodzą na zarobek?

— Lichy robotnik—grymaśny i trzeba z nimi umieć potrafiać—są tacy co iść na zarobek za wielki niehonor liczą, ale jak grzecznie poprosić: niech waćpanowie sąsiady—to pójdą i robią czasami nawet lepiej od chłopa.

— A ja słyszałem, że pańscy się wybierają?

— Nie pójdzie szelma — będzie siedział. Zwąchali tylko, że można się potargować! Oni i tak na zarobki nie chodzą—to dla nich za mała płaca... Pan ich nie zna! abo im źle? Komu dziś dobrze jak nie im?... Wszędzie pierwszy... W gminie sobie wybiera kogo chce i człekiem pomiata. Ten wójt to się ich, panie, boi. On naumyślnie przyjdzie wtedy, jak już przygotowali tyle krów co trzeba, a tak nie pojedzie.

— Noo!... to się nazywa nadużycie!...

— Panie, u nich wszystko wolno... Nie damy się... niech próbuje!... A ty, panie wójcie, tego... wara... za rok wybory... Ot! masz pan!...

Pan Scięgosz w zapale klasnął rękoma w kolana i rozwiódł szeroko dłonie—manifestując tem położenie bez wyjścia.

— To urządź pan presję!...

— Wiem, myślałem—to cóż, pierwsza rzecz koszta. Pan ten leśnik, co to ma urządzać, z 800 rubli weźmie — potem będą się drzeć i wreszcie spalą z kretesem...

— Więc cóż?

— Ha, cóż, trzeba biedować póki żyjemy. Całe moje szczęście, żem Towarzystwo kredytowe spłacił już prawie, bo żeby nie to — bieda; zkądbym na raty brał, kiedy dziś takie możne dobra, a w dług żydowski leżą, by ratę uspokoić. Jak to Towarzystwo nie pomyśli, żeby raty zmniejszyć, to będą majątki padać jak gruszki. A jeszcze z serwitutem—żadnego ulepszenia — ni to płodozmian wprowadź, ni to las urządź, wszystko zawiązane—a wreszcie to irytuje.

— Prawdziwie, wie pan doktor, ja męża nie poznaję—dodała pani—taki łagodny człowiek był; jak się zaczęła ta wojna, zły, zgryziony, żółty, niczem go ucieszyć nie można.

— Nie trzeba znów tak do serca brać.

— Ale pan jeszcze winka kieliszek?...

W tej chwili dwie tłuste dziewki wniosły półmisek i wazę.

— Ot i gotowe! Pan doktor pozwoli!

— Pani dobrodziejko, nie mogę. Jestem syty, nie mogę.

— Mój Boże! to po cóż ja kazałam odgrzewać... Ale pan musi choć trochę... choć trochę...

— Daruje pani, stokrotnie dziękuję...

Wyraz niezadowolenia i niekłamane zmartwienie osiadło na twarzy gosposi; patrzyła to na mnie, to na wazę, to na męża z widoczną pretensją, nareszcie rzekła:

— Olesiu, proś ty!...

— No, trudno, moja kochana, jeść dla twej przyjemności.

— I... pan niedobry.

Wiedziałem, że jeden połknięty kąsek zadowolni gosposię, więc też rozmyśliwszy się, prosiłem o talerz zupy... Wtedy powrócił humor.

— Panowie rozmawiali o tych chłopach, a ja ich lubię nawet i leczę jak która chora... Tu właśnie przyjść kazałam jednej kobiecie... Co ja jej nie robiłam — olejek dawałam, poderwę, podeldokiem tarłam, Ginter balsamem — i ona sama i wylatywy brała, pijawki stawiała, zewikatorję—nic nie pomaga...

— Nareszcie kołtun zapuściła—nieprawdaż?...

— Patrzaj, Olesiu, pan zgadnął, a to dopiero!

— A widzi pani. Ja ich tak znam, jak ie pięć palców.

— No i patrzcie państwo i chora.

— I czemuż pani jej do mnie nie przysłała?

— Nie chciała, z początku tak jej nie dokuczało, a potem bała się, że pan kołtun zdejmie.

— A ją pokręci, oślepnie...

— Co pan, czarownik, czy co? jak Bozię kocham! Patrzaj Olesiu!

W tej chwili weszła dziewczyna i oznajmiła, że Jakóbowa nie przyjdzie, bo już jest zdrowsza.

— A niech ją kaczki zdepczą!...—wtrącił pan Ścięgosz—ot głupia baba, warto się nią zajmować...

— I myślisz tylko wami warto — odparła pani— jaka ta Jakóbowa gospodyni, żeby pan wiedział, jakie ona ma kaczki, kury, gęsi—najlepsze z całej wsi...

— Ważna figura! no, moja kochana, już daj z nią pokój!.. Wściekła baba, po nią posyłaj — nie raczy — dodał pan Ścięgosz.

— Więc dajmy pokój Jakóbowej—przerwałem, obawiając się, żeby baby *par force* nie sprowadzono. Spojrzałem na zegarek. Oh! już tak późno, darują państwo!.. Moje uszanowanie!..

— Pan doktór do nas tak rzadko—często przejeżdża—widujemy, choćby na kieliszek winka wstąpił — zapraszał pan domu...

— I na kapłona—dodała pani—mam stare, tłuste, po 10 funtów ważą; a teraz nowe będą— to te do bicia. Niech pan nie omija...

— Służę, służę i owszem... na takie rzeczy pyszne i owszem.

— Tylko na dłużej... co tak na pięć minut?

— Moje uszanowanie!

IV.

## Wieczorkiem.

Para siwych, zwięzłych koników, wprzęgnięta w zręczne sanki, na koźle dwóch ludzi — i w drogę...

— A chłopak?—spytałem.

— Jego już jutro odwiozą... a ja tu ojca posadziłem—będzie bezpieczniej wracać.

— Aha! to ojciec chłopca... dobrze... więc żegnam... A to nas Wicek wiezie?

— Szczęśliwej podróży!..

Księżyc wychylał pełne oblicze, z po za blizkiego boru, czerwona łuna zdawała się robić wrażenie pożaru. Koniki mknęły szybko, już wieś za nami het!... Przed nami pole, śnieg... przestrzenie...

— To szkoda chłopca, przyjacielu!

— Dobry to chłopak! cóż począć, taka już wola Boska, bardzo ciekawy—takie to niepokaźne, a do zarobku jedyny... za trzech.

— Wyście parobkiem?

— O nie!..—i westchnął—ja ogrodziarzem... Co się zarobi... tyle mego... chałupina pańska i mórg ogrodu odrabiam, a resztę dzieci...

— I cóż, da się wyżyć?

— Musi się dać—cóż począć...

— Ztąd pochodzicie?

— Tutejszy z dawna dawnego. Ojciec miał gospodarkę, było nas kilku, ojciec mnie do młynarza oddał, a tu jak wietrak postawili, ten młyn podupadł—mnie

nie chciał trzymać... Przyszedłem znów do domu, trochem się tam poduczył koło gruntu.

— I czemużeście nie uczyli się dalej młynarstwa?

— Ochoty jakoś nie miałem, ja spory chłopiec był, do wojska niezdatny, ten piasek porozprzedał—i ożeniłem się w dwudziestym roku.

— Tak młodo—lepiej było dojść do 25 i wtedy.

— Teraz to wiem, a wtenczas zdawało się dobrze... Potem po służbach-em chodził, aż jakiem zaziąb raz, bez trzy miesiące w szpitalu leżał i z tego czasu liczą, żem do roboty za słaby... a dzieci Bóg dawał, to chorowali, to poumierali, co było robić—Bogu chwała, co i tak nasz pan mnie przyjął...

— Przecieśta porządkowy—wtrącił Wicek.

— Ja to tam trochę strugać umiem — to dzieciak już podrósł... Tak biedujemy...

— Mnie pani mówiła, że chłopiec wasz miał do Brazylji iść.

— A już tak całą rodziną chcieli!.. Cóż, teraz ot bez ręki, jak z nim kaleką?

— Więc jużeście się wybierali?

— A już na wiosnę mieliśma iść z dziećmi, to znów gadali, co do ruskiego kraju mieli wołać.

— Do Ussuryjskiego?

— Może i tak... Wachmistrz gadał i bez naczelnika to idzie... z Wólki to kilu tam ma iść... we cztery famielje... to znów się zlękli, że zimno. Nawet nam pan pochwalał, gada... dobrze... a Jędrzej tylo sprzeczny. Co? na Syberję? jeszcześta nie hareśtanty, żebyśta mieli dać się wieźć... Człowiek głupi, sam nie wie jak.

— To już, moi kochani, trudno wam radzić—z Brazylji, słyszeliście pewnie, że już chcą wracać, a czy tam będzie lepiej—znów czas pokaże...

— Ono to tak—temczasem z głodu mrzyj...

— Tssyt! Tssyt!..—dało się słyszeć z kozła.

— Co tam znów?—stanęliśmy.

— Podkowa leży... tam błysnęła... idźcie Wojciechu, moji kochani—tu zaraz...

Ogrodziarz zsiadł, ku mnie zwracając lica—w świetle księżyca wysoka postać, twarz mała, wychudła—i duża rogata czapka robiły wrażenie cienia—nie człowieka... Za chwilę wrócił ze słowami: co się wam przywidziało?

— Ale prawdziwie! czekajta, ja poszukam.

— No, tylko prędzej! bo szkoda czasu...—dodałem.

Raźny furman zeskoczył szybko i w parę chwil wracał, niosąc w ręku podkowę, którą obcierał ze śniegu o sukmanę...

— To dworscy z Rozgłośnej zgubili—walna podkowa!... ale na nasze konie to trzeba przekuć...

— Z dużej na małą to łatwiej...

Skręciliśmy z gościńca—znów sanki ostro mknęły—siwki, jakkolwiek małe, biegły jak cugi...

— To chłopca jutro odwiozą?

— Jutro, w-ny panie! Biedne matczysko, co się napłacze—niech tam przez noc popatrzy.

— Tylko-że pamiętajcie, żeby napewne.

Droga ciągnęła przez karpy i zarośla. Półcień księżyca przesłanianego chmurkami, od czasu do czasu oświetlał nowe wycinki... To zda się zając mknął w prawo... to stoi jakaś postać w oddali... to zaczajony złodziej przykucnął... to stado wilków tam het z oddala ku saniom zdąża.

— To my inaczej jakoś jedziemy?

— A wieś minięta, tędy trzy wiorsty bliżej i znowuż na tę drogę popadniem...

Głucha rozmowa na koźle nie była dość wyraźną.

— Co tak gadacie?

— Tu żyda, w-ny panie, łoni zabili w tem samem miejscu przy grusie, za co, za sześć złotych—biedak był taki—skórki zajęcze skupał—ktoś się ułasił—i duszę zgubił...

— Pewnie myśleli, że ma pieniądze?...

— Jušci dla sześciu złotych by nie zabijał.

— A jakby tak naprzykład dla stu rubli—to można?

— I tak nie można, ale choć za coś...

— Wiadomo, aleby za sto rubli toby się wspomógł—dowodził furman.

— Chybaby z ostatniego głodu na taką rzecz się puścił—wtrącił ogrodziarz.

— No, a jak z głodu—to można!... toż Pan Bóg teżby go karal!...

— Z głodu to możeby odmodlił... jeszcze za żyda..

— To niby tak myślicie, że jak za żyda łatwiej odmodlić?... No... no...

Widać, że zrozumiano me oburzenie, bo obaj z kozła chórem odrzekli:

— Nie, chowaj Boże—nie można!...

— Pewnie dlatego, że wsadziliby do kozy?...

— I o to nie strach!—odparł Wicek—dwa lata temu, to jeden z kolonji drugiego zabiuł—cóż, nie dowiedli—siedział bez rok w hareście, gada: jadł, pił, jeszcze jak!... potem puścili...

— Ten także z głodu?...

— Nie, pono z zazdrości o pannę, mieli do siebie złość... to taki ze szlachty... z hunorem.

Swiatło zabłysło w oddali, znikło, znów ukazało złocisty punkcik... Konie zerwały ostrzej i po pod lasem biegły fyrkając.

— Co tak sadzicie?

— Ha, późno będzie wracać, niech lecą...

— A te światełka?

— To wilk, czy co? — rzekł przestraszony Wojciech.

— Zkądby tam wilk?...—odparł woźnica—choć tu gadają, że jeden chodzi... i że do owiec się podbierał.

Wtem buuch!... puuch!... dwa strzały rozległy się po lesie... Konie spłoszone jak pójdą!...

— Trzymajcie ostro!...

— Niech leci jucha... to się umęczy...

Sanki warczały jak strzała w locie... wyciągnięte szyje w pełnym galopie zdały się ziemi sięgać. W prawo... i w lewo... już... już... na boku... jeszcze chwila, tu drzewo, tam pień...

— Trzymaj!... Trzymaj!...

— Teraz nie strzyma, już się tak rozfukali... Hola! hola!....

Wtem... w jednej chwili mach!... w lewo... i... znalazłem się w śniegu... Opodal stały sanki — koń jeden leżał... a drugi stał przy drzewie. Podszedłem bliżej...

— No, cóż nareszcie!...

— Psia juchy!... wparły w chojkę—porwali naszelniki i ten warjat piersią uderzył—widno stłuczony.

— Może się zabił?!...

— No! no! nie wstaniesz?

Wicek powoli odprzęgał obu, ciągnął za ogon, za grzywę... rozcierał śniegiem nozdrza i warjat wstał na przednie nogi... na zadnie — wstrząchnął się... Bogu chwała!...

— Wy obaj cali?

— Bajki, tylko co Wojciech łokieć se rozbiuł, a ja obtarłem rękę...

— A jakże będzie z naszelnikiem?

— Wojciech dał paska, naładujemy.

Po małej chwili wszystko wróciło do normy i podążaliśmy z wielką akuratnością...

— Cóż to za światło błysnęło? zdaje się u leśnika w chatce, czy co?

— Psia wiara ślepy, takić to słychać jak jadą, nie jemu widno kozioł wyszedł.

— Komu?... co bredzisz?...

— Temu samemu co stał, w-ny pan nie widział, pod gruszą sielma i papierosa palił...

— A któż to taki?

— Bóg go tam wie, abo ich mało, tu las w okołusieńko obstawiony...

— Przecież te lasy do Gołąbkowa należą, a dalej do Rozgłośnej.

— To cóż, on to na swoim wystawa.

— Aha, rozumiem, to złodzieje zwierzyny.

— Same najpierwsze kolonisty, o oni z tego dobrze się mają... Perkowski, ten co w lesie mieszka, on tak do roku już słabo trzy storublówki złoży.

— Abo pan Karul próżnuje, on ogrodziarza tylo na to trzyma, sam stoi na sarne, a jak zające tak luzem puszcza, abo tam het zdalecza synki biją.

— Któż to kupuje?

— To już skontraktowane z Fajbusiem, tylo do niego, a on na kolej nocnym i do Warsiawy.

— Jakto, skontraktowane z cudzego lasu?...

— Bo to jest pewne, w-ny panie, jakuratnie, tylo co teraz mniej, bo się już bardzo namnożyło fuzji, a przódy, ho!...

— Mają przynajmniej bilety na broń?

— Bilety mają zawdy przy sobie, tylo co nie pieciętowane.

— No, a do domu po broń nie zajrzą?...

— On jej do domu bardziej nie nosi, ma takie sosnę, nikt nie dopatrzy, a który w domu, to w podwalinie se wypiłuje ściankę i tam zasadza—może policja szukać.

— A to łajdactwo!...

— Jeden tu z ogrodziarzy był już prawdziwie biedny, długo on nieborak głód mer, ale jak zaczął pukać zające—nosić do żyda, a tera już do kóz się wziął, to jemu lepiej jak na dwóch gospodarkach.

— Ależ to grzech, kradzież, nareszcie rozbój cudzego inwentarza, że tak powiem; wiecie, że w Rozgłośnej szczędzą zwierzynę, stogi na zimę stawią, kozy

nie wolno ruszyć dla państwa, jakby się wilk okazał, zaraz obława—więc oni bijąc kradną.

— A on na swoim stoi, koza do Buga idzie, bo musi pić, wtedy on bije, znaczy na swojem, na jego Bóg posyła.

— No tak—to znaczy, jakby tak koń z waszej stajni do cudzej studni poszedł się napić, to już on wasz?

— Koń, koń wiadomo kupny, a to dziczyzna, to Boskie.

Zamilkłem, nie widząc możności przekonać. Więc ci ludzie w najlepszej wierze biją cudze i swe sumienie uspokajają, że to Boskie zwierzę...

— Już nie gadajcie! drży skóra, czuje, że kradnie...

Konie znów strzydz zaczęły uchem i szły niepewnie.

— Hola! hola!—łagodził woźnica—spłochane mogą znów... W-ny pan nie widział, tam za chojakiem tyż stał... to musi też z kolonji, Kubek, albo Makary... pewnie Makary...

— To piękna rzecz... Niech ich Bóg sądzi.

Jeszcze chwil kilka mknęliśmy mimo lasu, wreszcie gościniec sadzony wierzbą otworzył pole lotu. Wio, małe! wio!...—zawołał Wicek...

Torniejsza droga i zmęczenie, noc, mimowoli skleiły powieki, głowa opadła na poręcz, lecimy gdzieś w dal, w przestrzenie...

— Co to strzela?...

— Nie, to wybój, w-ny pan śpi sobie.

— Trochę zdrzemnąłem... Daleko jeszcze?

— Jeszcze trzy wiorsty...

— Brakonjer!... kozioł!...

— W-ny panie, w-ny panie, przyjechaliśmy.

# DROBNA SZLACHTA.

## I.

### Waćpanowie.

Zadźwięczał dzwonek, służąca drzwi otwarła i do oczekiwalni weszli jacyś ludzie. Byli to dwaj mężczyźni w średnim wieku, pierwszy ubrany w burkę bronzową, trzymał bicz w ręku, twarz blada, wąs płowy, oczy niebieskie, zdawał się być przygnębionym i apatycznym.

Drugi mocny brunet, czupryna jeżem, oko piwne, cera śniada, energja w twarzy i czarna sukmana. Całość robiła wrażenie zawadjaki.

— Co to panowie sobie życzą?

— Jestem Goliński Benedykt, z Golina.

— A ja Pieniacki Andrzej, ze Spornej-Miedzy.

— Bardzo przyjemnie. Panowie szlachta?...

— Drobna, wielmożny panie, jak owies...

— Czem mogę służyć?...

— Ja chciałem do pana dobrodzieja o tem dziecku, co tośmy łoni byli z żoną... Chore na bóle, a teraz chnieje... chnieje... możeby co nadało.

— Dawno chore?

— Rok bez mała, możeby wielmożny pan co radził?

— Każcie znieść z sanek.

— Ono w domu zostało z matką, ja to tam mało wglądam.

— No, ale przecież? Waćpan będziesz mi umiał opowiedzieć—gorączkuje, ma apetyt, sypia?

— Żeby tak dokumentnie, nie rezykuję.

— No, to niech pan Goliński dziecię przywiezie.

— Na opowieść widzę żem za głupi, przywozić zimno... żeby to ja się był żony rozpytał... to też to to... a ja prędko... prędko... na radę i na radę... To już chyba inaczej nie będzie, tylko pan dobrodziej się sfatyguje... tu niedaleko... dwie milki...

— Dobrze, ale za jaką godzinkę, nie wcześniej...

— Zgoda!... Konisko wytchnie.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— A waćpan?...

— Ja po obdukcję...

— Rozbierz się pan!...

— Niby... burkę zdjąć?... dobrze... tylko że... kiedy ja...

— Są siniaki, na ręce?... plecach?...

— I... znaków bardziej nie dojrzy... bez kożuch dwa razy zdzielił, to może i nie znać... za włosy też der... Antychryst w-ny panie!... jak jął kląć, wygrażać, złapał za kij, jak zaczął bez łeb...

— Pokaż pan głowę?...

— Nie... Chowaj Boże, tylo szczęście co po nad głową... nie trafił... Wszyscy widzieli... a jakże! je... świadków osiem!

— Aż ośmiu... no proszę... zkąd tylu?

— Wiadomo luźny czas... na ulicy stojeli — pan Marcin Dyrda... pan Wojciech i od Piętków...

— Cóż z tego? znaków nie widzę żadnych... świadectwa dać nie mogę...

— Ale jakto... Obdukcję! w-ny panie! ja odpłacę!...

— Zastanów się waćpan... co ja mogę napisać?

— Ach! ja nieszczęsny! gdzie sprawiedliwość?... ten gałgan ma się znęcać!... Niech pan dobrodziej!... na miłość Boga!... jak pan dobrodziej zechce, wszystko się znajdzie... ja chory, przestraszony, ja od renia nic w usta nie włożył... Na tego łajdaka, w-ny panie...

— Czekaj pan!—jak to było?...

— To tak: u nas już dawno złość jest; już cztery razy w sądzie byli — on żeby mógł, toby mnie dawno zagubił... tylko że ja jużem się zniszczył na nic — nie daje się do skutku... mści się... pomstuje... Tylko dziś wyszliśmy na ulicę, patrzę... naprzeciwko pan Kalikst!... Tylko... tak tu zaspa... a tu steczka... tylo co się po pod płociu przemknąć. Ja mówię: pan Kalikst zejdzie— a on: pan Jędrzej się ustąpi!... Ja znów: pan Kalikst niech z drogi!... on: waćpan słyszysz?... ja mu: to możeś waćpan głuchy ale nie ja!... widzita!... I stojemy... Waćpan zejdziesz czy nie? — rzekę... — Tfu do kata!... jak wrzaśnie!... moja strona!... na bok!... Ja na bok!... on na bok!... jak się rymniem piersiami — odskoczył... On do kija, jak nie zacznie wywijać—ja za kij!... odebrałem, jak go nie rżnę bez łeb!... tylko jucha po kołnierzu poleciała... On do mnie z pazurami... wpił się... ludzi się nazlatało—rozbronili... Zbójca!... A ja tu do pana dobrodzieja, żeby za świeża!...

— Hm! hm! cała batalja?! Ależ to pewnie on waćpana skarżyć będzie za tę ranę... nie wy jego?...

— Co?... pan tyż z nim trzyma?... dobrze!... dziękujemy!... nie łaska... znajdę drogę — pojedziemy do pana powiatowego... opisze...

— Z Bogiem, z Bogiem, panie Pieniacki... A to skaranie boskie!...

— No, panie Goliński, więc poczekajcie chwilę... wrócę z miasta, pojedziemy...

— No patrz pan, dogodź tu każdemu!...

— To, panie dobrodzieju, taki człowiek, w nim złe... sądowe siedzi...

Po pewnym czasie ruszyliśmy w drogę...

Koń drobny, chudy, biały z gryczką, ledwie przebierał nogami, siedzenie ze słomy zsunęło się na pierwszej wiorście.

— Czemuż to waćpan nie włożył grochowin, to na siedzenie najlepsze...

— Zkądby brał? co było—owce pojedli.

— A cóż ten koń taki powolny?

— To nie nasz, pożyczony—nasza zakulała...

— A sami ileż koni macie?

— Jedną szkapinę, żal się Boże — nie ma czem karmić.

— A ileż waćpan masz ziemi?

— Uzbiera się do włóki, ale to na czterech dziedzictwach, niech Bóg broni jak przyjdzie zbiórka, nie wiedzieć zkąd zacząć.

— Co waćpan chcesz, włóka to piękna fortuna, ledwie bogatsi mogą się z tem pokazać...

— E... u nas kilku jest... cóż! kiedy żeby to w jedności, a to tak: na Prądnicy będzie 6 morgi i łąka, pod Wólką z 8 morgi i lasu kawałek, na wyrębie ze 3 morgi, a już reszta przy zagrodzie.

— To rzeczywiście z robotą mitręga, a choć w każdej wiosce osobna fortuna? czy w szachownicy?

— Wiadomo szlacheckie pole, pasami, bez miedzę, w trzech polach, to tak: tu 3 wiorsty jedź, tam cztery, a do wyrębu to i z mila będzie.

— A zmiłujcie się, toż zwózka zmudna—i wszyscy tak mają?

— Różnie, ale prawie wszyscy...

— To czemuż waćpanowie nie zbierzecie się pozamieniać, ogromadzić, żeby miał każdy swoje przy zagrodzie...

— Wiadomo w kupie by lepiej — oho!... żeby to tak zechcieli... pan Grabski Łukasz chciał... mocno nalegał... schodzili się trzy razy... To co, jedne chcą... a Walenty przychodzień garłasty jak wrzaśnie — moje lepsze!... będę tam w nienagnojone łazł!... a mnie co za niewola!... Zakręcił—porozchodzili się i tyla...

— Ależ waćpanowie zrozumcie, że tak nie nagospodaruje—toż to zaguba!...

— Niech tam do jakiego czasu... może też Bóg da co się na świecie odmieni—jest takie co i wcale myślą wszystko kinąć... w zamorski kraj sobie obiecują wyjazdkę... na te tam Brezylję ponoć, czy tam jak... Najbardziej przychodzień, ten sam podjudza—tam, gada, jak se zechcecie tak się będziecie rządzić...

— To i panowie szlachta do Brazylji?... no — no... i cóż, podoba się to wielu?...

— E, jeszcze tam iść nie idą—ale rozmowa wciąż o tem, to niektóre nabierają ochoty...

— Wiedzą też przynajmniej co ich czeka?...

— Tak żeby rejentalnie nie wiedzą, ale gadka idzie — kraj ma być bardzo piękny, słoneczny... — Nocował u pana Franciszka podróżny, to gadał — jak osiem Polsków na wielgość — niemiec odnalazł i chciał ojcu świętemu dać za polaków—ale nasz cysarz się nie zgodził i anglicka królowa też miała w tem swoją część mieć—jak obaczyli co tam i złoto i wódka ze skały cieknie, tak wszystkie chcieli i francuzki i turek — wadzili się bez dwa roki — i już na wielgie wojnę miało iść...

— Tak ten podróżny plótł?...

— Bóg go tam wie, prawda czy też łże—tylo gada niemiec oddał pod rozsądzenie ojcu świętemu i zgoda na losy poszła... niby kto wygra... grają raz, drugi,

na ojca świętego padło—do trzeciego razu biorą—niepewna... co robiący nanowo grają i widno tak Pan Bóg chciał, bo na ojca świętego taki padło...

— Dobrze wykalkulował, to zkąd taki podróżny?...

— Nie wiedzieć zkąd, gadał z pod Łęczny, a Bóg go tam wie.

— A jeszcze co rozpowiadał?...

— A potem mówi — ociec święty chce katolików nazbierać, to naszemu cysarzowi turka oddał—a niemcoju — jakiś kraj z małpami... tylko aby polaków jak najwięcej... dozwolili.

— I że waćpanowie takim bajdom dajecie wiarę... wiecie przecież, że wychodzić nie wolno — paszportów nie dają... bo ludu na zgubę żal... a ci namawiacze to oszuści płatni — potrzeba tam najemnika, ot i szukają tu roboczego ludu, żeby tam potem robić z nimi co chcą...

— Ja to tam sam nie wierzę... Znów drugi jakiś dziad zdaleka nocował w karczmie, ten tak nastrachał, co i paskudnie gadać...

— Cóż znów—owszem, mówcie, to ciekawe.

— Gada, jest kraj taki, co ludzie wszystko czarne i obrośnięte, a ociec święty chce żeby na białych przerobić—to tych co od nas idą, do golenia zajmują i co tydzień oto niby ich gól; zrazu nic! ale jak już w drugim tygodniu—to już tak ręce puchną, że ani sposób. Po siedmiu na wieś ma być takich do golenia... bo prędko ten włos odrasta — i to ma być drogi włos, na sprzedaż idzie.

— No to już znalazł durniów co słuchali!...

— Ho! pana Sylwestra syn to już był się zebrał—jak usłyszał—jak plunie... Co? golarzem być?!... Nie poszedł...

— I dobrze zrobił... Daleko jeszcze... to chyba juz wasza wieś?...

— A juści!

Rozmowa zmilkła, dowlekliśmy się do chałup...

## II.

## W zaścianku.

Przed lichą, w ziemię wrosłą chatą stanęły sanki. Skurczywszy się we dwoje, przestąpiłem próg wysoki— spłoszona kura frunęła koło ucha, uderzywszy w czapkę. W kącie sieni krząkała swinka...

Otwarto izbę... buchnęła z niej wilgoć i zaduch... Po chwili można było rozróżnić oddzielne przedmioty.

Sciany niegdyś bielone—wilgotne kąty—okno z zaklejoną papierem szybą—stół, przy nim ławka, w kącie ode drzwi komin z angielką; przy ścianie wewnętrznej na łóżku leżała kobieta w średnim wieku, blada, nędzna, przy niej dziecię tchnąc szybko...

— Niech będzie pochwalony!—rzekłem.

— Na wieki!

— To i waćpani chora?

— Ja to już zwyczajnie...

— I karmi waćpani dziecię—jest pokarm?

— Z czego ma być? — ot tak ciągnie tam aby... resztę ze smoczka i tak już kaszę, bułkę kruszemy.

— Wszak dziecku blizko dwa lata, zmiłujcie się, to tylko może mu szkodzić, a i panią wycieńcza, ja widzę, bardziej o sobie wartoby pomyśleć.

— O sobie to bajki, już i tak będzie, nie ma na to...

Obejrzałem oboje. Matka osłabiona i małokrwista w skutek karmienia, przy lichem odżywianiu. Rachi-

tyczne dziecię tchnie wskutek zapalenia płuc, powtarzającego się często.

— Źle, panie Goliński!... szkoda że nie wcześniej...

— Co, kiedy niejako było; to felczer tu się brał, to znów odszukiwali taką kobietę znającą, co mnie już to kosztuje, bez mała ze szesnaście rubli wyszło—nic i nic... Człowiek wiadomo ciemny, to tak probuje, a może to nada, a może to... a tu ono widać się zadawniło...

— No... trudno!... weźmy się teraz szczerze, może też Bóg pomoże!...

Podałem rady i przypominam czy koń już gotów...

— Dziadek poszedł... zaraz będzie... pewnie dostanie...

— To jeszcze nie ma?—przecież wiedzieliście państwo, że trzeba odwieźć...

— Bajki... wynajdzie...

Mając czas, rozejrzałem się po izbie. Na kominie warzono kolację. Kartofle dla ludzi, kaszę i duży sagan dla trzody. Drzwi między kominem i łóżkiem wiodły do alkierza. Tu maleńkie okno, naprzeciw drzwi, od drzwi do niego ułożone deski tworzyły zagrodę, napełnioną kartoflami, na nich w nieładzie rozrzucone leżały: przetaki, kopańki, lichtarz, worki z kaszą i parę poduszek... U góry na przęsłach porozwieszano ubiory, pod okienkiem na skrzynce stały nowe trzewiki, na bardzo wysokich obcasach. Między okienkiem i ścianą za piecem ustawiono krosna, a na nich również ubiory męzkie i kobiece w nieładzie; talki wisiały na gwoździu na ścianie, a na to wszystko patrzał z zapiecka bury kot zielonemi oczyma...

Zainteresowanie się moje zwróciło uwagę młodszego rodzeństwa, które uśmiechając się patrzyło ciekawie. Zręczna, młoda blondynka skończywszy mieszać kartofle, podała lampkę do alkierza.

Znając zwyczaje drobnej szlachty i zgubny zwyczaj strojenia się bez miary, postanowiłem wywiedzieć się bliżej, jak kwestja tu się przedstawia.

— Te buciki to pewnie panienki? — spytałem — co to kosztuje?

— A juści, to od święta—osiemnaście i pół złotego, to węgierskie.

— To tu szewc robił?

— Nie, to kramne, od żyda z jarmarku.

— To panienka na wydaniu zapewne?

— A w te już lata weszła—dodała matka.

— I te ubiory oto — to wszystko panienki, co?... Ileż panienka ma sukien?

Dziewczę spłonęło rumieńcem i do komina wróciło...

— No, chodź tu, głupia, nie wstydź się, powiedz—wołała matka.

— A na co panu?

— Tak, przez ciekawość, niech panienka powie...

— Toć jest trzy suknie kramne, jedna z kaśmiru i dwie wełnianki, razem spódnic osiem — to i stare i nowe.

— A chustek na głowę? a palt?

— Chustek je ze cztery chyba—dwa palta i kapelusz...

— Nawet?!... A koszul ile?

— Koszul... dwie... ale się szyją teraz nowe.

— A pończoch?

— E, pan taki ciekawy!...

— No, niech pauienka powie, ja chcę wiedzieć.

— Pończoch jedna para na lato, druga na zimę.

— A tak ręczników naprzykład?...

— Ręcznik to jeden.

— A chusteczek do nosa?...

— E!... ona... tak!...—dodała matka.

— O, to panienka bogata w stroje, ani myślałem—tylko ręczników i pończoch za skąpo.

—Aboo to tak dużo? Są takie co trzy razy tyle mają—nas kila je, to ociec na sprawunek skąpy — co sama zarobię, to mam.

— No, a pieniędzy tak swoich własnych, odłożonych z zarobku, jest co?...

— I... jakich tam pieniędzy — to jak tam latem do żniwa się pójdzie, to tylo z tego—a tak to nie...

Zwróciłem znów oczy na zagrodę z kartoflami i dziwnem nader wydały mi się te poduszki, walające się w nieporządku—więc ponowiłem pytania.

— A te poduszki czemu tu leżą?

— Bo łóżek więcej nie ma — to gdzie ich podziać?

— To też panienki?

— Jedna moja, druga braci.

— Którego?

— O!... wszystkich.

— A iluż ich jest?

— Trzech—wtrącił wyrostek uśmiechający się przez czas naszej rozmowy; my we trzech na jednej i tylo co w zimie—a latem to albo w stodole, albo na noclegu...

— No, ale jakże tak we trzech?...

— Tylo aby z wieczora—potem się stoczy, to i na łokciu dośpi.

— I gdzież to tak śpicie, tu, na kartoflach?

— A juści, tu miękko, twardości nie słychać, w kożuszkach śpią, a jak mu twardo, to i tak jeszcze co z ubrania pod siebie chwytnie...

— No, no—myślałem—prawdziwi potomkowie dawnych wojaków...

Spojrzałem na zegarek, była dziewiąta. Powróciliśmy do izby...

— Cóż, koni jeszcze nie ma? A zmiłujcie się państwo! przecież z lekarstwem trzeba pospieszyć.

— A jakoś nie widno, rusz-no Wicek żywiej!... — krzyknął ojciec, który wszedł w tej chwili.

— U pana Piotra — odrzekł jeden z chłopców — dziadzio byli, nie ma go w domu, na jarmarku — pan Rafał na weselu—pan Filip tyż—pan Jacenty na oględziny do Mroczków powiózł pana Tomasza.

— Oj! to za długo będzie!...

— Zaraz, zarutko!... duchem założą, niech-no tylo przyprowadzi...

I ojciec wyszedł znowu.

Wyrostek, ośmielony poprzednią rozmową, podsunął się bliżej, trzymając coś w garści — zakręcił się raz, drugi i znów podszedł:

— Może w-ny pan pozwoli papierosa?...

— To kawaler palisz?

— A zabawiam się z czasu.

— On pali, mało piersi nie uwędzi — dorzuciła matka.

— Zmiłuj się, kawalerze, to bez potrzeby!

— Toj... tak się wciągnęło...

— Ależ to koszt. Cóż tak naprzykład na tydzień wychodzi?

— I... nie wiela... za 15 groszy na trzy dni wystarczy.

— To tak się zlaje — złotówka na tydzień, a na rok? oblicz-no! Piśmienny jesteś?

— A jakże, uczył się, bez dwie zimy do szkoły chodził—tylo co bez akuratności—bo ojciec do roboty zajmał; to nauczyciel gniewał się, gniewał, nie dał świadectwa i nie wiedzieć co on tam umie — dodała z westchnieniem matka...

— No, rachujmy—więc ile?

Rachował z pamięci raz, drugi—nie poszło. Wyjąłem kartkę, ołówek. Próbował—też zmyłki.

— A mój kochany, bardzo prosto, 52 tygodnie — pięćdziesiąt dwa złote. Na ruble ile będzie?

Stał zakłopotany.

— Siedm rubli ośmdziesiąt kopiejek.

— Kiedy na tydzień jest siedem dni!...

— A prawda! to widzisz, wypadnie jeszcze więcej. Ale za te pieniądze kupiłbyś sobie piękny surdut i kaszkiet, a żebyś składał, tobyś za dziesięć lat miał 75 rs.—500 złotych i kupił sobie konia, a za procent siodło.

Wbiegł chłopiec młodszy.

— Już dziadzio dostali kobyłę!... od pana Gracjana—zara będzie, już poi.

Miałem więc jeszcze dość czasu rozejrzeć się po izbie. Na ścianie rzędem wisiały obrazy świętych — rzęd ten zaczynał się od okna, dochodził do kąta i szedł po ścianie szczytowej po nad łóżko chorej. Nie mając nic lepszego do roboty, rzuciłem na nie okiem.

— To piękne obrazy! — zacząłem. Poświeć-no panienka, po kolei obejrzymy. A jakże panienki imię?

— Amelja!

— To niech panna Amelja poświeci!....

Po za pierwszym obrazem zauważyłem wetknięty zwitek papierów—były to stare wezwania do sądów. Gdym je rozglądał, matka dodała:

— To powiestki... zostały od tego czasu jak się prawowali, a teraz z nich papierosy kręcą.

— Smutne wspomnienia zapewne?

— Niech ręka Boska broni, co ja wtedy napłakała— bez to ja zdrowie postradała, a fortunęśmy odłużyli, do śmierci nie wypłacim.

— Z Boską pomocą, powoli, przy pracy—pospychacie... Nigdy nie trzeba tracić nadziei, to najgorzej...

Łzy biedaczce stanęły w oczach. Wzruszyło mnie to do głębi duszy—przyjrzałem się profilowi tej kobiety... Twarz jej nosiła ślady piękności, rysy delikatne, ożywione świeżem wzruszeniem. Na drobnej ręce oparła głowę i myśl pobiegła het!... w przeszłość!...

— Pani rodzice daleko ztąd?...

— Matka nie żyje, a ojciec przy nas... Rodzice dobrze się mieli... ale to wszystko poszło...

— Co tam wspominać! i gryźć się... poszło... przyjdzie... tak zawsze na świecie...

— Przepraszam pannę Amelję, że tak długo święci—więc czytajmy podpisy:

«Najświętsza Marja Panna Ostrobramska»... *Druck et Verlag von Treutler Conrad et Taube in Neurode, Schlesien*...

«Święty Walenty». *Druck Verlag Eigenthum v. Ed. Gust may in Frankfurt M.* *«Sacré coeur de Marie»*. *«The sacred heart of Mary»*. *«Vera imagina di Maria di Valeverde»*—a to:

«Błogosławieństwo duchowne domu», w drukarni Czerwińskiego i Niemiry...

— A gdzie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej?...

— To przed domem nad drzwiami i znów drugi w komórce u dziadka nad łóżkiem.

— I gdzież to te obrazy kupowane?

— Tak różnie... U węgrów, to w tassach na odpuście—potem poprawiali...

— A wiecie gdzie te obrazy malowane?

— Juści chyba w Warsiawie...

— Wcale nie—malowane w Szlązku, niemcy namalowali, a tu sprzedają—trzeba patrzeć na podpis, czy warszawski—lepiej dać swoim zarobić.

— My bardziej z piękności zważamy...

— A panna Amelja wie jakie to święte?

— Wie, bo to z jej pracy...

— Taak! to pięknie — a mówiła, że nie ma nic oszczędzonego!

— Ona ma takie serce, co zarobi—albo komu co kupi, albo biednemu odda—wreszcie na przyodziewek.

— To też moi kochani, że wszystko tak idzie na te gałganki. Czy to warto?... Raz byście się waćpanie zastanowiły i w swojskie wyroby córeczki poubierały. Widziałem wyroby z Olszewa, sukno—niech się schowa fabryczne.

— O, sukno to my robiemy—ja chodzę do Żebrowskich—tylko co wełny mało, to tak, co się zbierze, ale wyrobim pięknie—odparła panna Amelja. O! to, co u brata na marynarce, to ja robiła...

— To pięknie bardzo. E! to panna Amelja dzielna dzieweczka—będzie mąż kontent.

— Cóż, kiedy niezdrowa—dodała matka. Niech pan doktór jej poradzi, jakiś ból w nogach ma od jesieni.

— Cóż takiego? proszę pokazać nogę...

Panna Amelja spłonęła i spojrzawszy na matkę, uniosła spódniczkę i ukazała niedość czyste kolano.

— Waćpanna często się myje?

— Ona to z wody dostała, na rzece prali i zaziębła...

— Ale tak zwyczajnie, co dzień się myje?

— Co dzień, wiadomo...

— A ciekaw też jestem w jaki sposób?

— Weźmie wody w usta, puści na ręce i po twarzy raz... drugi... po oczach i dość...—wtrącił ośmielony wyrostek.

— Czyżby tak trudno było nalać na miskę wody, obmyć mydłem: twarz, głowę, szyję, ręce, nogi...

— Co tydzień w misce twarz myję—odparła zawstydzona panienka...

— A całej skóry nigdy?

— Na co to panu?...

— Bo od tego ból nóg zależy i te krostki co tu są...

— Toż latem się kąpała.

— A od lata już ani?... Tu nie potrzeba lekarstwa, tylko urządźcie ze sześć kąpieli w beczce z szarem mydłem, mocno rozcierać i będzie dobrze.

Drzwi się rozwarły, wszedł siwowłosy dziadek ze słowami:

— Już gotowe! Proszę siadać!

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków!

— No! Bądźcie waćpaństwo zdrowi...

## III.

## W plebanji.

Ciemność zalegla horyzont. Snieg sypał obficie. Na sankach siedział jeden z wyrostków.

— A to waćpan synka posadził?...

— Młodszy niech probuje.

— Czy tylko zna drogę?... Zawieja!...

— Bajki... zna... tutejszy...

Wjechaliśmy w opłotki, przebyli jedną, drugą zaspę... i skręcili na ogrody...

— Tędy mijają?—spytałem.

— A juści, tu idzie po za opłociu, potem znów na drogę, potem po za panem Bronisławem na zastodole i do krzyża...

— A sołtys nie nakazywał, żeby drogę środkiem przegarnęli?

— Kiele sołtysa największa zaspa, a nie odgarnia.

Wybrnęliśmy za krzyż, na pole. Na wszystkie strony biało... Wiatr kręci śniegiem i zasypuje oczy.

— Dobrze jedziemy aby?...

— Zdaje się nieźle—ale ja tędy teraz nie jechał. latem to wiem.

— To po cóżeś siadał, chłopusiu?...

— Tatuś kazali.

— A ile tu wiorst będzie do pierwszej wioski?

— Do Tchórznicy będzie... ze cztery—pięć...

— Trafimy przynajmniej?

— Oj! chyba my w olszyny wjechali! A! niechże cię!...

— Masz tobie! No to lepiej zawracaj!

Krążąc po polu w lewo i prawo, wjechaliśmy do wsi napowrót...

— To Golin napewno... Co?

— A juści! ale to od pana Wawrzyńca Suchego. to będzie z drugiego końca—a to psia wiara kobyła! nie pilnuje drogi...

— Do proboszcza trafisz?...

— Tędy na prawo—wiem...

— To jedź!

W plebanji było jeszcze światło; podszedłszy do okna, ujrzałem proboszcza odmawiającego przy klęczniku wieczorne pacierze... Lekki stuk w szybę zwrócił jego uwagę, odwrócił głowę raz, drugi... wziął świecę do ręki i w stronę drzwi podążył.

— A, to pan doktor?! prosimy... Zkąd Bóg prowadzi?... Prosimy bardzo.., Hej tam!... stawić samowar... prędzej!... pościel!... Pan przenocuje... nie puszczę...

— Niech sobie ksiądz proboszcz subjekcji nie robi, proszę o szklankę mleka, kawałek chleba i pościel. Znużony jestem, ksiądz proboszcz również. Przepraszam, ale zawieja—zabłądziliśmy...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Zrana siedliśmy do herbaty, przyszedł ks. wikarjusz, opowiedziałem przygody... Po zwykłej rozmowie, rzekłem:

— Jakaż ta szlachta nierozgarnięta, niech Bóg zachowa i broni, wszystko leniwo, bez rozmysłu i zda się dobrzy ludzie, a takie niedorajdy...

— Ciemnota i bieda... Albo to co widzi?... po za wygon... jarmark... odpust... nigdzie to nie było... Niezaradni... choć serce najlepsze...

— A do Brazylji wybierają się...

— Ha! na to jest odwaga...

— Cóż ksiądz proboszcz, powstrzymuje... tłómaczy...

— Mówiłem na kazaniu i ksiądz wikary oto wpływa... Nie widzę skutku. Jak to pan doktor wie, zwykle lud, gdy słowo nań wrażenie robi, objawia to pewnem wzruszeniem, niepokojem, wzdychaniem; mowa moja i księdza wikarego przeszła bez śladu.

— A pamięta ksiądz proboszcz—wtrącił wikary — jak usłyszeli o wężach pożerających?...

— Rzeczywiście... — odparł proboszcz — w jednem miejscu jakoś, jakem powiedział, że są takie węże! odrazu rzuci się i udusi... baby poprzelękały się i krzyknęły: a-a-a! jak to zwykle, lecz one często bezwiednie, aby głos podnieść, toż samo.

— A tak w rozmowach prywatnych?

— Nawet nie zaczynamy. Z początku tam kilka razy próbowaliśmy — na nic! więc lepiej dać pokój. Niech to się samo przefermentuje. Wreszcie, głosząc słowo Boże, przywykliśmy do tego, by nas słuchano i wierzono, jeżeli widoczne, że wiary nie ma, to po co czas tracić?!...

— Prawda, ale zawsze...

— Zbałamuceni są i uprzedzeni, z takim ludem nic nie poradzi... Oni mają swój świat, swoje zapatrywania odrębne i dla nich w zupełności wystarczające w kwestjach tych, których już doświadczyli, przyjrzeli się... przecierpieli... gdy się zjawia coś nowego — głupieją...

— Ach! to rzeczywiście ten biedny lud sam nie wie czego się trzymać—ta tajemniczość... namowy agentów w sekrecie... rozmarza głowy... Przytem kogo się spyta, każdy inaczej mu radzi... a wszystkim nie wierzy, na każdego z podełba patrzy...

— A najlepszy doradca i przyjaciel—żyd.. —wtrącił wikary... Wie ksiądz proboszcz, ten Herszko Rudy zaskarżył mnie...

— No proszę! o cóż tak?...

— Rzecz tak się miała: on trzyma piwo, śledzie, ser, cukier, drobiazgi i bułki... Otóż wymyślił grę w bułki... i jak to zręcznie obmyślane!... W jednej bułce robi palcem dziurkę, lub każe chłopcu to uczynić, oprócz tego czternaście całych bułek wraz z tą przedziurawioną wkłada do kosza, przykrywa i miesza. Jak się zejdą chłopcy ze wsi, zachęca do gry... No, proszę odgadnąć na czem się gra zasadza?...

— No mów, mój kochany!—rzekł proboszcz.

— Chłopcy wkładają ręce do kosza i biorą każdy po bułce, ten co wziął bułkę z dziurą, za wszystkie inne płaci!...

— Patrzcie państwo!... Co to jest spryt!... na każdym kroku, bo to nie dość bułka, ale oni te bułki zaraz jedzą, wiec z piwem zakąska...

— Naturalnie—i cóż, ta gra upowszechniła się?...

— Całemi dniami siedzieli, jak który szczęśliwy, po dwadzieścia bułek wygrywał, a że zjeść nie mógł, więc zmiana na pół ceny na wódkę, papierosy.

— Lecz zkąd pieniądze tacy smarkacze mają?...

— Otóż to, że nie mają... a niosą kradzione z domu garść zboża, jajko... co się trafi... więc niemoralność się szerzy, a widząc to surowo tej gry zakazałem.

— Cóż tedy żyd?—spytałem.

— A właśnie zły; ogromny był ruch w sklepiku, a teraz się urwało, więc co on robi, skarży mnie: że do spowiedzi z innych parafij przyjmuję, że śluby obcym ludziom daję i t p.

— A-a! patrzcie państwo, co za szelma!...

— No i walcz tu z nimi!...

— Rzeczywiście...

Zajechały przed dom wczorajsze sanki, tylko tą razą powoził siwy staruszek. Twarz poorana w blizny, wygolona, siwy wąs, czapka rogata, znamionowały człowieka dawnej daty.

Proboszcz z wikarym uprzejmie towarzyszyli mi do ganku.

— A to dziś dziadek się wybrał? — zauważył proboszcz.

— Padam do nóg jegomości dobrodzieja! I starzec z szacunkiem ucałował rękę proboszcza i wikarego.

— Pogoda ładna, tylko konik nietęgi, że też to oni powinni rozumieć...

— Cóż, jak nie mają? — odrzekłem. Więc żegnam księży dobrodziejów i w drogę.

## IV.

## W i a r u s.

Jechaliśmy raźno, chociaż na nowym torze koń i sanki tonęły w śniegu.

— Nie ma to jak zabuzkie gościńce, w dwa rzędy wierzba, aż miło!—rzekł szlachcic.

— Mogłoby i tu tak być, lecz trudno małe wioseczki w ten sposób łączyć. Choćby od miasta do miasta wysadzić...

— Na tamtej stronie, panie dobrodzieju, przyjemnie spojrzeć, od Drohiczyna na Dziadkowice, Boćki do Bielska, jak strzała, to rozumiem!...

— I u nas są topolowe gościńce do większych dawnych dworów, chociaż już drzewa poschły i wycinają... a na takich dróżkach choćby gałęzi w śnieg nawsadzali i toby nadało.

— Nie te czasy, panie dobrodzieju!... Jak to bywało, pan pułkownik był asesorem, jak krzyknie na starostę: Ty urwipołciu! ja ci uszy obetnę!... w dyby zaknuję! znał mores... Na przejazd Wielkiego Księcia w trzy dni wyżwirowali błoto, powozy szły jak po szosie, terazby dwa miesiące czekał... sołtys musi prosić... wójt jedzie, też prosi... to nie w nasze czasy!

— To waćpan z za Buga?

— Tak jest, Jakób Strzępa!... Z panem pułkownikiem w pięćdziesiątym piątym w Sewastopolu byłem... pomer nieborak... Miałem fortunkę niezłą, nastały za-

wieruchy, syn przepadł, wszystko poszło... żonisko się zapłakała... zgasła, cóż, zwlokłem się na starość do zięcia...

— A jakże tutaj, dobrze?

— Gdzie tam! Ziemi kawał jest, a głowy nie ma, moja rzecz fajkę palić, tabakę niuchać — a tam jak chcą...

— Przecież doświadczona głowa ojca powinna być w poszanowaniu, respekcie.

— Nie te czasy! panie dobrodzieju!...—i westchnął.

— Waćpan legitymowany?

— A jakże, z dziada pradziada. Przy jaśnię panach służyli, dziadek mój opowiadał, dobre były czasy...

— To też to dawniej szlachcie dobrze przy wielkich panach było—wszystko miał, a gospodarkę zaniedbywał. Wszystkiego ze dworu dostał, naznosił, o zagon nie dbał, a dziś trzeba się temu zagonowi przyjrzeć...

— Nie rozumieją oni tego, panie dobrodzieju, nie ma rygoru za grosz...

Po obu stronach drogi ciągnęły się wycinki. Pnie drzew jak szyje głów uciętych, sążnie—jak zęby trupiej głowy patrzyły na nas złowrogo, z wyrazem żalu... wyrzutu... bolesny widok...

— To czyj był las? spytałem.

— Nowowiejskiego pana, ze serwitutu zwolnił — sześć włók im oddał, a dziesięć kupcowi zaraz sprzedał, wyczyszczą żywo...

— Wiem... wiem... czyżby aż dotąd zdążyli wyrąbać.

— Tartak parowy tam stoi... djabla maszyna!..

— Mój Boże! nowa szczerba...

— Za moich czasów, panie dobrodzieju, to były bory od Białowiezkiej puszczy, het precz pod Grodno, Białystok! Albo w Lubelskiem, u jaśnie państwa Zamoyskich. Z panem pułkownikiem jeździłem... Pańskiego rodzica znałem—też do polowań zuch był najpierw-

szy, a ja w młodości, jako głos miałem, to im bywało zaczynał:

Oto ponowa... dla nas myśliwych!
Jeden dzień prawie dla nas szczęśliwy,
Niech sforują gończe nasze...
Pojedziemy na objasze! na objasze!
Na objasze, na objasze!..

A pan pułkownik drugą...

Tyś zabił kozła, a ja rogacza,
Tamten znów kota do troku wtłacza,
Tamten znów postrzelił capa,
Lutnia już go pewnie złapa, pewnie złapa,
Pewnie złapa, pewnie złapa!..

— Brawo! panie Jakóbie, brawo! jeszcze głos świeży! bodaj to stara gwardja!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— A zwierza było dość?—zacząłem.

— Gdzie to się tylko podziało? Bywało kozły jak owce chodzą w patrykozkim zwierzyńcu, u pana jenerała Szydłowskiego, z ręki karmią.

— No i drapieżnych niemało widzieliście?

— A jakże, wilki! Aż krew do lufy wrzała; jednej tu zimy pod Lublinem człowieka w lesie z koniem bestje zżarły—było co bić! A teraz chodzisz dzień cały i ze trzy koty zoczysz.

— Bo lasów nie ma prawie, a strzelców co niemiara! Każdy las większy otoczony siecią, aby zwierzyna na brzeg wyjrzała, zaraz ją w łeb!.. i do Warszawy, żydki kupią.

— Kradną, gałgany—racja, ale pudłują, nie po naszemu. Jest u nas jeden, w wojsku był, widziałem, cóż? Cztery lata przebył—ledwie nauczył się fuzji nabijać, a w nasze czasy dwadzieścia pięć lat wiernie Mikołajowi służył—to też byli żołnierze!

— Waćpan musisz mieć dużo wspomnień?..

— Ho! jest niemało!..

— A pamięć służy?..

— Jak wczoraj wszystko widzę... a tyle lat przeszło—mój Boże!..

— Prrru! stój!..

— Co tam?

— A gałgany! to tak przywiązał hołobel na sznurku — żal się Boże! tfu! do kata! taka młodzież tylko papierosy ćmi... a żeby to akuratnie?!.. Mam tu rzemyczek, zawsze biorę w drogę, ot i przydał się...

Przywiązana hołobel budziła obawę nowej reperacji—tymczasem bicz był w robocie.

— No! a ta panna, to wnuczka waćpana?

— Amelka! wnuczka! dobra dziewczyna!..

— Narzeczonego ma?

— Niby to tam niejakiś Złotkowski się skrada, ale to ni z pierza, ni z mięsa.

— Ale podobał się? młody?..

— Młody, lat pewnie trzydzieści—i ona nie od tego, tylko że on sam z siebie jeszcze nic... na ojca patrzy, a ojciec ścisły... grosza nie popuści...

— No to z czasem może fortunę odziedziczy?

— Niby się na to kroi... wreszcie mnie nic do tego.

— Ale tak pracowity?..

— To... może nie tyle... ale uczciwy... dobry chłopak i widać z serca lgnie do niej; gospodarkę ojciec dzierży, a pole on już sam sprawia...

— To waćpan popieraj! Niech się świat rozmnaża...

— O! on mnie się zaleca. Tu kiedyś francuzkiej tabaki przyniósł, ale do panny nieśmiały. W nasze bywało czasy od ręki — wąs pokręcisz... bliżej... bliżej... komplement... całusa... dziewka aż drży... a teraz jeździ we trzech—ogląda, radzi się...

— Nic dziwnego, nie żołnierz!..

— E, czas traci!.. ja mu tu kiedyś rąbnąłem bez ogródki: nie marudź! jak co! do ojca, do matki w nogi!.. A on nic — od zapust do wiosny, od wiosny... do jesieni... już ze dwa lata... szkoda dziewuchy...

— To mazgaj!...

— Mazgaj! mości dobrodzieju!..

— Prrru! stój!..

— Co tam?

— Chomont się rozprzągł. A niech cię!..

— Wyjść?

— Niekoniecznie, to rzemień słabo przyciągnął, zaraz poprawiemy...

— Bodaj taką jazdę!..

— Nie gniewaj się waćpan, dojedziemy!..

— E!.. ja to tego nie lubię. Bywało pan pułkownik z Sledzianowa po doktora czwórkę!.. Państwa obradzi, wieś objedzie... co komu i znów czwórka duchem do miasta!..

— To trudno!.. panie—teraz inne czasy!..

— Ale waćpanowi nie zimno?

— Nigdy! Kożucha nie znam, całe życie szynel — no, a dziś burka, a te piecuchy! co to warte?!..

— Brawo! brawo! panie Jakóbie!..

— Ot! miasteczko!..

— Bogu chwała!..

— No, dziękuję, panie Jakóbie!..

— Padam do nóg pana dobrodzieja!..

# DO DWORU.

---

## I.

### Stangret.

Przed gankiem stały piękne sanki, zaprzężone parą rasowych rumaków. Bogata uprząż, stangret w liberji z żółtym lampasem u czapki, przypominały minione czasy.

— Cóż tam, Janie?

— Panienka zasłabła. Pan dziedzic prosi wielmożnego pana.

— Pojedziemy za chwilę, tymczasem wypijecie kieliszek wódki.

— Dziękuję w-mu panu, konie stać nie chcą; już ja ich tu objeżdżam, ale to matka od źrebaka nudzieje bardzo.

— Po co taką zaprzęgacie?

— Pan dziedzic kazał, nie nasza głowa...

— Za chwilę...

*
* *

— Hola! hola! Niech wielmożny pan siada i aby parasola nie roztwierać!... bo kostek nie zostawi.

— To z młodych?...

— Sześciolatka, ognista—tak wciąż tańcuje... okrutnie bojąca.

— A okulary?

— Nic nie nada, czuje, tak trzeba z nią jak z dzieckiem.

— A ten prawy?

— To warsiaski—stary ale zuch—jeszcze w ruchu.

— A młodego macie?

— Kupił pan w Łowiczu, 800 rs. dał.

— To musi być cacko?

— Niczego... ale osiukał się, skałkę na oku ma, tylko co znać! jak wprost nie widać, a z boku dojrzy.

— Nie dopatrzyli?

— Ot, pan jak pan—spodobał mu się, nie zważał i wziął.

— A Jan tam był?

— Nie chwaląc się, ale... toż to to, że ja musiał przy klaczach zostać. Tera to pan żałuje... wolałby Walka przy cugowej stajni zostawić.

— The! to znów tak bardzo nie szkodzi.

— Zawsze nie pięknie—z felerem. Najbardziej pan zły co sam kupował.

— A żeby tak Jan?

— To miałby na kim złość spędzić.

— A na ten św. Wojciech dużo wyprowadzicie?

— Czternaście będzie — piękne koniaki — czwórka kasztanów, jak jeden; to znów para karych jeszcze i gniadych kilka.

— A do wierzchu nie ma?

— Jest jeden siwy, niesie jak ptak, z anglikiem mieszany.

— Niezgrabny?

— Piękny, nogi cienkie, łeb mały, składny.

— To Janowi się oberwie?

— I, nie wiele—ja to koło tego chodzę, a jak tam padnie po jakie dwa, trzy rubliny od sztuki—na taką pracę, to co znaczy? A mało mnie oni natłuką?

— Wasz pan lubi konie?

— To teżby łatwiej było, ale sam każdziuteńką podkowę obejrzy i do obroków zajrzy. Co dzień dwa, trzy razy jest, a niech co nie tak—jak weźmie kląć: a ty taki! a siaki! aż człowiekowi markotno.

— To nie zasługujcie.

— Z przyzwyczajenia, wielmożny panie, to jemu widać na zdrowie pójdzie; w oborze klnie, u owiec klnie—wykrzyczy się, wykrzyczy i do dworu zawróci.

— I to tak często?

— Akuratnie co dzień!...

— Toście powinni przywyknąć—a drugi raz i jest za co.

— O, znajdzie się przy tylu koniach.

— Ale za to dobry pan.

— Pan dobry, złoto! Oho! takich panów jak nasz daleko...

— To cóż że poklnie, ale służycie przynajmniej w kapitalnym dworze.

— Ziemia odpowiedzialna i pan dobry gospodarz, na wszystkiem się zna, parobków sam przyuczał orać, i to, że rządca też znający, to zaraz ten sam parobek, dziewka miarkuje, inaczej się rusza. Jak w lecie dzwonek o 4-ej usłyszą, to na co rano... w te pędy lecą, każdy się boi.

— Cóż, wytrącają z pensji?

— Chowaj Boże—nie wiedzieć co się znaczy—boją się miejsca postradać—jak który nie słucha od kwartału precz! tak ma w ugodzie.

— Widać im dobrze.

— Dobrze—szkoda mówić—izby dwie—pal co wlezie—ziarno najpierwsze, ziemia czy na kartofle czy na len, to taka jak na najlepszą pszenicę. A wreszcie robota ciągle jest, żeby na dwóch, trzech, czterech — starczy.

— A zasługi?

— Jak przyjdzie czas—sami wołają.

— To rozumiem.

— I jeszcze bez co najbardziej: jak który akuratny—albo dziewucha do roboty zdatna—nic nie wie, a tu przy pensji nagroda wyjdzie, ile tam, rubla, dwa—albo jak który zachoruje — jak z tych co dobrze robi, dwór zapłaci—jak z leniwych—płać sam!

— A za dni przechorowane nie strącą?

— Nie... chowaj Boże!

— To wasz pan zuch!

— Dobry pan i ludziom dobrze—nie to co w Czajkowie za Bugiem; tam jest mój swojak przy cugowych, gada: koniska tylko marchwią pasą, takie biedne... drągami podnoszą... bydło poparszało — wszystko się wali—za dwa lata ordynarja zalega, pensji ani słuchu.

— Czy być może? Czemże ci ludziska żyją?

— Abo ja wiem—cóż taki człowiek będzie się trzymał? on tyż myśli o sobie—ma tam matkę czy żonę, a tu do garnka nie ma co włożyć!...

— A może sami korzystali z tego, że pan miękki, do tego doprowadzili?

— Gdzie ta!... już tamtych nie ma, gadają on się sam doprowadził, a ludzie co? wiadomo — próżnować woli — tak się mieniają, co rok to nowotne... Hola! hola!...

— Do domu tak sadzą?

— Wystała się, to tak do źrebaka.

— A dużo będziecie mieli źrebiąt?

— Latoś z osiemnaścioro będzie.

— To pan kontent.

— Tylko że nie złostuje!—rzekł przyciszonym głosem. U niego już tak musi być—a niech które zachoruje—bieda. Zwymyśla na czem świat stoi.

— I po weterynarza?

— Z czasu poszle, ale co to nada?

— Nie nada.

— Jak kiedy. Była taka bułanka jak lalka; tylko chłopak co jest przy stajni wypuścił ich, jak wzięły biegać, igrać, jak ją drugi młodziak zadem palnie w nogę, po nad pęcinę trafił. Pan po weterynarza — przyjechał—ogląda, to nie to—napisał maść—kładę ja i kładę, nic i nic, noga puchnie. Jedź drugi raz! Jadę pięć mil, droga jak krew, obejrzał, dał do środka—picie i znów maść; w aptece sześć rubli wypadło—kobyle gorzej i gorzej, noga spuchła do kolana.

— Stała na miejscu, czy zaprzęgali?

— Chowaj Boże, stała caleńki czas. Tylko pan pojechał do Warsiawy, gada do mnie: bez tydzień wrócę, pamiętaj o kobyle, żeby weteryniarz dwa razy był. Ja widzę źle i źle, myślę sobie: a żeby tak spróbować—we wsi u nas jest owczarz, staruszek siwiuchny, z czasu naradza—ja do niego; szczupał, szczupał—kobyła aż rży!... wiadomo boli... Tylko on gada: weźcie sinego kamienia dwa niuchy tłuczonego i z jajka białko—zmieszać, zatrzeć to, dodać oliwy kieliszek, na smatkę obłożyć. Ja dostał jajko, zrobiłem — patrzę na rano, a u mojej kobyły nogi pół nie ma, ja do gospodyni, poprosiłem dziesięć jajek, narobiłem tej maści, dalej okładać—kobyle lepiej i lepiej, obsycha, sama do wody leci—ja się raduję; tylko czas po weteryniarza—a ja nie myślę—poczekam co z tego będzie...

—Toście się pana nie posłuchali?

— Już sobie tak myślałem, będzie źle!... Ale pan przyjeżdża—posłali do kolei fornala—ja u wrót stoję—patrzę jedzie, pierwsze słowo — kobyła?... Niech wielmożny pan obaczy!... Jedź pod stajnię!... Już nie kazał pod ganek, tylko pod stajnię!... Zeskoczył — patrzy... widzę, rad na obliczu: dobrze... dobrze... pomrukuje... masz rubla—wyjął, dał. Weteryniarz był? Nie jeździłem — i dalej w opowieść... Słuchał, słuchał—jak nie huknie: hyclu jeden! tak mnie słuchasz! Dziękuj Bogu że ci się upiekło. I poszedł do dworu.

— To kontent był?

— Wiadomo. To co ten weteryniarz mnie naprosił, co? i co? powiedz i powiedz!... jakieś robił, dam ci rubla! dwa! Niech pan da trzy—powiem. Zgodziliśmy się na 15 złotych; opowiedziałem wszystko, to tak dogadywał: a niech cię! a niech cię!...

— No, ale to nie zawsze tak się uda.

— O, nie. Szkoda mówić, weteryniarz znający, ile on koni u nas uleczył, tylko drogo te leki, na nasze konie, co pan na św. Wojciech po czterysta, sześćset za jednego bierze—to warto. O, żeby tak chłop, niech się nie myśli brać... Hola! hola!

Stanęliśmy przed dworem.

## II.

## Obywatel.

Lokaj drzwi roztworzył. Po chwili, na spotkanie, wyszedł mężczyzna w średnim wieku; mina tęga, pewny siebie, wzrost średni, dobra tusza, twarz ogorzała, ozdobiona szpakowatym wąsem. Wogóle przyjemny wyraz twarzy i otwartość znamionowały człowieka przekonanego o swej wartości.

— Witam szanownego doktora!

— Witam, witam! Co to u państwa?

Opowieść, porada, recepty, instrukcja i t. d. Po chwili wszedł lokaj ze słowami:

— Proszę państwa do obiadu!

— Cóż tam dobrego na świecie słychać? Pan doktor między ludźmi ciągle?

— U mnie jedno: boli, kole, piecze, pali, ściska, rżnie, prze i t. d. A z wieści to najprzykrzejsze, że podobno kilka wiosek nadbużnych zamierza kraj opuścić.

— Warjaty!...

— Oni inaczej myślą, o ile widzę, są pobudki urojone, są i rzeczywiste.

— Próżniaki i zbałamuceni, siedzieliby w domu, a dobrze wzięli się do pracy, mieliby chleba dość. E! co to gadać!

— Może, ale nie wszyscy; łatwo to mówić... trzeba zejść niżej, są tacy którym w oczy zajrzała bieda... Wreszcie, tak czy inaczej, szkoda ludzi i rada, jak widać, trudna.

— Ludzi szkoda... to prawda, do pracy jedyny lud, można wykuć wszystko co chcesz, ale trzeba umieć kuć...

— Pan to umie!...

— Ja... proszę pana, przed 15-stu laty zastałem tu pustkę, ruinę, kupiłem zasiew i z Bożą pomocą, przy twardej, ciężkiej pracy, doprowadziłem do porządku.

— No i przy ich pracy...

— Zapewne, z początku bawiłem się w romanse, idealizowałem, kmiotek! nieszczęśliwy!... to chory, to słaby. Widzę: źle, źle... stoimy w miejscu. Zamknąłem oczy; albo pracuj! albo choruj! Widzę: co chory— to leniuch, co słaby—to próżniak, co zasłużony — to filut. Tamten znów mazgaj, ten ma długie ręce. Źle!... Dalej ja czyścić, dobierać, sortować, uczyć... Rok, dwa, poznali, nie przelewki; z domum się nie ruszył, zapomniałem jak tam Warszawa wygląda; widzę, lepiej... lepiej... dobrze... No i Bogu chwała!

— Aż miło słuchać! Ależ, panie, człowiek nie maszyna, niepodobna!...

— Mus!... E-e! wszystko podobna, tylko chcieć i postanowić sobie tak! ani na krok z drogi.

— Więc pan tych słabszych pousuwał?

— Kilku, a inni widzą, oho!... nie po dawnemu! zaczęli się ruszać; z tych samych co wyszli—dwóch jest z powrotem.

— To powinszować, rezultat świetny.

— Ale pilnować trzeba wciąż!... samemu być na przodzie! bo jak poczują, że można, gotowi znów po dawnemu. Jak nie ma mnie przez tydzień, już jest różnica, żeby nie to, i ja i oni nie mieliby z czego żyć!...

— Bardzo pięknie, to tak u pana w urządzonym dworze, ale...

— A, w tych tam wsiach, to cóż, to drobna szlachta, to znów mieszane działki z chłopami. Znam. Zarobków brak, wywózkę drzewa skończyli, zimowe próżniactwo,

gospodarstwo żadne, to co im lepszego do łba przyjdzie?

— Tak pan sądzi?

— Tak twierdzę, bo znam te stosunki z gruntu: materjał dobry, jeszcze niezbyt zepsuty, religijni, stosunkowo moralni, lecz nie ma tu... Ukazał palcem czoło. Nieużytków całe przestrzenie, wycinki leśne, na cóż to leży? Pastwiska? liche pastwiska... Wszystko to czeka głowy, rąk, lecz cóż? Znajomości rzeczy żadnej, przykładu znikąd. Partaczy tak ot!... co już musi, aby nie umarł z głodu.

— A przytem zniechęcony...

— Traci głowę, cena mała, z płatka się nie wije; podsunęli tę myśl jeden, drugi i lezie w przepaść.

— No dobrze, przypuszczam, że tak, ale szkoda ludu, trzeba działać póki czas, bo czeka znaczna strata.

— Do mnie już nie wiem dlaczego, ale przychodzą po radę, już tu kilku było. Powtarzam: durnie! siedźcie póki można!...

— Cóż na to?

— Niedowierzanie w oczach widzę, bardziej chcę wymiarkować. Godziłem kilku, prosili żeby na grunt pojechać—jeździłem. Tę szachownicę radziłem na kolonje pociąć.

— Cóż, posłuchali?

— Gdzie tam, kiwają głowami — wydaje się to za trudne, niepodobne.

— Naturalnie!...

— Byli tu u mnie naprzykład dwaj kandydaci z Mrówna. Kołek Piotr ma żonę i dziecko, sześć morgów gruntu. Ma spłatę dwóch braci. Ten z wojska żąda natychmiastowej spłaty—drugi małoletni. Przychodzi zrozpaczony, trzyma list w ręku od brata i mówi:

— Niech se biorą wszystko! nie chcę! pójdę i dość!...

— Czekaj! czekaj! zwolna! Ile ci trzeba?

— Młodszy w domu, nie spieszno—za dwa morgi, po 100 rs. warte.

— Niechby po 75.

— To spłata 150 rs. Tak?...

— Pożycz w kasie gminnej... Za pierwszy rok procent 12 rs., za rok zapłacisz kapitału 50 rs. i od reszty 8 rs. procentu, za rok znów 50 rs. kapitału i 4 rs. procentu; razem za trzy lata 24 rs. procentu i gospodarka twoja.

— Nie zmogę, w-ny panie, jaby to gospodarkę rad zatrzymać, ale...

— No to rozłożą na 6 lat, po 25 rs. wypadnie; a młodszego oddaj do szewca, stolarza, do czego ma chęć. Nie będzie pilił ze spłatą. A jak koniecznie, to znów toż samo. Czy nie lepiej jak się gubić?

— Ono to tak, ale chyba wielmożny pan w tem będzie?

— Zgoda! Posłuchał i zdaje się zostanie.

— To świetnie mu pan poradził, a drugi?

— Ten ma 10 morgów i też dwie siostry; taż sama historja; radziłem jednej dać spłatę przez kasę, a drugiej płacić dzierżawę roczną, gdyż szwagier gospodaruje na swoim gruncie.

— To dobrze, ale jakby tak wszyscy, to kasa nie wystarczy.

— To też przyjaciele ludu powinni do kas gminnych pieniądze kłaść. Co pan sądzi, procent sześć!...

— Dobra myśl! Z rolnymi to zawsze łatwiej, ale co zrobić z bezrolnymi?

— Z tymi bieda rzeczywiście; zdaje się, jedyne lekarstwo to bank włościański.

— Póki to będzie, prawdopodobnie wielu wyjdzie.

— Możebne, szczególniej ci co biedniej żyją.

— Od pana służba nie pójdzie?

— Jabym ich!...

— I cóżbyś zrobił?—wtrąciła siostra.

— A wreszcie niech idą, innych znajdę!

— Hm! nie każdy tak sobie rzec może...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— W każdym razie, jest to kwestja dla kraju naszego nader ważna i zasługuje na poważne studja.

— Bez radykalnych środków, bez długiej pracy nad ludem, a nawet może bez udziału wszystkich państw europejskich, kto wie czy da się ruch powstrzymać.

— Na wszystko to czekać bardzo długo trzeba, a tymczasem wszak nietylko od nas wychodzą. Emigrują z Włoch, wreszcie z Niemiec, gdzie bogactwo krajowe wyżej stoi; więc to musi być konieczne...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— No, ale stawmy tak prosto pytanie. Czy powinniśmy działać aby powstrzymywać lud, czy nie?

— Naturalnie, wszystkiemi siłami; przeludnienia tu jeszcze nie widzimy, ale weźmy znów tak, jak kto nie ma co jeść? Obiecujmy: za dwa lata dostaniesz rosołu z mięsem, a tymczasem żyj wodą i kartoflami. Posłucha?...

— Ma pan rację! Ha! wreszcie czekajmy wiosny...

— Pan nabył nowego reproduktora?...

— Niezły!... może pójdziemy zobaczyć?

— I owszem.

Obejrzeliśmy stajnię, urządzoną z wszelkiemi dogodnościami. Koń rzeczywiście okazał się wspaniały: energja, siła, a przedewszystkiem ogień, cechowały każdy ruch jego.

Właściciel był zadowolony, kazał go stawiać bokiem, frontem, a Jan widocznie przyzwyczajony do tych reprezentacyj, umiał panu dogodzić...

— No, bierz!... Jan powiódł konia żelazną ręką i opierając się nogami, by go nie uniósł.

— To najważniejsza rzecz przy takich koniach, dobry człowiek—zwróciłem uwagę.

— Pijak, szelma i filut, ale na koniach... zna się doskonale i mocna bestja!... O, żeby nie to, dawno bym go wypędził.

Ztąd poszliśmy do obór i owczarni, stawianej z drzewa w murowane słupy—wszędzie czysto, sucho, nawozu moc, smukłe holendry, olbrzymie symenthale i estetyczne schwytze... a na owczarni brzydkie, lecz wełniaste rambuletti.

— Jakże aklimatyzują się te gatunki? dobrze?

— Doskonale! trzeba tylko mocno karmić i pilnować i trzymać czysto i sucho.

Nie pozostawało nic — tylko chwalić, chwalić i chwalić.

Gdy wróciliśmy, panie były w salonie.

— Panowie tu cały czas rozmawiali o emigracji?

— Tak, pani!...

— Ach, rzeczywiście biedni ci ludzie—już mężczyźni jak sobie chcą, ale kobiety, dzieci, ciągnąć na niepewne?!

— Kiedy kobiety same chcą iść—żeby, pani dobrodziejko, baby nie chciały, żaden chłop aniby się ruszył.

— Czyż pan sądzi, że one taki mają wpływ?

— Chłop baby sto razy więcej słucha, jak my swych żon i bohdanek.

— Pan przecenia ich władzę.

— Wcale nie!... Idzie o to, że on bez żony nic nie znaczy, ona mu zgotuje obiad, upierze, spiecze chleb, izbę sprzątnie.

— A więc dlatego panowie swobodniejsi, że my w tym względzie nie jesteśmy przydatne; zbyt ekonomiczny pogląd!...

— Ale praktyczny, pani dobrodziejko. Jeżeli chłopi, pomimo to że mają zapewnioną pracę kobiety, emi-

grują, to wobec postępującego zastoju ekonomicznego, cóż się dziać powinno w naszych sferach — każdy powinien uciec do Patagonji.

— Slicznie! ślicznie! panie doktorze, tak o nas sądzić!...

— Ależ nie pójdziemy, broń Boże!... jesteśmy zanadto zachwyceni, bez pań—za nic!...

— Ręczę, że z drogi wszyscyby powracali!...

— Naturalnie, ale obecnie panie mogłyby oddać znakomite usługi w kwestji emigracji.

— I owszem... Jakie?

— Najprzód starać się przekonać baby wiejskie, że od nich wszystko zależy—a potem... zająć się urządzeniem loterji, składek, teatrów amatorskich na rzecz emigrantów; czy się pomoże biedakowi tu, czy dołączy do funduszów na powrót przeznaczonych—już czas zacząć!...

— Pan nie to chciał powiedzieć!...

— Ja? pani! zawsze otwarcie stawiam kwestję.

— Pan chciał powiedzieć, że powinnyśmy więcej pracować, pomagać mężom, braciom! Oj, ci mężczyźni, zawsze na nas, a jak która rwie się do pracy, to mówią—emancypantka!...

— Broń Boże, myślałem o loterji.

— Wreszcie wierzymy. I owszem, z całą chęcią. Pan nam pomoże?

— Bezwątpienia—z rozkoszą, o ile mi czas pozwoli.

— Przepraszam!... pan każe konie...

— Ale doktorze! zaraz herbata!... zgramy wiścika, a jutro rano...

— Nie mogę!... nie... pod żadnym pozorem, na przyjemności nie możemy czasu tracić, trzeba być w domu na posterunku!...

# KOLEJĄ.

«Audiatur et altera pars».

## Z miasta.

Dziewiąta z rana. Na ulicach ruch, stuk, brzęk zlewa się w jeden charakterystyczny gwar miasta, tak niezwykły i dziwny dla ucha, kołysanego cichym powiewem zefiru pól bezbrzeżnych. To też po paru dniach pobytu pierś pragnie tlenu i aromatu sosny, oko lazuru nieba i szerokiego przestworu—dusza spokoju, a cały organizm dopomina się uwzględnienia praw swoich, tak niemiłosiernie deptanych w wielkiem mieście.

Interes, chęć zysku, złota, wrażeń, zbytku, rozpusty, blasku, sławy, życia i chleba, skupiły tu na małej przestrzeni setki tysięcy stworzeń bożych, skazujących się dobrowolnie na egzystencję wśród atmosfery zgnilizny.

Z kilkukroć stu tysięcy piersi ludzi i zwierząt wytchnięte powietrze, przepełnione kwasem węglanym i zarodkami różnorodnych chorób, wpada do tyluż tysięcy piersi innych, a wyrzucone z tych, powraca znowu do pierwszych i to 14 do 20 razy na minutę.

Sciany domów tworzą zamknięte rezerwoary z czterech stron—otwarte ku górze.

W kwadratach tych odbywa się stale wegetacja istot żywych. Skrapiana od czasu do czasu deszczem,

powierzchnia gruntu paruje pod wpływem promieni słońca, a cięższe z natury cząsteczki organiczne, pływając w powietrzu, osiadają napowrót na brukach i ścianach kamienic, lub je unosi prąd powietrza przez ulice ku kwadratowi drugiemu, trzeciemu, dziesiątemu, aż po za miasto het! na pole...

Przy braku kanalizacji cząsteczki gniją i przesiąkają do gruntu, na którym ustawione są wyniosłe i piękne kamienice, a pod niemi—groby żywych, zwane suterenami.

Dodajmy do tego parujące zgniłe cząsteczki, rozrzucone tu i owdzie odpadki świata zwierzęcego i roślinnego i wyobraźmy sobie, że wiatr i oczyszczające siły natury, słabiej funkcjonują w zamkniętych przestrzeniach, niźli na wolnem przestworzu, a będziemy mieli jasny obraz tego raju, co się nazywa wielkiem miastem...

Silne wichry rozrzedzą od czasu do czasu zgęszczoną atmosferę, wymiotą zarodki miazm, lub ulewny deszcz obmyje powierzchnię. To dobroczynne działanie matki-natury, to zmiłowanie Boże nad stale zapowietrzonemi.

Tylko silniejsze organizmy wogóle zdolne są zwalczyć te szkodliwości i przy sprzyjających warunkach życia i znacznym dowozie pokarmów pomyślnie egzystować. Przyzwyczajają się one do tej atmosfery, jak szczury kanałowe do swego otoczenia.

Słabsze indywidua zwykle stopniowo więdną i giną, schodząc przedwcześnie z areny działalności, lub zmuszone są wywędrować na wieś. Nie mogą tu żyć—tu im duszno...

W jednym z takich kwadratów, na ludnej ulicy, mieścił się powszechnie uczęszczany hotel. Stał on już lat ze dwieście, a pamiętał te chwile gdy: «polak jadł, pił i popuszczał pasa», miał więc czas wzrość i zaopatrzyć się o tyle, by jak najprędzej przystąpić do wprowadzenia

nowoczesnych ulepszeń w wewnętrznym ustroju komnat, ku wygodzie gości—do sieci kanałów wpuścić swe ścieki, dać odpoczynek gruntowi, a przybyszom oszczędzić przykrych wrażeń.

Nie! jakby szanując tradycję, zachował swą starodawną cechę i nic nie zmienił w wewnętrznym układzie. Czuć więc go było zdaleka pleśnią. Jednak przybysze z prowincji woleli go niż inne, więcej wytworne i czyste. Zatrzymywali się licznie z przyzwyczajenia dlatego, że stał prawie w środku miasta.

## Przez Pragę.

— Prędzej! prędzej! niech w-ny pan siada! omnibus nasz już odszedł—jak świat światem za późno!

— Co tam! jeszcze zdążymy...

W tej chwili wchodzi szwajcar.

— Proszę rachuneczek! meldunek!...

— Dobrze...

— Kartka z restauracji!...

— Proszę... Na piwo... na piwo... na wódkę... na piwo... Za wnoszenie walizki... za znoszenie... za dotykanie się paki... za odnoszenie listów... za otwieranie bramy... Już!... Ruszaj!... Darujcie, nie mam drobnych.

— Szczęśliwej podróży jaśnie panu! szczęśliwej!...

— Dziękuję... dziękuję...

Swist bicza, turkot dorożki, bryzgi błota i dalej... dalej... na most przez Pragę... Paka skacze... laska spada... Stój!... Przejechana... już po niej... To nic, jazda!... Zdążymy?

— Trzeba spieszyć. W-ny pan zapłaci, tam nie można.

— Dobrze!

Widać zdaleka ustawiony pociąg — kłęby dymu... A nuż odszedł?... Nie! zda się jeszcze omnibusy stoją... A ta dorożka wraca?

— Jechać! jechać! panowie! bo tylko patrzeć jak świśnie!—pogania spotkany dryndziarz.

— Mój przyjacielu, dodam na piwo, tylko spieszcie.

— W-ny pan się nie boi, jeszcze czas...

Nareszcie jesteśmy!... Już po trzecim dzwonku... Bierzcie we trzech walizkę, pakę i koszyk. Spieszymy do kasy--zamknięta. Do pana naczelnika!—jest! Drogą szczególnej łaski dostaję bilet i... znajduję się...

## W wagonie.

— «Warszawski!»... «Swiąteczny!»... «Poranny!»... «Mucha!»... «Kolce!»...

— Dawaj tu!

— Służę...

— Za rzeczy proszę...

— Masz dwudziestkę, jeden... drugi... trzeci...

— W-ny panie, za mało!... mam żonę...

— Mam matkę...

— Mam siostry...

— Macie jeszcze po dychaczu! dosyć?...

— Szczęśliwej podróży!...

Spróbujmy usiąść...

— Tu zajęte!...

— Przepraszam...

— Panie! szkło!...

— Przepraszam...

— Panie! mój kapelusz!...

— *Pardon*...

Cierpliwości... Jak powychodzą—będzie przestronno...

Po chwili robi się swobodniej—ruszamy...

Walizkę na ławkę, pakę pod ławkę, koszyk nad ławkę... Rzucamy raz jeszcze okiem w stronę miasta. Wieżyce świątyń i dachy domów błyszczą zdala... Tam zamek stary dumnie ku niebu wznosi zorane wiekiem

czoło. Za nim wieżyce Fary, Paulinów i PannyMarji. Tam ratuszowa baszta, świętokrzyzkie wieże, a w dali hen... inne — i jeszcze inne... i wązki pasek mostu, a wszystko to coraz mniejsze... mniejsze... Kominy fabryk,. warsztatów, cała potęga przemysłu, obszerne place i czarne kłęby dymu.

Żegnaj Warszawo! Bądź zdrowa!...

## Zaczepka.

— Kupiec zdaleka?

— Z bardzo daleka, z Lidy... Pan zna Lidę?

— Słyszałem, piękne miasto?

— Tak, ani bardzo piękne, ani brzydkie, niezłe miasto...

— Cóż tam słychać?

— Co może być słychać? bieda... wielka bieda... już jak ten rok... tak nigdy nie było.

— Przecież w takiem mieście macie i bogatych...

— No, co to znaczy, na takie biedę jak tam!... aj!... aj!...

— To po cóż wasi współwyznawcy cisną się tak po miasteczkach? a wszyscy do handlu i do handlu! Czyż nie ma innych sposobów do życia?

— No, jakie sposoby jest?...

— Przecież rzemiosła, a przedewszystkiem rolnictwo, naprzykład; w waszem miasteczku ilu jest starozakonnych?

— Czy ja mogę wiedzieć... kilka tysięcy.

— A handlem wielu się zajmuje?

— Z handlem jest dość... ale jest i rzemieślniki dość, wszystkim źle, ten co z handlem—nie ma za co kupić, a ten co z rzemiosłem—nie ma komu sprzedać.

— A jednak nie słychać, żeby wychodzili do Ameryki?...

— Mogą wychodzić, ale nie ma z czem... nie ma za co...

— Więc po cóż siedzieć?

— No, jak to po co?... co on będzie robił? na wieś nie wolno... on musi być w mieście.

— Mówisz pan, że taka bieda, więc lepiej byłoby, żeby się przerzedzili.

— Ich tam teraz tyfus przerzedzi — wtrącił obywatel.

— Tyfus to i na wszystkich jest — odparł sąsiad z brodą.

— Zapewne, ale nie tyle, a w tych brudach mrą jak muchy.

— Jak Pan Bóg chce, tak zrobi...

— A jak oszukaństwem się trudnią, to także Pan Bóg chce?...

— To także wszędzie jest.

— Nie wszędzie! nie, panie! ale u was napewno jest. Ja mam pachciarza, pięć lat chleb mój je, pierwszy sługa! pierwszy faktor! na karczmie siedzi, myślałem, że już jemu zaufać można! gdzie tam! W przeszłym tygodniu, wyobrazi pan sobie, powiadam: Mendel kup mi konia; dobrze — kupił; patrzę, koń niezły, fornal, ileś dał?... Ośmdziesiąt rubli. Płacę... i pięć rubli daję za fatygę; przeszło z miesiąc... koń kuleć zaczyna... gorzej i gorzej... do roboty ani weź!... Przychodzi drugi żyd, Herszko, co we wsi handluje... i powiada: «W-ny pan wie, co Mendel pana oszukał? to koń włogawy, on za niego pięćdziesiąt rubli dał i do dworu wsadził. A! — myślę sobie—łajdak jeden!... Ja do niego: a ty oszuście! a ty gałganie! jak śmiałeś?... Wyparł się, panie! zaklinał, tamtego do rabina miał pociągnąć, słowem cóż?... dowieść nie mogę, a ten Herszek złość do niego ma i zrozum tu... Ho, panie! to szachraj na szachraju!...

— No, to być może pojedyńczy wypadek — przerwałem. Tu, widzi pan, idzie o urządzenie bytu biednych

żydów. Zachodzi pytanie: jak lepiej? zostawać w miasteczkach i mrzeć z głodu, czy zakładać kolonje rolnicze? czy emigrować?

— Niech idą! niech idą! święta rzecz. Cała demoralizacja ludu ztąd pochodzi, że tego tałałajstwa tyle po wsiach i miastach siedzi. Nawet już głupi chłop uczy się od nich szachrować, oszukuje brata, ojca, chlebodawcę.

— No tak... ale oni zrośli się z tem życiem, przywiązali do tych rodzinnych gniazd. Jak pan wie, mamy jeszcze nieuprawnej ziemie. Po co mają wychodzić? tu osiedliby.

— Nic z tego! popsują lud jeszcze gorzej; tak to po jednemu chodzą, a w targi nie mają czasu; jakby siedli we wsiach na dobre, a zaczęli dawać przykład, co wtedy ?...

— No! ale we wsi nie wolno... — przerwał sąsiad z brodą, to po co gadać?

## Orator.

Rozmowie tej przysłuchiwał się zdala poważny sąsiad z innej ławki. Lat około czterdziestu, twarz piękna, bujny porost brody i czarny wąs, oko czarne. Bobrowa czapka uwydatniała śniadą cerę, lekkie, drogie futerko znamionowało człowieka zamożnego.

Oderwane słowa prowadzonej rozmowy niecierpliwiły go widocznie. Poruszał się więc na miejscu. Nie mógł nareszcie czytać «Hacefira» i zbliżył się do gawędzących.

— Panowie o żydach tak prawią—zaczął, zwracając się do obywatela—przepraszam, że się wtrącam do nie swojej rozmowy. Ja pana coś spytam: Po co pan temu Mendlowi dał się oszukać? po co pan sam na jarmark po konia nie jechał? Po co pan na koniu się

nie zna? Na całe trzydzieści rubli dał się oszukać i jeszcze pięć rubli dołożył.

— No jakże, za fatygę—na to on pachciarz, żeby się tem zajął—to dobre! Proszę...

— Tak jest, pan jego obwiniasz, a pan sam winien jesteś. Za przeproszeniem—pan jest leniwy.

— Co to daje prawo? Bardzo proszę!...

— To, co pan na niego mówi łajdak żyd! Może ja go znam, może ja jego krewny?

— Ładne pokrewieństwo—winszuję.

— Do tego się mówi. Kiedy on łajdak to po co pan go trzyma? Pan go powinien wyrzucić.

— Boję się, jeszcze spali.

— Spali!?... Pan nie ma stróża, nie ma na to asekuracji?

— Albo inaczej się zemści.

— To nie racja; to ja każdego złodzieja potrzebuję całować, żeby się nie zemścił? Piękny interes. Można mu spokojnie powiedzieć: oszukałeś mnie na koniu—oszukasz na czem innem. Idź sobie odemnie... On sprawiedliwość zrozumie...

— Niebardzo.

— A kontrakt ma?

— Ma umowę do św. Jana, kontraktu na karczmę nie wolno.

— To pan z nim razem obchodzi prawo.

— Kiedy chrześcjanin na karczmie straci i na pachcie się nie utrzyma.

— Dlaczego? — bo nie ma sprytu — poprostu głupi jest na ten interes.

— Nie! tylko za uczciwy...

— A panu potrzeba koniecznie ten pieniądz z karczmy?

— No—ma się rozumieć...

— Taak!... a pan Mendlowi dużo winien?

— A panu co do tego!? Patrzcie państwo! jeszcze będę się spowiadał?

— Bo w takim razie on nie ustąpi dopóki pan mu nie odda i będzie oszukiwał: na krowie, na koniu... Pan powinien kupować z weterynarzem...

— Oho! już teraz i sam się nie dam. Nie głupim!...

— To niech pan sobie oszczędzi żeby jemu oddać i będzie kwita. On biedny żyd, zarobił na siebie i na to, żeby panu pożyczyć—to takiej osobie łatwiej go zapłacić...

— Z czego pan wnosisz, że ja jemu winienem? a może też on mnie?

— No, ja tak tylko myślałem.

— Dajcie panowie pokój! — wtrąciłem, zwracając się do obywatela—to kwestje zbyt osobiste. Kto pana zmusza do wywnętrzeń?

— A licho go wie! może krewny, to się ujmuje.

— A pan z Warszawy?—spytałem oratora.

— Tak! moje rodzinne miasto—tam wychowany, urodzony—rzekł z pewną dumą—a jakże, znam ja tam każdy kąt, wiem, jak to powiadają, co kto myśli.

— A pisma polskie pan czyta?

— A jakże, bardzo czytam. Pisma są bardzo rozumne... tylko kilka co jest trochę antysemickie. Ale w Warszawie, to nie jest naturalne, to sztuczna rzecz. W Warszawie antysemityzm nie może być, my tam mamy przyjaciół...

— Pierwszy pan Jeleński—wtrącił obywatel.

— Co? pan sądzi Pan Jeleński tak jest przekonany jak pisze? Chowaj Boże! Jemu potrzeba być redaktorem takiego pisma—to on pisze, ale on na ten interes nic nie poradzi. To, proszę pana, wszystkie ministry z całego świata na ten interes nie wiedzą co robić.

— Daruje pan, lecz o ile znam «Rolę», ta szczerze i bez ogródki wypowiada swe zdania. Nie obwija w ba-

wełnę; zgoda, że może czasem nie przebiera w słowach i jest za zbyt otwartą—co wam się nie podoba, lecz zna miejscowe stosunki i porównywa je świadomie z wszechświatowemi. Jak na nasze potrzeby, to dość. Nie kusi się więc o nieomylność, tylko wytrwale twierdzi, że społeczeństwu, wśród którego żyjecie, więcej przynosicie szkody niż korzyści, oszukując je na każdym kroku.

— Co pan mówi? Jakie społeczeństwo od starozakonnych skrzywdzone jest? Pan czyta «Izraelitę»?

— Czytałem kilka numerów.

— To szkoda—trzeba czytać całkowicie. Co to jest społeczeństwo? to ja, pan, ten pan, tamten i t. d. Ja się panu nie dam skrzywdzić. Pan mnie może się nie dać, ten pan może się też nie dać, a ten pan daje się Mendlowi skrzywdzić. To po co?

— Już teraz się nie dam z pewnością—jeszcze go szelmę wysadzę!

— A jak kto prosi żeby go skrzywdzić? no... żeby mu dać na wysoki procent, to co? On będzie z tego kontent, że ja dam, czy nie? Pójdzie do pana — pan nie da... powie: nieużyty! samolub! Ja dam. Powie: krzywdziciel lichwiarz. Nie dam, krzyknie: podły żyd—ma, nie chce dać! No, niech pan jemu dogodzi.

— Dobrze, ale są ludzie w nieszczęściu, w nagłej potrzebie, tym należy się względniejsza pomoc.

— Pan im współczuje... to niech pan dla nich założy kasę na pożyczki, na mały procent. A na długo taka kasa wystarczy? Weźmie jeden poczciwy—drugi nieszczęśliwy, trzeci goły—no? i nie będze kasy. Tak sobie żartować nie można! Wysoki procent, to najlepszy nauczyciel oszczędności.

— Ho! ho! bratku, lichwa!? to madejowe łoże! to piekielna córa—wtrącił jegomość litewskim akcentem...

— Myli się pan—pieniądz, to pot mojego ojca! to krew mojego dziada! to odjęty od ust chleb mego pra-

dziada, co na mrozie chuchał w palce! Ja taką rzecz nie mogę dać bez wysoki procent.

— A może to też będzie zysk z wysokiego procentu—z lichwy, bratku, oblany też potem tego co płacił? ha!? może rezultat nieuczciwości ojca albo dziada? haa?!...

— Dlaczego tak ma być?—odparł zacietrzewiony orator. Więc wszyscy byli nieuczciwi? dlatego, że żydzi? to uprzedzenie!

— A może szczęście? — wtrąciła pani w sobolim kołpaczku.

— Dlaczego ma być szczęście? Wreszcie niech będzie szczęście. Jak pański przodek, za to że dobrze bił szablą, dostał kawał ziemi, to jego i pana szczęście. Jak mój zrobił dobry interes na handlu, to jego i moje szczęście—każdy ma prawo do swojego szczęścia.

— Zapewne! każda rzecz ma dwie strony i można, jak to mówią, rozmaicie dowodzić—zauważył obywatel.

— Nie można inaczej, tylko tak jak jest. W kiepską głowę wszystko wmówić można, ale jak kto dobrze rozumie interes, to musi mnie powiedzieć: masz pan rację!—zakonkludował orator, gładząc z zadowoleniem brodę.

## Posiłki.

W tej chwili sąsiadka w kołpaczku, która w czasie tej rozmowy poruszała się niecierpliwie, zabrała głos:

— Ten pan, co tu tak dowodzi, zapomniał pewnie, że oprócz procentów, są przecież na świecie, przez wszystkich uznawane i czczone: uczciwość, moralność, sumienie, współczucie w niedoli bliźnim.

— Są!—przerwał urażony interlokutor. Nie przeczę, u nas tego wszystkiego jest więcej jak u państwa. Jak żyd powie słowo, to go dotrzyma. Żyd jest sto procent

moralniejszy. On współczuje swoim bliźnim, swoim biednym. Niech się pani pyta każdego naszego biedaka co on ma od kahału? Głodny jest — kahał go nakarmi, chory—leczy, goły—ubiera. Co, może nie tak jest?

— Prawda! prawda!—ozwały się głosy.

Blade lica nie przywykłej do debatów osóbki oblały się rumieńcem, oczka błysnęły żywiej, dodając wdzięku całej postaci. Rozmowa zaczęła budzić zainteresowanie, ściągnęli żydkowie z sąsiedniego przedziału, zrobiło się ciasno, a orator tryumfująco ciągnął:

— U nas zjawił się baron Hirsch!... Co on u panów jest? Jak was uciskają niemcy, to wy na komisję kolonizacyjną sprzedajecie majątek, a na co? — żeby podtrzymać moralność? Taak! wasza moralność panowie!... A z czego te panny zbytkują, co po Warszawie w karetach jeżdżą?—z żyda? Nie!—rzadka rzecz. Żyd jak ma swoją żonę, to dla panny karety nie kupi... nie... pokój nie umebluje, zdrowia nie traci... a pani powiada, że nie ma u nas moralność!?

— Przesada! przesada!—ozwały się głosy...

Głuchy szmer zaprzeczenia wśród starozakonnych był im odpowiedzią.

— To cechy ogólne ludzi próżnych i lekkich a zamożnych—odparł kołpaczek—o ile słyszę, tak samo zbytkują w każdem większem mieście—żydzi i nieżydzi— to są choroby moralne.

— Ale tych chorób moralnych jest u państwa więcej jak u nas. Nam, podług religji, nie wolno takich rzeczy, to też ten sam grosz co na karetę idzie—u nas zostaje w kieszeni.

— Na religję, bratku, nie zwalaj—przerwał litwin— Bóg wszędzie jednaki, a zobacz, bratku, co te łachmaniarze w miasteczkach przerobią różnych bzdurstw i zabobonów, a choć prawdziwej modlitwy w tem nie masz, wasi rabini trzymają w tych przekonaniach ciemne masy.

Szmer urazy przebiegł otaczających oratora, a jeden z nich z siwą brodą zaczął:

— Przepraszam! lepiej tych rzeczy nie dotknąć. Co jest nakazane od Pana Boga, niech zostanie... U nas w biblji powiedziane jest: co jak trucizna leży w piątym pokoju — nie wolno wstąpić do pierwszego, bo z pierwszego blizko do drugiego, do trzeciego i czwartego; a z czwartego, to już tylko jeden krok do trucizny... tylko ruszyć z jednym palcem. Dlatego też głupiemu i mądremu nakazane spełnić zakon—i od tego co jest złe zdaleka być; nie wchodzić do pierwszego pokoju broń Boże!

— Więc to dlatego są te tysiączne zabobony i obrzędy?—spytał litwin.

— A jak prosto z ulicy — podchwycił obywatel — okno rozbić i do tego piątego pokoju wejść, to można, co?

— Niech pan nie żartuje.

— Nie, wcale nie żartuję. A jak oszukaństwo, podstęp na każdym kroku jest, to także nic, to można?

— To też dlatego to jest — odparł żyd z siwą brodą—że nie zachowują zakon. My widzimy, jak tylko który zacznie nie zachowywać zakon, ubierze się krótko, odrzuci wszystko to co religja każe, to z tego nic dobrego spodziewać się nie można. Tylko taki wybije okno i będzie wchodzić wprost do piątego pokoju.

— Co pan gadasz? wchodzi tam i ten co obrzędy ściśle zachowuje.

— Stacja! Stacja!...

Niektórzy z zebranych żydków opuścili wagon—po kilku minutach wszystko wróciło do normy.

## Zwierzenia.

Po małej chwili rozmowa szła w dalszym ciągu. Zaczął ją orator, zwracając się do obywatela:

— Pan daleko jedzie?

— Jeszcze trzy stacje i końmi milkę zgórą.

— Pan ma piękny majątek?

— Ujdzie, ziemia wcale dobra, tylko w dzisiejszych czasach, co to znaczy; jak obliczymy Towarzystwo, podatki, procenty, to płaci się dzierżawę...

— I gotówki odłożyć się nie da?

— Gotówki?!—może się i da. Co panu do tego?

— Pan długo był w Warszawie?

— Trzy dni.

— Pan dobrze się bawił?

— Wyśmienicie.

— Panowie tu gadają na żydów, że mają pieniądze, że procent biorą, że są oszukańcy. Pan ma Towarzystwo, podatki, długi i pan jedzie do Warszawy na przyjemność, na zabawę, na maskaradę, na smaczne śniadanie. Pan wyda sto, dwieście rubli... to nic?...

— Jakto nic? No, przecież same sprawunki ze sto rubli wyniosą, a kształcenie dzieci mało kosztuje? Lecz mniejsza z tem. A pan gdzie jedzie?

— Ja jadę na wieś do mojego dłużnika, nie chce płacić po wekslu. Jak trzeba było, ja pomogłem... a teraz nie chce oddać i muszę go tradować.

— A jak nie może płacić?

— Ja nie chcę czekać tego, jak on nie będzie mógł!... wtenczas moje wszystko przepadnie... On także lubi maskaradę i ma wielki smak do ostrygi... ja dłużej czekać nie będę—zrobię zajęcie...

— No tak... to piękna przyjemność...

— Bardzo niepiękna, ale ja muszę, bo mam żonę i dzieci... Ja widzę, że pan jego żałuje... Może pan za niego zapłaci?...

To powiedziawszy, zapalił cygaro. W oczach widniały iskry głębszych myśli: uraza, tryumf, chęć zdobycia jeszcze jednego argumentu na swą stronę, wal-

czyły o lepsze... Głęboko wciągał dym, jak gdyby chciał zagłuszyć wyraźną sprzeczność uczuć.

— A pan daleko wysiada?—spytał ponownie.

— Jeszcze trzy stacje—mówiłem.

— Czekają konie?

— Naturalnie.

— Ile może być wart pański majątek?

— To względne.

— No, ale tak na czysto, po odtrąceniu należności?

— Albo ja wiem.

— No, pan nie chce powiedzieć... to ja będę otwarty—ja mam w interesie czterdzieści tysięcy rubli... Pan ma tyle?

— Dziwna ciekawość...

— Kiedy do tego się mówi... Na pana czekają konie. Pewnie bardzo piękna bryczka, czy powóz, a ja najmę sobie żydka, może będzie sześciu żydków na jednym wozie, i jak ja będę wysiadał, to ja będę akurat taki, jak jestem teraz... Utrzymanie takich koni do wyjazdu, to drogo kosztuje — powóz ze 200 rs., to stracony procent... Jakże pan chce być bogatym?... Albo wygoda, przyjemność i piękny szyk... albo pieniądze i zabezpieczenie przyszłości — to jest zasada ekonomiczna.

## Kapitał.

Po przeciągłym świstku pociąg przystanął.

— Chodźcie panowie!... tu bufet!... wyborne pierożki, specjalnie przygotowane do pociągu, gorące!—zapraszał pan w barankowej czapce.

Amatorowie wyszli.

Kupiec spojrzał za nimi i chciał coś mówić... lecz szwargot współwyznawców przerwał myśl jego, połączył się więc z takowym.

Po kilku minutach pasażerowie wrócili.

— Dobre pierożki, nie ma co mówić!... tylko za drogie—dziesięć kopiejek sztuka!

Orator potrząsnął brodą.

— O, już to na tych stacjach, to za nic ręczyć nie można—wtrąciła jejmość litwinka — kotlety z kotów, zamiast kuropatw zdarzają się wrony, a serdelki z odpadkami z buljonu, albo i jeszcze z różnemi różnościami... bardzo niepewne...

— To, widzi pani—schwycił kupiec—to kto bufety trzyma? Żydowi nie wolno, a oszukaństwo jest! Piękny interes... ale jak nie żyd, to nic!... może robić co mu się podoba.

— Jakto, nie wolno żydom bufetu?

— Nie wolno!... Tylko jeden handel wolno—jedna robota z pieniędzmi i z kapitałem... To też za pana robi koń, wół, parobek, a za nas tylko kapitał. Jak koniowi trzeba dać owsa żeby żył, tak około kapitału trzeba chodzić, zabezpieczyć, obronić, pomieścić, żeby dał zysk, płacić rejenta, jeździć, subhastować... To jest praca.

— Ciężka praca!... straszna niewola—odparł z ironją obywatel. Nie wolno, bo zaraz szwindel!... Jak u mnie w ogrodzie szkoda jest, to się naturalnie zamyka wrota.

— No, kiedy z panem nie ma konwersacji!...— odparł urażony orator.

— Daj pan pokój! Po za kapitałem nie widzisz nic i nic... Przecież tu panu dowiodła ta pani, że człowiek dla czegoś więcej żyje. Dla dobra bliźnich, dla sławy, pomocy słabszym, pożytku ogólnego—wreszcie dla przyjemności. A pan tylko jedno...

— Hm!—potrząsnął brodą. Jak pieniądz jest — to sława jest, to miłość bliźniego się znajdzie. Co pan myśli, Rotschild, Bleihröder, Bloch, Kronenberg—to nie jest sławny? Oj! oj! On jest sławny, dobroczynny, bo on ma z czego, to może sobie pozwolić i na sławę i na dobroczynność, i dla żydów i dla chrześcjan. Ich

kochają, lubią, kłaniają się... bo on bogaty, rozumie pan! Żeby on się zrobił biedny, każdy powiedziałby: on *był* sławny i bardzo dobroczynny, ale teraz on *jest*, za przeproszeniem, głupi. Po co stracił?

— No i czegóż to dowodzi? Przecież nikt tego nie zaprzecza i nie proponuje tracić. A jeszcze bywa tak, że okoliczności fatalnie się złożą i najrozumniejszy zginie z kretesem... i taki zasłuży na szczere współczucie.

— Na co jemu współczucie? To dobre jest na dwa miesiące. To nikt nie pamięta; on musi biedę klepać! Trzeba mieć taki spryt, żeby zarobić i nie stracić.

— No, a jak los nie sprzyja? Oj, panie kupiec, dowodzisz czerpiąc myśli z sytego brzucha. Jeszcześ nie zaznał nieszczęścia i wyroków losu—nigdy tych rzeczy nie pojmiesz.

Nastała chwila milczenia. Dziarski blondyn zajął się kołpaczkiem, częstował cukierkami i coś mu szeptał do ucha, rzucając ostatnie frazesy półgębkiem.

Orator palił cygaro, wpatrując się w kłęby dymu, pływające po nad głowami. Nikt mu nie wzbraniał tej przyjemności, tem bardziej, że litwinka spała spokojnie, a litwin sam nałożył fajeczkę.

Wreszcie orator, jak gdyby skupiwszy myśli, nanowo zaczął:

— Może... może ja nie rozumiem, ale ja długo myślałem, długo... i widzę, że nasze położenie jest wyjątkowe. Żeby poprawić błędy ojców, innej drogi nie ma— tylko praca i starania około kapitału. Jak będziemy mieli sześć razy tyle co dziś, wtedy możemy co innego zacząć.

Nie mogłem wytrzymać! Wtrąciłem się znów do rozmowy...

— Więc znaczy, dopóki do tego celu nie doszliście, można poświęcić wszystko, byle go dopiąć?!...

— Tymczasem wszystko!...

— W tym kierunku fanatyzmu finansowego prowadzicie społeczeństwo wasze. Społeczne bóle obchodzą je o tyle, o ile kapitał na szwank jest narażony, i gdyby nie wasza inteligencja, która żyjąc ogólno-ludzkiem życiem, sympatycznie się przedstawia, to możnaby zapytać: po co żyją te tłumy? By wspomagać wampirów?...

— Inteligencja! to także z kapitału się urodziła... Każdy człowiek—żeby zaczął porządnie żyć, musi mieć podstawę i możność żyć tak, jak społeczne ideały jemu każą, a to niełatwo...

— Więc pan sądzisz, że tylko inteligencja oparta na kapitale?... a biedna? studenci izraelici biedacy — kończą uniwersytet nie mając nic — tu kształcą charakter, serce, ducha, i wychodzą na sumiennych ludzi!... w nich można uznać pracowników w nauce... i braci w Bogu.

— Bardzo rzadka rzecz...

— Niestety rzadka!... ale są tacy... Jest kierunek postępowania, oparty na szlachetności, uczciwości, rzetelności i wzajemnej wierze—i drugi oparty na sprycie i umiejętności korzystania ze słabości ludzkich, oraz z ich głupoty. Zdaje się, że w postępowaniu izraelitów względem społeczeństwa ten drugi kierunek przeważa. Potrzeba zwrócić ich w kierunku pierwszym. Nie z kapitału, lecz z siebie wysnuwać tę uczciwość — wyższe cele i myśli... Kształcić się, a wtedy może być mowa o człowieku, o członku społeczeństwa—nie wtedy, gdy jak wampir karmiąc się sokami innych, słabszych, wegetuje i wzrasta.

— Co wampir! wampir! po co takie słowo?... Pan czytał Darwina, pan wie co jest walka o byt?

— Czytałem—to między zwierzętami.

— To jeden interes — tylko trochę delikatniejszy... Co jest antysemityzm? to nie jest walka o byt? Na żydów napadają? dlaczego? bo w walce o byt wytrzy-

mać panowie nie możecie, i dlatego narodził się ten bękart co się antysemityzm nazywa. On wszystkiego tego narobił i wszystko w takiem świetle postawił... wszystko!...

Orator zaczerwienił się... oczy zaiskrzyły się powtórnie... a wargi drżały nerwowo...

— Uspokój się pan — kwestja klaruje się powoli, radzą nad tem umysły gorączkowe i spokojne, a w ostatnich czasach daje się spotykać wiele refleksji. Junosza objektywnie przedstawia stan rzeczy i przyznaje wam tę wielką zaletę, co się zwie solidarnością, a u niego «*kitem*». Prus upatruje w normalnym rozwoju społeczeństwa konieczność dziejową, która wytworzyła te formy egzystencji żydów, a nie inne; nie obwinia ich—pragnie tylko wytworzenia się polskiego mieszczaństwa. Lange proponuje posagi dla żydówek i małżeństwa mieszane—tylko niewiadomo w jakiej religji pożycie radzi... Baron Hirsch otwiera furtę zbawienia i okno, przez które odpływać może cała nadmierna fala. Miejmy nadzieję, że z czasem kwestja tak ważna, stojąca oddawna na porządku dziennym, pomyślnie uregulowaną będzie. A tymczasem dajmy pokój, na nic te debaty...

Orator uważnie słuchał, grą oczów i twarzy godził się, lub przeczył wypowiadanym myślom. Wewnętrzna walka wrzała w nim z całą siłą drażnionej krwi wschodu—wreszcie odrzekł:

— Rozumiem co pan chce powiedzieć... No, jak to można zabronić żyć?! zaprzeczać wszelkie prawo? My jesteśmy naród starodawny, najstarodawniejszy. My także urodziliśmy się w tym kraju i może on dla nas drogi. Mamy swój zakon, co zabezpiecza rozrost plemienia. Mamy przepisy Mojżesza—bardzo dobre! co do zdrowia, uczciwości — co do Boga!... My mamy tego wszystkiego się wyrzec dlatego, żeby dogodzić antysemitom?!... Nie... tego nie będzie do końca świata!

— Ależ nikt tak wielkich ofiar nie żąda. Reformujcie swoje społeczeństwo w duchu uczciwości. Poskromcie fanatyzm i separatyczne dążenia współwyznawców. Nareszcie popierajcie emigrację a tą drogą rozwiązanie nastąpi.

— I owszem, to jest zadanie najdzielniejszych umysłów, nad którem wytrwale pracują; a emigracja — jedyny środek którego chwycił się baron Hirsch, bo każdy rozumny człowiek powie, że innego nie ma!

— I nawet dobrze powodzi się żydom za oceanem.

— Bardzo dobrze! i będzie się dobrze powodzić — bo są sprytni, rozumni; ja panu ręczę, że ich tak jak polskiego chłopa nie będą wypędzać napowrót. On porobią miljony, bo mają do tego zdolność...

— No, daj Boże! jak najprędzej, bratku—zaśpiewał litwin nakładając fajkę. Zeby sobie zabrali ich na pierwszy raz choć połowę, a to dalibóg zadużo.

— A wiesz pan jak się wyraża baron Hirsch o żydach w Rosji.

— Jak?

— Szczypta żydów to dosyć—garść zawiele; a Rosja ma ich kilka garści.

— Cha! cha! cha!... Ma pan rację!...

— Niech też pan mnie objaśni, dlaczego to tak jest, że jak starozakonny nabędzie majątek ziemski — nie urządza go, nie gospodaruje — tylko zaraz wycina las—majątek niszczy, potrzyma trochę i sprzedaje?

— Pan nie wie dlaczego tak jest?..... Ja nie przeczę— las sprzeda i zniszczy.

— To jest po obywatelsku?

— Więc cóż? Ma robić poświęcenie, albo stracić jak nie zdąży sprzedać?

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Zbliżaliśmy się do stacji, pociąg zwalniał biegu, niektórzy zabierali się do wyjścia. Tymczasem okazało się, że był to tylko przystanek...

— Dwie minuty!... lecz jakoś stoi dłużej. Co tam takiego?

— Oczekuje przybycia pociągu, dążącego do Warszawy.

Z okien wagonu, od strony pola, widać mizerną sośninę, wychylającą ze śniegu karłowate gałęzie.

Bobrowy kołpaczek wygląda przez okno, nos przyłożywszy do szyby, patrzy tak dłuższą chwilę... coś tam go interesuje.

Co tam takiego? zobaczmy...

Oto na śniegu leży niewielki kundel, zwrócony do nas grzbietem. Ująwszy w przednie łapy kość z resztką mięsa, obgryza je zapalczywie, poruszając głową w tę i ową stronę...

Po za nim wrona ostrożnie zbliża się boczkiem i odlata tam i napowrót, tak razy kilka, coraz śmielej, śmielej, nareszcie — dziób!... w szerść... dziób!... dziób!... a każdą razą wznosi skrzydła, gotowa do odlotu...

Pies ogonem rusza, wreszcie zniecierpliwiony odwraca się i patrzy... Odlata dalej, znów powraca i dziobie...

A to paradna scena!

Wrona tymczasem coraz energiczniej dociera, już psu na kark siada i znów ucieka—pies się otrząśnie i dalej kość gryzie...

Wrona zaczyna krakać! Kra!... kra!... Przylata druga... ale nieśmiało w odwodzie stoi i gdy atakująca na psa napada, ta się przybliża, znów odskakuje.

— Zabawne! co to też z tego będzie?

Pies się obraca. Hark! hark!... a one obie już śmielej stają... już pierwsza przy łbie i przy kości, a druga u ogona dziobie... Pies się otrząsa... raz... drugi — te odlatują i znów siadają bystro...

Kra! kra! dziób!... dziob!... Pies jeszcze dotrzymuje placu—i kość objada. Kra! kra!... Przylatają jeszcze dwie

wrony i w odwodzie siadają. Pies widzi: oho! nie żarty—porzuca kość i powolnie odchodzi...

Kość w dziobie pierwszej... odlata w stronę i obdziobuje resztki ze stołu pańskiego...

Walko o byt!... toś ty w swej nagocie!... *Nec Hercules contra plures.*

## L o s.

Wtem przybyły świeże osoby.

Młody żydek pospiesznie robił miejsce żydówce, niosącej dziecko zawinięte w chustkę. Siedli i charakterystyczne rzęrzenia słyszeć się dały... Niepokój ogarnął obecnych.—Co to takiego?—pytano.

— Do doktora, proszę pana, do miasta kazał wieźć felczer—takie nieszczęście!... takie nieszczęście!... A nie ma za co... co ja biedna poradzę... A Brajne!... a Brajne!...

Płacz i łkanie przerywały słowa osłupiałej z przestrachu matki...

— Kupcowa się nie martwi... Bóg da, wyzdrowieje...

— Daj Boże pańskie słowo złote było... daj Boże!...

Łzy gradem sypnęły się po bladem licu biednej kobiety. Spojrzałem na dziecię. Sina twarzyczka, krótki oddech, prawie brak pulsu i obojętność na wszystko—zapowiadały straszny wyrok... Zapóźno!... Poznali to otaczający z moich oczu.

— Czemuż to wcześniej nie udawaliście się do doktora?

— Ja chciałam!... chciałam!... ja zaraz się bojała... felczer gadał nic!... nic!... przejdzie... Co pan powie... co? Wielmożny panie!... będzie żyć?...

W oczach nieszczęsnej matki było tyle rozpaczy, niepewności, żalu i rezygnacji, że mimowoli wszystkich

uwaga zwróciła się w tę stronę, wszyscy otoczyli najżywszą sympatją nieszczęśliwą.

— Na drodze kuracji urządzać niepodobna...

— Ratować trzeba jak najprędzej, spieszcie do szpitala; gdy doktor powie, że potrzeba operacji— zgodzić się, bo to jeszcze jedyny ratunek...

— Z czem?... z czem?... tak jadę... co Bóg da... Już jest poduszka w zastawie... lichtarze... trzy złote mam—będzie na reperację dość?...

— Macie tu kartkę do doktora... Może będzie dość... tylko nie zgubić...

Mąż skwapliwie schwycił kartkę i w czapkę włożył.

Kupiec-orator zdawał się być obojętnym, odważnie jednak spojrzał na dziecko, zaczął się przypatrywać kobiecie, kilka słów z nią przerzucił, usunął się w kąt wagonu, wyjął trzyrublówkę i matce podał, usuwając się skwapliwie od podziękowania. Ten piękny przykład pobudził innych; w jednej chwili jeszcze kilka rubli znalazło się w jej ręku... Potem podszedł z pytaniem:

— Czy jeszcze jest ratunek?...

— Jak Bóg pobłogosławi—-była odpowiedź.

Wdzięczność nieszczęśliwej była nieopisaną, szeptała coś do siebie w nerwowem drżeniu... Może Bóg da... może... Mąż zdawał się być obojętniejszym.

— Cóż tam felczer dawał?—spytałem.

— Nie mogę wiedzieć, to nie jest felczer, to taki... Un się zna... un gada, co nie jednego ratował...

— Taak... to jeszcze lepiej...

— A dużo macie jeszcze dzieci?

— Jest, Bogu dzięki, jeszcze troje w domu... jedno już umarło na takież słabość. Ale to dziecko!... aj! to dziecko!... takie dziecko... to daleko szukać... takie mądre...

— Nie ma kto z panów wina?

— Ja mam — rzekł obywatel, wyjmując flaszkę z walizki. Proszę.

Sąsiadka w kołpaczku dostała od jejmości litwinki kieliszek i chciała poić dziecię. Ostrzegłem, aby nie zbliżała się zbyt blizko, jeśli ma dziatki. Znalazła się butelka, w którą nalawszy nieco wina, spytałem:

— Pan pozwoli?

— Z miłą chęcią, niech pan nie dzieli.

— To zawiele, może się jeszcze dla kogo przydać. Masz kupcowa, dawaj co pół godziny łyżeczkę i niech cię Bóg pocieszy!...

— Oj, żeby Bóg dał...

— A pan masz dzieci? — spytałem od niechcenia oratora, który jakoś posmutniał i zamilkł...

— Mam, Bogu chwała... niech Bóg obroni taką rzecz... Niech Bóg obroni...

— No, a jakby, co nie daj Boże, los chciał...

— Niech pan nie wymówi...

— Przecież pan masz kapitał, mógłbyś się bronić... Ale jakby nic nie pomogło?...

— Niech pan nie mówi taką rzecz...

Zawstydzony i zalękniony stał przedemną już nie ten śmiały orator... lecz trwożliwy ojciec o los... o szczęście swych latorośli, szczęście.., urągające kapitałom i procentom!...

— O, panie—rzekłem—życie drwi często z teorji i chłodnych obliczeń, są chwile, w których wszelkie racje ustają, a jedna jest taka, w której... góry złota, miljardy akcyj przedstawiają wartość... złamanego szeląga... Każdy ma prawo do szczęścia i nadzieję rozkoszy w życiu, każdemu coś się należy ze skarbnicy świata... Egoistycznie pragnąc wszystkiego dla siebie i tylko dla siebie... to godne dusz nader małych. Separatyzm więc religijny, narodowościowy, kastowy... to społeczna zbrodnia... Gdzie los rozmieścił ludzi na świecie, tam zgodnie żyć winni i obudzać w sobie najbardziej solidarne instynkty, współczuć w niedoli, wchodzić

w okoliczności, uwzględniać je... wtedy przestalibyśmy nienawidzieć się wspólnie...

Orator słuchał uważnie, a jabym prawił i prawił bez końca, lecz pociąg dobiegał celu... Czas było wysiąść.

Sąsiadka w kołpaczku też porządkowała rzeczy, a wkrótce pociąg na peronie stanął.

— Szczęśliwej podróży!...

— Nawzajem!... nawzajem!...

Litwin serdecznie uścisnął dłoń jejmości. «Bądź pan zdrów!»—rzekła. Obywatel wynosił rzeczy za sobolowym kołpaczkiem i rekomendował się z nazwiska, a pasażer z Lidy chrapał zawzięcie... Nieszczęsnej matce pozostawała jeszcze jedna stacja do celu; dziecię wzmocnione winem, zdawało się raźniej wyglądać...

Orator zamyślony i poważny uchylił czapki i znaleźliśmy się na stacji. Schwycono walizkę i pakę...

— Są sanki?...

— Są... proszę pana!...

Mój zwykły woźnica zdala podchodził z rozweseloną twarzą i zabrał rzeczy.

## Do domu.

Po chwili pociąg ruszył... Wkrótce też stacja była prawie pustą.

Kołpaczek znalazł się w kłopocie, konie nie przyszły... Umawiał się więc o furmankę... Słysząc to, spytałem:

— Pani w którą stronę?...

— Do K... A pan?

— Wybornie, po drodze, mogę jej służyć saniami...

— Czy podobna?

— Z miłą chęcią, ma pani rzeczy?

— Koszyk i to oto pudełeczko z kapeluszami.

— Zmieścimy się...

— Ależ ja panu zrobię subjekcję...

— Najmniejszej...

Po chwili byliśmy na torze... Sanna wyborna, koniki biegły raźno. Jaka tu cisza, ach, jak przyjemnie!... szum w uszach ustał...

Sosnowy las roztaczał wkoło cały swój majestatyczny spokój i balsamiczną woń.

— Czy tylko pani ciepło ubrana?

— O, bardzo, myśmy od panów o wiele wytrzymalsze na mróz i niewygody.

— Pani tak sądzi?...

— A jednak jak to dobrze się stało... Byłabym może czekała na konie długo, a wreszcie samej kobiecie niezbyt bezpiecznie...

— Zapewne, bardzo rad jestem. Pani zmęczona?...

— Wie pan, że bardzo... te wagony takie niewygodne, zgiełk, gwar, aż w uszach piszczy.

— Ale pan się napracował nad tym kapitalistą.

— Chyba więcej obywatel i pani. Dziękujemy za pomoc.

— Bo, wie pan, mnie aż złość brała, co to za fanatyk!...

— Zaślepienie finansowe, to rodzaj monomanji, wytwarzającej się pod wpływem wychowania, otoczenia i jednostronności; wszystkie kwestje życia podporządkowuje się jednej, a praca w tym kierunku jednostek i całych pokoleń wytwarza zasoby i kapitały.

— A już Bóg z niemi; wie pan, pierwszy raz byłam świadkiem tak aroganckiej otwartości.

— Lecz pani przyzna, że w wielu razach było tam racji dość.

— Zapewne, czasami zdawało się, że ma zupełną rację, ale tło... tło... okropne.

— O, tak, w swojem oku nie widzimy belki, a w cudzem słomkę... Cała jednak dysputa w początku miała w sobie wiele... wiele... gorzkiej prawdy.

Wtem woźnica skręcił na inną drogę.

— Co tam? dlaczego tędy?...

— Tam nie przejedzie, zaspy, trzeba objechać.

— Aha... nałożymy?

— O, z wiorstę pewnie.

— A cóż tam w domu słychać?

— Nic bardziej... wszyscy zdrowi...

— A do pociągu jechaliście sami?

— Nie, przywiozłem tu jednego pana.

— I kogóż tak?

— To jeden człowiek... nie tutejszy...

— Cóż on tu robił?...

— On jest od namawiania do Branzylii.

— I wyście go wieźli.. A jakby tak złapali?...

— Ja nic nie wiedział—siadł z miejsca i zapłacił...

— A zkądże wiecie, że od namawiania?

— O! toż sam mówił... i mnie zachwalał bardzo... obiecywał... jeszcze tu ma być... Taki śmiały—powiada — trzy razy go łapali... ale się nie boi... sposoby ma...

— I cóż, wsiadł do pociągu?...

— A juści!... gadał co tu znów przyjedzie.

— Widzi pani... to agent być musiał—ich tu teraz łatwo spotkać.

— Cóż, niemiec czy żyd?

— Nie można poznać, ale musi on być z żydów... podobny...

Więc wszędzie... wszędzie... gdzie idzie o grosz, pierwszy... śmiały, odważny i rezolutny, i sprytny i chytry jak lis, wytrwały...

## Dyzio.

Wtem jakaś postać w szarej sukmanie i oryginalnej czapce ukazała się na gościńcu, zwrócona do nas plecami, zagradzała drogę.

— Na bok! na bok! — krzyknął woźnica, lecz tuż zwolnił biegu, gdyż postać nie ustępowała taczając się w obie strony...

— A co tam znów!...

— Dziad pijany... trzeba minąć, a nie da się, bo zaspy...

— To stańcie... zobaczymy...

— Jedźmy! jedźmy lepiej! ja się boję... — wołał kołpaczek...

Tymczasem dziad, trącony nieostrożnie hołoblą, upadł na śniegu...

— Wstawajcie, dziadku... Co to wam?

— *Laudetur Jezus Chrystus!...*

— *In saecula!* Ah!... Dyzio... a to się urządził.

— Chowaj Boże!... Gdzie jedziecie?... Słuchajcie... weźcie mnie... Opuściła mnie siła moja, a jasności oczów moich nie masz przy mnie... Weźcie!...

— Przyciężko, Dyziu, będzie, ale... no, może jak się pomieścimy. Siadajcie.

— *Deo gratias!...*

— Niech się pani nie obawia, to spokojny dziad, tylko prawie zawsze trącony...

Dziad usiadł i obok umieścił wór duży...

— Co tak Dyzma niesie?

— Kropidła, nieboże! kropidła!... *Asperges me!... hysopo et mundabur!... lavabis...*

— Któż to je robi?

— To ja... sam ja... przez cały miesiąc *praeparatae sunt*, a teraz niosę do ludzi. Kropidła... kropidełka potrzebne na świecie... można djabła wypędzić, na Wiel-

kanoc bestje [1]) poświęcić, żyda wychrzcić. *Benedixit sicut dixit.*

Rzeczywiście, dziadek sam strugał bardzo zręcznie kropidełka, w które zaopatrywał całą okolicę.

— Z jakiego to drzewa?

— Z trzmieliny, nieboże... z trzmieliny... To drogie drzewo—daleko... daleko... rośnie.

— A cóż kosztuje takie kropidełko?

— Ot!... co mnie dacie, tyle będzie kosztować... Znikomości ziemskie... wielbijcie Pana nad pany...

— Gdzież się to Dyzio nauczył takich rzeczy robić?

— Jakiem na księdza się uczył, nieboże!... jakiem w sukni chodził. *Dominus Vobiscum! Vere dignum et justum...*

Kołpaczek zaczął się śmiać...

— No, a kazanie niech nam Dyzma powie.

— ... *Et dimitte nobis debita nostra... sicut et nos dimittimus debitoribus nostris.* Ja za wszystkie stany się modlę. Za przyjaciół i nieprzyjaciół, za chrześcjan i za heretyków... *Te Deum laudamus!*... i nic z tego.

— Ale kazańko! kazańko!...

— W imię Ojca i Syna, i Ducha ś-go. Amen! Jeśli oto nie nawrócicie się i nie staniecie jako te małe dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego. A ktoby zazdrościł tym maluczkim—biada! biada mu!... biada światu! biada człowiekowi!... A jeżeli ręka twoja, albo noga twoja gorszy cię—odetnij... jeżeli oko gorszy—wyłup je... Lepiej z jedną nogą wejdziesz do królestwa niebieskiego. Jeżeli jednego z maluczkich zgorszycie—nie wejdziecie... A jeżeli miłować Boga i wszystkich bliźnich będziecie... wejdziecie do królestwa niebieskiego i zasiądzie po prawicy Pana—i sąd czynić będzie... a odbierze dobre ziarno od kąkolu... Dobre kazanie? Jak chcesz, nieboże, powiem drugie...

---

[1]) Bestja—znaczy mięso.

— Dobrze, prosimy...

-- Słyszycie!... Onego czasu zaprosił król na gody swoje i dał jeść i pić, a nie jeden przyszedł taki, który nie miał szaty godowej i zasiadł. I cóż król rzekł? Pozostańcie w opiece mej, a bądźcie jako dziatki w królestwie niebieskiem i pod okiem Stwórcy swego... a w zgodzie i miłości bądźcie...

— Amen! Amen! — dodałem... widząc, że rękami macha, a straciwszy równowagę, upaść może.

— Czy to prawdziwe teksty?—spytała sąsiadka.

— Ale gdzie tam — mieszanina bez ładu; to też manjak, widzi pani, ale w innym kierunku.

Dziad jednak bełkotał dalej niewyraźne słowa, ręce opadły, oczy zmrużył i na dobre kiwać się począł, aż na ramieniu woźnicy zasnął.

— Co tu z nim zrobić, w-ny panie?

— Nie macie postronka? Przywiązać...

— Zrzucić! to się prześpi i pójdzie...

— A jak zmarznie?

— E! nie, już dowieziemy—dodała sąsiadka... Biedny! czy też on swe położenie rozumie?

— Chwilami zapewne... Ale jakie on czasem prawdy pali... jak jest trzeźwiejszy...

Sanie sunęły szybko... Zdążaliśmy do celu... a w duszy brzmiało: «Wszędzie dobrze a w domu najlepiej!»...

# W ROZGŁOŚNEJ.

## Park.

Ciepły jesienny dzień chylił się wieczorowi. Na czystym nieba lazurze pierzaste chmurki nabierały złotawo-różowego odcienia wśród promieni zachodzącego słońca, odbijających jaskrawo od wyniosłych wieżyc kościoła.

Lekki wietrzyk kołysał konarami wierzb i topoli, chwiejąc srebrnemi nićmi «babiego lata», unoszącego się w powietrzu. W poblizkiem polu słychać było donośny głos ratai: heć! kse! pobudzających zmęczone woły do przewracania po raz tysiączny skib matki-ziemi.

Szeroką drogą, sadzoną lipami, posuwała się szara masa owiec, tworząc kłęby ciemnego kurzu; dwa białe pieski owczarki pilnowały porządku, a po za trzodą szedł ogorzały mężczyzna w słomianym kapeluszu, z długim batem przewieszonym przez plecy.

Do obór zdążały piękne rasowe holendry, niosąc wymiona pełne mleka.

Horyzont wokół zapadał na lasy i bory... Wśród rżysk i pól rozciągał się starannie zabudowany główny folwark dóbr Rozgłośnej.

Obory, stodoły, owczarnie, stajnie i ośmioraki nosiły na sobie cechę dbałości i porządku.

Nad niewielkim kanałem wodnym rozciągały się ogrody, angielski i owocowy, a wśród zieleni roślin wychylał czoło stary dom—pałacem zwany.

Park imponował swą oryginalnością i pewnem zaniedbaniem w układzie drzew i alei. Otoczony sztachetami, zabezpieczony był dobrze od zewnętrznych uszkodzeń, a blizkie sąsiedztwo łąk sporo wilgoci zapewniało.

Od bramy wjazdowej, różowemi liśćmi dzikiego wina odzianej, ciągnęły w dwie strony grupy drzew nizkopiennych, tuląc się przy oficynach i furtach bocznych. Widniały tu bzy w najrozmaitszych gatunkach, berberysy, lonicery i ligustry. Przed domem rozściełał się klomb dywanów, urozmaiconych posychającem i zwiędłem kwieciem.

Po obu stronach domu wznosiło się kilka drzew większych, a główny park rozpościerał swe wdzięki po za pałacem.

Więc na pierwszym planie stała wspaniała lipa, rozłożystemi konary panująca nad otoczeniem. U stóp jej umieszczono ławeczki, na których zwykle siadali biedacy, gromadzący się licznie w oczekiwaniu wsparcia. Lipa okwitła już dawno, a wśród jesiennej ciszy sypała obficie liśćmi, ufna w Bożą pomoc, że rok przyszły nowem obdarzy ją kwieciem. W cieniu jej każdy chętnie spoczywał, ocierając pot z czoła. Gałązki, poruszane falą wiatru, szeptały cichą modlitwę.

Obok wyniosły dąb strzelał wysoko ku niebu. Grubym pniem osadzony, stał na mocnej podstawie. Korzenie widzialne po nad ziemią we wszystkich kierunkach puścił, a wrosły one głęboko. To też ramiona gałęzi miał krzepkie, burze i wiatry niewielki nań wpływ wywierać mogły. Szerokiemi konary panował on nad lipą i do niej zwracał swe lica, chroniąc od ostrego wiatru.

Dąb w głównym swym konturze zdawał się być niewzruszonym, drobniejsze jednak gałązki poruszał

wiatr z łatwością i snadnie chwiał niemi. Wtedy zdawało się przez chwilę, że to nie dębu konary tak chwiejne i wątłe. Posiadał jednak wielką zaletę — zdolność szybkiego powrotu do równowagi. Więc wkrótce z uprzednią dumą wznosił ku niebu zorane wiekiem czoło i zdawał się urągać i wichrom i burzy. Dąb też obficie sypał żołędzie, które odznaczały się okazałością, a chociaż między niemi zdarzały się cierpkie—wszystkie były pełne i twarde, czem charakteryzowały siłę rodzica. Część większa żołędzi, dla rzadkości gatunku, hojnie rozdawana ogrodom obcym, roznosiła szeroko sławę dębu. Małą część tylko przeznaczano dla wzmocnienia swojskich lasów.

Pomiędzy dębem i lipą tuliła się kalina, której dojrzałe jagody harmonizowały z zielenią parku, dodając wdzięku dębowi i lipie. Cieszyła się też szczególnym respektem; pomimo zbliżającej się jesieni, nikt dotąd nie zerwał jagódek z pięknej korony. Opadały one i więdły z roku na rok.

Dąb dobrotliwie chronił ją od promieni operującego tu za silnie słońca i zdawał się z gałęźmi jej zrosnąć. Białość lipy uwydatniała się przy czerwieni jagód, a wogóle kalina była nieodzowną w tym harmonijnym układzie.

Pod konarami lipy widniał klomb róż sztamowych. Były tu białe, herbaciane, amarantowe, różowe i czarne. Z tych jeden krzew szczególniej wyróżniał się kwieciem i barwą.

Opodal widniał buk; wyrósł on jakby z ziemi swym pniem mocnym, tworząc koronę gałęzi, tonął w obłokach mgły, nie dozwalając stojącemu u pnia dojrzeć wierzchołka. Buk zmieniał często szatę: raz zielony i świeży, wyglądał świątecznie i wesoło—to znów pokryty pyłem, marszczył liście i zwijał je, przybierając jakąś odmienną barwę. Stojąc na wyjątkowo dobrym gruncie, ciągnął pożywne soki. Cień dębu i lipy osłaniał go od

słońca w lecie, śniegu w zimie i wiatru w jesieni. Słowem, posiadał najlepsze warunki do wegetacji. Mocny pień i soczne konary zapowiadały długą i pomyślną egzystencję. To też wydawał sporo orzeszków, które czasami bywały słodkie i smaczne, niekiedy puste, a między niemi zdarzały się tak smaczne, że wielka szkoda, iż zużywały się na miejscu.

Obok wzrastał wyniosły, młody buczek, smukły i prosty, lecz już znać na nim było skutki żyznej gleby, gałązki strzelały wysoko ku obłokom, a gęste liście, kołysane wiatrem, gwarzyły chętnie z sąsiadami. Widać na skutek akustycznych własności ustawienia drzewka, gwar ten słychać było daleko, daleko... aż w końcu parku. W trawie, u stóp drzew obu, spotykać można było fiołków korzonki i listki.

W tejże alei rósł klon; puścił on zrazu bujne korzenie i rozwinął konary, lecz po przebyciu górnej warstwy ziemi napotkał zbitą skałę, korzenie zatem poszły na boki w różnych kierunkach, więc w stronę dębu, i tu przyjazne spotkały przyjęcie, a potem rosły tam... hen... daleko, po za parkiem...

Był pewien gatunek chrabąszczów, które złośliwe i natrętne, najchętniej siadały na liściach klonu i objadały je szybko; nie dokuczały dębowi, lipie i innym drzewom, a nasyciwszy się, odpoczywały czas jakiś. Dzięki temu, ochraniano klon i omijano, by na się owadów nie ściągnąć. Zasmucony, zwrócił swe konary do brzózki rosnącej obok i w jej kibici białej, w jej wiotkich gałązkach czerpał otuchę do walki z chrząszczów nawałem. Pod cieniem klonu i brzózki kryły się skromne niezapominajek krzaczki.

Na głównym froncie parku rozłożył swe gałęzie okazały kasztan. Wśród żyznej roli rozrastał się szybko, absorbując obficie soki szerokiemi pory. Rozwinął się też wspaniale, puszczał korzenie na daleką przestrzeń i obfite owoce płodził. Już w kilku miejscach parku

wzrastały również obiecujące kasztanowe drzewka, a obok kwitła bujnie piękna akacja.

Z tej strony konary drzewa były nieco słabsze, gałęzie cieńsze, liście drobniejsze!... Jej ustępował, nikomu więcej.

Zwrócony czołem do dębu, czuł jego przewagę i siłę, a że stał odeń blizko, a główne korzenie dziwnie się splątywały, obwijał swemi korzenie dębu, zwracał w stronę, podchodził pod pień główny i tam swe panowanie szerzył.

A kiedy w maju, odziany pięknem kwieciem, wyglądał świątecznie i malowniczo, drwił ze wszystkich drzew parku i zaparcza.

Z tego pięknego kwiatu rodziły się owoce wyjątkowo dorodne, lecz nie dość smaczne; surowe sprawiały niestrawność, trafnie upieczone nabierały smaku. Z bukiem zdawał się konkurować w tuszy. Całą jednak siłę posiadał w koronie, tam się skupiały główne konary, pień nadwątlony forsowną wegetacją, miejscami miał popękaną korę. Trawnik wokoło zdobiły obfite konwalji liście.

Na tejże linji prawie, lecz bliżej dębu i lipy, stał biały jesion. Osadzony w skalistym gruncie, powoli, stopniowo lecz trwale, dorósł do wysokości pokaźnego drzewa.

Objąwszy korzeniami skałę, brał pożywienie i soki z gruntu niepotrzebnego dla drzew innych, to zapewniało mu neutralność. Tam jednak głębiej korzonki jego splatały się z korzeniami dębu i lipy, które snadź ceniąc pożyteczne drzewo, pozwalały przesuwać się między swemi. Powoli więc, powoli korzenie jesionu zgrubiały i nabrały mocy, zapewniwszy drzewu siłę i wzrost.

To też rósł on spokojnie, gałęzie miał soczne, lecz giętkie. Gdy wiatr silny zadął, giął się z łatwością, a potem szybko do normy wracał.

Pień główny stał dość prosto, ale korona skłaniała się do dębu i jakby przed nim schylała czoło.

Obok jesionu rosła stuletnia jodła, otulając go wydłużonemi konary, a między niemi umieszczono ławeczki ogrodowe, wśród krzewów polnych róż. To też najchętniej spacerujący przeszedłszy obok dębu i lipy z podziwem, spojrzeli na buk niebotyczny, okrążali kasztan, mijali klon obawiając się owadów i spoczywali pod cieniem jesionu.

Widocznem było, że sprawia mu to przyjemność, szemrał więc liśćmi i gałęziami ruszał z zadowolenia; lubiano jesion powszechnie, był popularnym.

W bocznych alejach rosły różne drzewa, więc cichy, potulny świerk umieścił się w ustroniu; nie nazbyt widać na żyznym stał gruncie, bo wyrosł nie wysoko, korzenie jednak miał mocne, pień zdrowy i igły mięsiste, a obok niego rosła sapieżanka, dająca smaczne owoce.

Po za klonem spotykać można było świeżo zaplantowany bez biały, obok zgrabnej tui. Rośliny w dobrym gatunku, obiecywały zaaklimatyzować się doskonale. Dalej, już w końcu parku, świeciła srebrzysta topola, przesadzona tu przed laty. Utrzymując z wysiłkiem zieleń gałęzi, zasłaniała niemi zazdrośnie młodą kulturowaną topolkę, tuż obok rosnącą; pięknie rozwiniętą roślinkę zaniedbano i zachodziła obawa, by z biegiem czasu mchem nie porosła, na szkodę kory i listków.

Wdali widniała zagraniczna jabłoń, przyjęta dobrze i przytulona do boków pękatej bery.

Tuż przy domu pałacowym zaplantowano kilka sztamowych głogów; wśród klombów widniał grab obok drzewka jarzębiny, dającego krasne jagody, oraz bielały rzęsiste *boule de neige.* Po za parkiem zasadzono nieco drzew czeremchy, rozprzestrzeniających szeroko właściwy zapach, a woń tę chwilami donośnie czuć w parku było.

Po parku rozrzucono inne drzewa. Były tu morwy, *spireae, evonymusy* i jałowce, a przed oknami *gleditschia*, cierń, z którego ongi uwito koronę dla Chrystusa Pana, oraz *ailanthus v.* bożodrzew.

Na lato wystawiano oranżeryjne krzewy, więc: pomarańcze, figusy, aloesy, oleandry — latańje, *calle* i wiele innych. Wśród nich odznaczał się wykwintem i wdziękiem układu liści wspaniały rododendron, a także wyniosła i w rzadkim gatunku palma. Wszystkie one jednak na zimę odnoszone były napowrót do cieplarni.

Park okalała aleja, złożona z lip wyniosłych, na lewo zaś rozciągał się ogród owocowy i warzywny.

## Siedziba.

Wśród tylu drzew stał stary, odwieczny dom. Wnętrze, urządzone z nowoczesnym komfortem, nie pozostawiało nic do życzenia i usposabiać mogło zbyt różowo, a dziwne załamy korytarzy często zmieniały rozdźwięk pierwotnego tonu.

Frontowa sień, o marmurowej posadzce, miała na prawo domową kaplicę, na lewo pokoje gościnne, w głębi w dwie strony ku górze prowadziły półzgięte szerokie schody, umieszczone w centrze portyku, wysuniętego w kopułę.

W przeciwległej ścianie do drzwi, prowadzących ku górnym komnatom, widać było galerję, z której niegdyś w czasie festynów rozlegały się dźwięki nadwornej kapeli. Sciany ubrane olejnemi obrazami panujących i mężów stanu z końca ośmnastego wieku.

Drzwi główne wiodły do sali bilardowej z wyjściem na ganeczek. Na lewo pokój stołowy, oba ubrane kilkunastu portretami naturalnej wielkości przodków rodu państwa Bogowolskich, właścicieli Rozgłośnej.

Na prawo salon pełen wytwornych mebli, w stylu *antique*. Dalej sypialnia, gabinet i pokoje pani z widokiem na park. Z korytarzy schody na drugie piętro do gościnnych celek.

Z głównego portyku na dole oszklone duże drzwi do bibljoteki, obok której sypialnia pana domu i gabinet pracy.

W bibljotece, przy ścianach, oszklone szafy, pełne dzieł cennych w różnych językach z dziedziny prawa, ekonomji, polityki, historji, statystyki, rolnictwa i teologji. Na wolnych ścianach, między szafami, litografowane portrety uczonych i teologów z pierwszej połowy XIX stulecia, oraz wykaz heraldyczny starodawnej polskiej rodziny.

Na środku stół, a na nim najświeższe wydawnictwa i dzieła.

W gabinecie pana domu ilość portretów współczesnych jeszcze znaczniejsza, biórko pracy, skórzany szezląg, etażerka na podręczne książki, oto i wszystko.

W tej chwili właśnie pan Bogowolski pisał przy biórku, coś tworząc w myśli; wśród ciszy słychać skrzyp pióra, bystro sunącego po papierze... Myśl biegła szybko... to zatrzymywał się na chwilę... to głowę wznosił do góry... to pióro kładł na stronę... i myślał... bębniąc palcami po stole... to znów je chwytał, poprzednie słowa kreślił i nowe frazesy wstawiał...

Postać schylona prostowała się. Oczy głębokie, myślące, to spoglądały na papier, to biegły w dal przed siebie, to w jeden punkt utkwione patrzyły dłużej. Włos mocno szpakowaty okalał wyniosłe czoło i spadał na skronie starodawną modą. Cera czerstwa, twarz poorana w brózdy. Wąs siwy otaczał nieco wydatne usta, okolone wyrazem spokoju, właściwym ludziom inteligentnym. Warga dolna wzniesiona, uwydatniała cechy dumy wtedy, gdy głowę do góry wznosił.

Na stole gorzała lampa z zielonym kloszem, rywalizując swym stałym szmerem palącej się nafty ze skrzypem pióra.

Wtem drzwi się otwarły, wszedł sługa...

Pan B. odwrócił się instynktownie.

— Kto tam? — zapytał.

— Proszę jaśnie pana, herbata na stole!...

— Dobrze! zaraz...

Sługa na palcach wyszedł.

Przebiegłszy okiem ostatni arkusz, pan Bogowolski pracę starannie ułożył na biórku, wstał, parę razy po pokoju przeszedł i przez drzwi ukryte w ścianie krętemi schodami na górę podążył...

Był to mąż lat podeszłych, wysoki, silny, zahartowany w umysłowej pracy i hygienicznem życiu. Wysoce wykształcony na uniwersytecie, znał Europę tak dobrze, jak swoje dobra.

Długi szereg lat spędzonych w zawodzie agronoma-publicysty i literata dał mu wiele doświadczenia, wiedzy, refleksji, olbrzymi zapas encyklopedycznych wiadomości i wysunął na pierwsze stanowisko w hierarchji krajowej. Był więc pan Bogowolski wybitnym członkiem wielu towarzystw, gdzie jego zdanie przeważało. Odznaczał się konserwatyzmem, wyjątkową religijnością i filantropją, wznosił świątynie, godził zwaśnionych i cieszył się powszechnem zaufaniem.

Stale mieszkając w stolicy, gdzie cały czas poświęcał sprawom publicznym, przyjeżdżał na wieś dla względnego odpoczynku i nabrania nowych sił do pracy, której oddawał się gorączkowo, ze szkodą własnego zdrowia. W stosunkach z otoczeniem był sprawiedliwy, zawsze rozważny analityk i objektywista. Chwilowo jednak dawał się unosić subjektywnym prądom lub podszeptom, wtedy był niecierpliwy i prędki...

Umiał otaczać się i zastępować ludźmi z głową, lecz nie znosił niedołęztwa i słabości umysłu. Chwilowe

wybuchy złego humoru i pewien rodzaj pogardy czekał zwykle tego — kto nie miał pojęcia o rzeczy, lub leniwie myślał. Na to konto pan Bogowolski nie był wyrozumiałym. Wogóle zaś w obcowaniu imponował wyższością umysłu i wyjątkową inteligencją.

Dzielnie też w filantropijnych czynach dopomagała mu małżonka, zacna i dobrotliwa matrona. Godziły się te dusze najbardziej w jednym kierunku, w miłości ku Bogu, w dawaniu przykładu maluczkim i w prowadzeniu hygienicznego życia.

Pani wiele czasu poświęcała modlitwie.

## Gawędka.

Godzina dziewiąta z wieczora zgromadzała zwykle całe otoczenie państwa do sali jadalnej na herbatę.

W tej więc chwili nad zastawionym stołem gorzała lampa, a obok ustawiano stoliki do kart. Przy jednym z nich miejscowy wikarjusz z akademikiem toczyli ożywioną rozmowę. Po sali chodzili miarowym krokiem doktor z kasjerem, wiodąc rozmowę o polityce, a w końcu stołu głównego miejscowy kanonik opowiadał zabawne anegdoty administratorowi dóbr. Rozmowę przerywały wybuchy homerycznego śmiechu, który potęgował jeszcze jowialny nastrój.

Służba kończyła przybory do herbaty. W tem w drzwiach od sali bilardowej ukazała się wyniosła postać pana Bogowolskiego, pod rękę z panią hrabiną, za nimi szedł siwy jak gołąb, wykwintny hrabia z panią domu, a orszakowi towarzyszyła osoba w średnim wieku, kuzynka państwa domu. Po przywitaniach zajęto miejsca. W tem przybył jeszcze sąsiedni proboszcz, powszechnie lubiany.

Po chwili ciszy, pierwszy gospodarz wszczął rozmowę.

— Jak jednak piękną jest jesień!... Spacerowałem w parku; jakiż to malowniczy widok te różnokolorowe liście, różowe, żółte, niektóre jeszcze zielone, to znów pstre, jakie przepyszne barwy!... A przy dzisiejszej pogodzie—nie mogłem oderwać oczu!...

— Czy tak?—spytała pani domu. A to mnie bardzo, bardzo cieszy!... Pamiętam... jakeś był młody... lubiłeś bardzo naturę, ale teraz rzadko to ci się zdarza...

— A widzisz! moja kochana, odmłodniałem... Wreszcie poczucie piękna—czyż starzeć się może?...

— Ja bo znów nic tak nadzwyczajnego nie znajduję—zauważył hrabia—wolę wiosnę, lato—a w tych tam jesiennych malowanych liściach?!... niewiele wdzięku.

— Bo pan hrabia zepsuł sobie gust na widokach Florencji i Neapolu, nie patrzy okiem samorodnego estetyka i dlatego nie może ocenić swojskich cudów natury.

Pan hrabia skrzywił się i chciał coś mówić.

— Ale pozwól, niech skończę!... zawsze przerywacie! Otóż to nasza narodowa wada...

— Chi!... chi!... chi!...—zaczęły chórem panie... Nigdy ten naród nie nauczy się słuchać!... zawsze nie dadzą mówić!... Chi... chi... chi!... — dodała pani domu, naśladując męża.

— No, moja kochana—przerwał pan B. z dobrotliwym uśmiechem, całując rękę żony. Dziękuję... dziękuję... lubię to... doskonale mnie udajesz... Znakomicie... znakomicie... I sam też śmiać się zaczął. Wesołość udzieliła się całemu gronu, robiono ciche uwagi i uśmiechano się, popijając herbatę. Gdy znów gospodarz zaczął:

— Nie!... kiedy rzeczywiście tak jest!... Potrzeba umieć ocenić piękność naszej natury... patrzeć na rzeczy te z miłością kraju i nie wymagać nadzwyczajnych wrażeń. Wtedy znaleźlibyśmy w wielu miejscach

bardzo piękne widoki. Albo nasza wieś? Czy może być gdzie czystsze i zdrowsze powietrze? Nie potrzeba żadnych stacyj klimatycznych—prawda, panie doktorze?!...

— Rzeczywiście, nasza wieś ma wiele warunków zdrowotnych, lecz urocze płaszczyzny nie mogą zastąpić ożywczego klimatu i ozonu gór dla płuc potrzebujących rozrzedzonego powietrza—i wogóle czystszego, wolnego od bakteryj...

— O, już tam moi panowie! dajcie wy pokój z temi baktrami! nic! tylko baktry i baktry!—przerwał kanonik—dawniej też ludzie żyli i oddychali, i wodę pili i dobrze jedli z baktrami aż miło, a teraz już baktry zaczęły ludzi jeść?!... Do czego to prowadzi ta uczoność?!...

— To inna kwestja—odparł doktor — ksiądz kanonik pod mikroskop nie zagląda, to się o tych rzeczach przekonać nie mógł.

— Widziałem!... widziałem!... kroplę wody i miljon takich jak palec robaków... i cóż z tego? Po garncu wody dziennie piję — miljardy baktrów zjadam i chybaż nieźle wyglądam. Cha!... cha!... cha!...

Ogólny śmiech towarzyszył ostatnim słowom jowialnego kanonika, którego okazała postać i kształty zdawały się zwalczać stanowczo teorję szkodliwości bakteryj.

— Są ludzie, odznaczający się szczególną odpornością pod każdym względem; obdarzeni taką «*immunitas*», mogą przejść przez świat nie obawiając się zarazy—bakterje nie dadzą im rady. Z drugiej strony są słabsze organizmy, mało odporne.

— Dajcie panowie pokój! kto ma żyć, będzie żył, żeby go sto tysięcy baktrów napadło... a jak na kogo kreska... to i bez baktrów panie tego... i kwita...

— A jednak, w chwili epidemji wszak zaraźliwość widoczna—wtrącił pan B.—taki tyfus, dyfteryt, ospa, cholera...

— Cholera! — podchwycił ksiądz — chowaj Boże! W czasie cholery w 55 roku—ach, co to się działo!... na ulicy padali jak muchy, nie mogli trumien nastarczyć, a ja cholerycznych dysponowałem — codzień kilkunastu, i 400 pochowałem. Kto miał umrzeć—umarł... reszta żyje; tylko nad tą wsią, w której marli—zawsze mgła taka stała—jak przestawali umierać, mgła gdzieś przepadła; ale to nie z baktrów, nie!... to z powietrza panie... wapory i cała rzecz!...

— Doktor jegomości nie przekona—zakończył pan Bogowolski i zwrócił się z zapytaniem w stronę gdzie pan administrator coś kasjerowi tłomaczył. Cóż tam panowie nowego słyszeliście?

— A cóż! najnowsza bieda z tą emigracją, już i ztąd wybierają się.

— Czyż tak? naprawdę? i którzy, niewiadomo?

— Powiadają Walek, co to po Stanisławie Brzoście... Czajewscy... Orłowski z żoną... i inni.

— Już wyjechali?—spytała pani domu—czy myślą?

— Myślą... zaledwie myślą...—uspakajał pan B.— może jeszcze nie pojadą... nie martw się, moja droga— ale to tak jak owce. Pokazuje się, księże kanoniku, że nie dość ten lud uczyć modlić się—nie... Potrzeba czegoś więcej... rozwinąć zamiłowanie do rodzinnej ziemi... do pracy... do uczciwości... wtedyby nie szli...

— Ha! robimy co możemy—odparł ksiądz.

— Zapewne, robicie... Modlą się szczerze, świętują jeszcze szczerzej, jarmarkują jeszcze troskliwiej — ale do pracy produkcyjnej ani go zagoń.

— Cóż? teraz panowie!... trudno poradzić...

— Co też gadacie panowie!... bie-da-cy!... Czyż nie widzicie jak u nas stoi drobna własność? Czy można ją równać z Europą?... Przypuszczam, że powszechnie nabiera ona coraz większego znaczenia, małe warsztaty rolnicze mają wiele warunków do pomyślnej pracy— ale tam na Zachodzie zastosowanym jest kapitał w rol-

nictwie, pomimo to że naraża się go na ryzyko. U nas zaś produkcja odbywa się bez pomocy kapitału i przy fatalnym stanie własności średniej... Co zaś najdziwniejsze to ta okoliczność, że chłop—postać poważna, odznaczająca się stałością religijnych przekonań, czystością obyczajów, oszczędnością, zdrowym sądem o rzeczach—dał się z taką łatwością namówić lada wydrwigroszom!... To jest objaw niespodziewany... nieobjaśniony... a nader bolesny!...

— Rzecz prosta — dodał administrator—stosownie do ilości gruntu, jest ich w niektórych miejscach zawiełu i wogóle są niezaradni—nie umiejący się rządzić tem, co stosunkowo z łatwością posiedli.

— A jak to cieszył się Staszyc — rzekł pan Bogowolski, potrząsając głową—że każdy będzie miał prawo do nabycia ziemi!... Pan Andrzej Zamoyski znów sądził, że drogą długoletnich dzierżaw włościanie nabędą wszystkie ziemie jakie okażą się dla nich potrzebnemi i będą umieli dobrze się rządzić. Sądzono tak powszechnie... Jak widać, za zbyt optymistycznie zapatrywano się na dojrzałość ludu... Wreszcie działy bez końca popsuły wszystko...

— Tak!... ale czegóż im dziś potrzeba? Są pod wyłączną opieką, prawie protekcją prawa jak nigdzie— wtrącił sąsiedni proboszcz—to tylko ot taki pochop do złota... Jak usłyszał: «złoto kapie!»... tak zgłupiał... Jeszcze co jedno wstrzymuje, to wyjaśnienie, że gdyby ojciec św. ich wzywał, toby przez księży to głosił...

— Rzeczywiście, temu powinni wierzyć...—potwierdził pan B. i po małej pauzie tak dalej mówił: Nasi włościanie mieli oddawna wszelkie warunki do pomyślnego rozwoju. U nas nie było nigdy takich «reichsritterów i ritterguttsbezicerów» jak w Prusach i Austrji, którzy wyzyskiwali lud niemiłosiernie i okładali podatkami. Szlachta po 1807 roku, a szczególniej od 1846 nie robiła żadnych nadużyć... owszem, przeważnie

była z ludem w jak najlepszych stosunkach... Był więc czas by lud przywiązał się do roli...

— Jednak nadużycia bywały...—rzekł akademik.

— Bardzo rzadko—odparł pan B. W 1861 roku od października zaprzestano w całym kraju robić pańszczyznę i myślano serjo o podniesieniu rolnictwa, o bycie włościan bezrolnych—lecz jednocześnie przyznać trzeba, że demoralizowano lud, np. wódką zachęcano do roboty... Pomimo to przed 64 rokiem rolnictwo zaczęło kwitnąć, a Towarzystwo rolnicze wzięło się energicznie do pożytecznej pracy. Wielka Brytanja otwarła swe porty i zboże nasze znajdowało chętny pokup; lecz wtedy już zauważono, że tam gdzie gospodarstwa szły licho—włościanie pracowali po swojemu, gdzie zaś żądano postępowej, usilnej pracy — była skłonność do opuszczenia ziemi, i dziś to się powtarza... Ziemia wymaga większej pracy i pewnej umiejętności... Bóg z nią!... idźmy tam, gdzie sama bez pracy daje plon!... O, to cała kwintesencja wychodźctwa...

— Narzekali na pańszczyznę—podchwycił kasjer—a teraz i nie mają pańszczyzny i też źle.

— Bo też rozradzają się nader szybko--zauważył doktor. Podług danych statystycznych, w 1864 roku liczono włościan w Królestwie 3,600,000, a w r. 1885 już 5,800,000, t. j. wzrost o 58%!... Gdzie tu się podziać? Gdyby były dwory, połowa znalazłaby we dworze zajęcie.

— Z drugiej strony—rzekł gospodarz—ukaz uwłaszczający był dla nich dobrodziejstwem wyczekiwanem oddawna, ale jak każda stanowcza reforma, wywołał gwałtowną zmianę w stosunkach, złamał on właścicieli średnich i większych i przeniósł środek ciężkości na stan włościański. Pełne prawo własności, głosowanie powszechne, samorząd gminny—wszystko to są czynniki niesłychanie ważne w rozwoju dobrobytu... To też dobrobyt wzrósł. W trybie życia, w sprzętach, dają się

zauważyć zmiany na lepsze, ale w pracowitości nic lepszego nie widzimy!.. O to tu właśnie chodzi... i tu pole do działania przyjaciół ludu.

— Mówimy... panie dobrodzieju!... nakazujemy— odrzekł ks. wikary—niby to słuchają... Kiedy da się zauważyć: jak który lepiej się ma, zaraz kompanje, jarmarki, a o pracy taki już ani pomyśli.

— Tak...—ciągnął pan B., bębniąc palcami po stole—w tym kierunku trzeba działać wytrwale. Módl się i pracuj... pracuj i módl się... Królestwo polskie straciło dawniejszy charakter kraju o większej własności, przeważa dziś bezwątpienia własność mniejsza i stan jej kultury i moralności powinien wszystkich zajmować.

— Chociaż—wtrącił administrator, pociągając cygaro—folwarczna służba jest pracowita, tego zarzucić nie można—nasi fornale, parobcy, to woły nie ludzie, albo wyrobnicy-ogrodziarze—wszystko lud bardzo pracowity, tylko trzeba sprawiedliwie ich wynagrodzić... Przedewszystkiem jednak, chcąc aby człowiek chętnie pracował, potrzeba by on czuł, że ta praca daje mu zadowolenie, ochronę w chorobie, odpoczynek, a w starości schronienie...

— O ile mogłem zauważyć—dodał doktor—ludzie ci nadwyrężają się nieraz i ztąd spotykamy bardzo często uszkodzenia pochodzące z wysiłku, lub nieostrożności przy ciężkiej pracy, a jak zostanie kaleką wtedy bieda...

— Dlatego też—przerwał gospodarz—nie możemy lekceważyć i osad drobnych trzymorgowych, dają one właścicielowi pewien punkt oparcia. Jeżeli podzielimy włościan rolnych na trzy kategorje, t. j.: 1) wyrobników, posiadających osady do trzech morgów i opierających prawie całą swą egzystencję na zarobku; 2) gospodarzy niesamodzielnych, od 3 do 20 morgów, potrzebujących zarobkować, i 3) gospodarzy samodzielnych,

od 20 do 60 morgów, nie potrzebujących zarobkować, to okazuje się, że mamy najwięcej osad drugiej grupy, bo, o ile pamiętam, czterysta sześćdziesiąt tysięcy, a pierwszej tylko sześćdziesiąt tysięcy, trzeciej coś sto pięćdziesiąt tysięcy. Gruntów zaś pierwsza kategorja ma najmniej, zaledwie jakieś sto tysięcy morgów, druga pięć miljonów morgów, a trzecia cztery miljony. Wprawdzie są to cyfry z czasów ukazu, dziś podzielili się i właśnie natworzyło się masę osad pierwszej kategorji. Byłoby to może i nieźle, gdyby te osady nie zawielu potrzebowały karmić i gdyby ich właściciele znajdowali zarobki, ale jak nie ma dworów, nie ma zarobków. Ot i druga przyczyna wychodźctwa... Chcąc te złe strony bytu włościan usunąć, potrzeba wytworzyć daleko więcej osad samodzielnych drugiej grupy, rozprzestrzeniając między ludem wiadomości rolnicze i ekonomiczne, zabezpieczając od podziałów przez prawo spadkowe...

— Łatwiej to powiedzieć jak zrobić—wtrącił hrabia—znam ja ten lud doskonale, przy ich zacofaniu na to potrzeba wieków...

— Zapewne, ma pan hrabia rację, trudno!... ale trzeba, bezwarunkowo trzeba. Wzrastająca zamożność włościan nietylko ocalić może własność ziemską w tym kraju, lecz zarazem stać się podstawą społecznego ustroju.

— Na chłopach oparty ustrój społeczny!... Panie Boże zapłać!...—rzekł hrabia.

— Włościanie—ciągnął gospodarz—zawsze i wszędzie najlepiej przechowują tradycję zasad chrześcjańskich i cnót społecznych. Własność większa ma wpływ oświecający, lecz niestety zarazem i gorszący... Na nią to zwróconą jest uwaga maluczkich, dwie ostro odgraniczone klasy stanęły obok siebie: bogatsi i wykształceni—ubodzy i ciemni.

— Tak zawsze było od stworzenia świata!—zauważyły panie.

— Więc właśnie źle było i źle jest; jedni drugich pojąć nie mogą, drobne nadużycia możniejszego źle są tu tłomaczone, wywołują zawiść i nieufność, a przytem panuje zbyt jaskrawa różnica w sposobie życia.

Podano pyszne cygara i niebieskawe kłęby dymu przesłoniły światło lamp.

— Żyją oni dziś, panie dobrodzieju, nie gorzej od szlachty—wtrącił kanonik—ho! ho! jak taki chłop zarżnie krowę, albo zakole wieprza... co to za uczty! wódka, miód, wino!...

— To też to właśnie, że wdziera się najstraszniejszy robak społeczny: «życie nad stan», i przykład biorą z dworów!... To jest najboleśniejsze.

— A jednak rozkupują majątki—odparła pani domu.

— Miejscami... Wogóle oszczędzają bardzo mało. Na 600,000 osad włościańskich, mających 8,000,000 morgów gruntu, w ciągu 22 lat znalazło się tylko 20,000 takich, którzy z oszczędności ziemię nabyli. Ależ to *horendum*!...

— To trzy procent zaledwie, proszę pana dziedzica—wtrącił kasjer.

— Właśnie, a ztąd wniosek, że zamożność włościan, w stosunku do nader szczodrego uposażenia, wzrosła nader mało.

— Już to widać nie za nas się polepszy—lekko przyszło, lekko pójdzie—dodał kasjer.

— Naturalnie, na to trzeba czasu. Zbyt łatwe nabycie własności, nie okupione żadnym wysiłkiem osobistym, nie pozwoliło jej dość cenić i dzielili się też nie przewidując skutków—dziś widzą skutki i lekceważenia i podziałów—będą ostrożniejsi.

— A jeszcze te szachownice!...—zauważył hrabia—brak instytucyj oszczędnościowych w powiatach!... bo cóż te kasy gminne?... to parodja!...

— Racja, racja, kasy w ręku ludzi biednych nie budzą zaufania — do tego potrzeba osób specjalnie tej sprawie oddanych i gwarancji albo rządu, albo poważnej korporacji.

— A czy włościanin nasz, przy prawidłowem zajęciu i cnotach zwykłych — mógłby na tymże kawałku ziemi wypracować więcej jak obecnie?—spytał doktor.

— Naturalnie! Z kwestjonarjusza, jaki miałem pod ręką, okazuje się, że czysty dochód wydatkuje się na potrzeby życiowe, że o czystym dochodzie stanowi dobroć ziemi przy małej pracy, lub wielka pracowitość— przy gorszej ziemi. Zboża sprzedają mało, dochód z inwentarza i trzody chlewnej jest główny, a tymczasem produkcja z morga nie przechodzi średniej normy, narzędzi rolniczych nie ma. Gdyby wszystko szło jak należy, mogliby dwa razy tyle zarabiać.

— I potrzeby rozwijają się nader szybko... — zauważyła pani.

— Niebardzo — i owszem, większość ma potrzeby pierwotne, ograniczone, napojów wyskokowych używają mało, a główną przyczyną biedy, mojem zdaniem, jest *brak pracowitości;* dzieci siedzą przy ojcu i nic nie zarabiają. Nawet gospodarstwa większe dają czystego dochodu np. 90 kopiejek, 27 rs. do 70 rs. rocznie.

— Długi robią, jaśnie panie — odezwał się totumfacki kamerdyner, który zwykł był w chwilach rozmów, dostępnych jego pojęciu, wygłaszać swe zdanie.

— Masz rację, robią.

— Tu, proszę jaśnie pana, jest kandydat ma 30 morgów i młyn, a długów 500 rubli, albo Ławnik — piękną gospodarkę i 600 rubli ludziom winien.

— To już znów kompanje... piwo... jarmarki...—odparł p. B.

Nastała chwila milczenia... Przedmiot zdawał się być wyczerpanym. Panie zaczęły gawędkę na swoją

rękę... Młody akademik szeptał coś z wikarym, podano owoce i rozmowa przeszła na inny przedmiot...

— Oj źle! złe czasy—zakonkludował kanonik, konsumując melon. Czy to już nie czas, panie dobrodzieju, do wista?

— Hm!... dziesiąta... czas... czas..

— Pan dobrodziej z Warszawy, co tam nowego słychać?—ktoś spytał.

— A cóż—kanalizacja! Mieliśmy posiedzenie, chcą koniecznie, żeby każdy dom się kanalizował. Bardzo to pięknie, ale na takie biedne jak Warszawa miasto—to niepodobna!

— Pytanie: po co? żeby zatruwać wodę w tej biednej Wiśle?—dorzucił kanonik.

— Przecież ksiądz kanonik nie wierzy w baktry...

— No, ale te wszystkie brudy miejskie, a wreszcie podobno w Warszawie 500 doktorów, to już tam baktrów nie zbraknie... nie!...

— Otóż to właśnie—rzekł doktor—na to konto mamy bardzo ciekawe dane «O samodzielnem oczyszczaniu się rzek».

— A juści!... dużo wy tam wiecie... Boże! cha!.. cha!... cha!...

— Doświadczenia wykazały, że bakterje zabija światło, a cząstki organiczne gnijące utlenia, t. j. spala duża ilość kwasorodu, poczem spadają one na dno rzeki w postaci popiołu. Scieki więc, wychodząc z miast i mieszając z wodą, utleniają się szybko, a w miarę oddalenia woda staje się coraz czystszą. Interesujące są doświadczenia Faraday'a i komisji sanitarnej angielskiej. Najbardziej zanieczyszczoną okazała się rzeka Calder, woda była czarną jak atrament... tak, że komisja tą wodą, wziętą u wyjścia kanału miejskiego, napisała na kartce datę i miejscowość i przedstawiła ten nadpis magistratowi, jako dowód zanieczyszczenia rzeki.

  

— To właśnie kanalizacja narobiła tego! — zauważył kanonik.

— W Paryżu również zanieczyszczenie Sekwany zwiększa się, zacząwszy od pierwszego kanału do ostatniego. Mieszanina ścieków i ciał organicznych tworzy straszny zapach, mielizny z ciał organicznych formują całe wyspy; ryba, a nawet mięczak tu nie zagląda—już jednak skutkiem samooczyszczania, o 8 kilometrów poniżej miasta spotykają się mięczaki, a o 11 kilometrów zjawiają się i ryby...

Pan Bogowolski, który przez cały czas słuchał tych słów uważnie, wyrzekł:

— Taak!... nie wiedziałem... to ważne, bardzo ważne... A nie dowiedli też, w jakiem oddaleniu woda wraca do normy?

— Na to konto są doświadczenia Gerardin'a i Boudet'a, którzy sprawdzili, że o 70 kilometrów poniżej Paryża woda Sekwany stała się zupełnie wolną od zanieczyszczeń i do wszelkiego użytku zdatną.

— Patrzcie państwo! hm... zaczynam wierzyć, że kanalizacja spławna ma rację bytu i sądzę, że przy użyciu pewnych mechanicznych przyrządów do przepędzenia wody od ujść kanałów, możnaby te miejsca jeszcze szybciej oczyścić.

— I... tego nie potrzeba... kanalizację dawniej urządzano wadliwie i otwory kanałów głównych zapuszczano do rzek w mieście; obecnie wyprowadzają kolektor główny daleko po za miasto.

— Czy jednak śmiertelność się zmniejszy, to pytanie.

— We Frankfurcie, po urządzeniu kanalizacji spławnej, spadła ona do 20 i 17 na tysiąc, to jest do normy idealnie nizkiej, wiejskiej. Nie trzeba jednak przeceniać skutków. Kanalizacja w tym względzie gra sobie właściwą rolę, na zdrowotność i śmiertelność wszak wpływa wiele innych czynników, a głównie ekonomiczny stan miasta i kraju.

— Naturalnie...

— Szkoda jednak tylu pierwiastków organicznych dla rolnictwa—zauważył pan administrator. Kanalizacja spławi je do morza.

— I na to jest rada—rzekł hrabia. Wszak Szczecin ma stację centralną ścieków. Za pomocą ścieśnionego powietrza wpycha się je do wagonów *à la Nobel*, hermetycznie zamkniętych; rolnicy to rozkupują i otrzymują wagony na odległych stacjach.

— Właśnie to jest bardzo praktyczne—dodał doktor. A żeby tak w Warszawie wszystkie domy skanalizować!... a prędzej kanalizację ukończyć?... ileby to ludu można zająć!... i do Brazylji nie puścić!?...

— Pieniędzy nie mamy! bieda w kraju! Ot sęk!...—odparł pan B.

— Oj źle! złe czasy...— zakonkludował kanonik — ale już czas do wista! Oho! pół do jedenastej.

Goście powstali i do zielonych stolików siedli. Do winta pan domu, hrabia i administrator z sąsiednim proboszczem. Do wista pani, kanonik, doktor i kasjer. Młody akademik opuścił towarzystwo. Kuzynka rozporządziła, by stół sprzątano i zajmowała rozmową panią hrabinę...

Wtem wszedł pospiesznie lokaj...

— Tu przyjechali po pana doktora!

— Co tam takiego?

— Z folwarku do chorej Mazurki... I księdza wikarego proszą!...

— O, Boże mój! niechże panowie jak najprędzej jadą! Panie doktorze, polecam chorą jego opiece—dodała pani domu. A ksiądz wikary z Panem Bogiem... Biedna kobiecina... proszę ją tam odemnie pocieszyć...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Wyszli w milczeniu kapłan z lekarzem, skłoniwszy się grającym, i podążyli tam, gdzie obowiązek ich wzy-

wał. Ksiądz do kościoła po oleje święte, lekarz po instrumenty i podręczne leki.

Za chwilę byli na gościńcu, wiodącym do poblizkiego folwarku...

Noc ciemna, jesienna, pogodna lecz zimna, na drodze pusto i głucho; jechali w milczeniu, gdyż podług zwyczaju, nie wolno rozmów toczyć, gdy z wjatykiem kapłan do chorego dąży.

Gdy weszli w próg izby—chora jęczała strasznie...

Ksiądz dopełnił obrzędów...

Wykonana operacja przywiodła na ten świat, pełen trosk, bied, nędzy i odrobiny szczęścia, nowego obywatela, któremu nadano imię Stefan.

Wracając, mimo znużenia szła ożywiona gawędka, wśród której ksiądz spytał:

— Ciekawym też, czy Stefan Mazur opuści kiedy kraj rodzinny?...

— *Pracujmy, by pozostał w domu...* — była odpowiedź.

# ZAMKNIĘCIE.

Z powyższych rozmów autentycznych, czytelnik spostrzedz mógł, w jaki sposób przedstawiają się pojęcia i przekonania wśród różnorodnych warstw społeczeństwa naszego na prowincji. Poglądy na szczęście ziemskie, potrzeby życiowe, nadzieje, dobrobyt, pracę, urządzenia społeczne, przyczyny biedy i środki ratunku—różnić się z sobą muszą, z natury rzeczy, do nieskończoności prawie, a trudne są do zbadania gruntownego jeszcze i przez to, że linje demarkacyjne przeprowadzone pomiędzy stanami w kraju, nie sprzyjają bynajmniej zbliżeniu się ich ku sobie, nie ułatwiają poznania rzeczywistych potrzeb danej klasy.

Społeczeństwo prowincji składają posiadacze większej własności ziemskiej, właściciele średni i przedstawiciele drobnej własności. Inteligencję względnie pomieścić wypadnie w pośród właścicieli większych i średnich. Rzemieślnicy, przeważnie ubodzy i pracujący, narówni z włościanami bezrolnymi. Każda z tych warstw żyje własnem swem życiem i ma poglądy odrębne.

Jak dotąd, emigracja dotknęła jedynie warstwy najniższe: włościan rolnych i bezrolnych, rzemieślników, tu-

dzież szlachtę drobną. Kandydaci rekrutują się z każdej z tych warstw o tyle, o ile jest im źle.

Widzieliśmy poprzednio, że środki anty-emigracyjne nie prowadzą do celu. Żeby zaś wynaleźć inne, skuteczniejsze, trzeba przedewszystkiem studjów głębszych, opartych na statystyce, której nie posiadamy. Przytem zachodzi wątpliwość, czy dane statystyczne, dotyczące np. własności drobnej, byłyby zdolne, w warunkach sytuacji ogólnej, wystarczająco objaśnić przyczyny.

Gdyby emigrowały pojedyncze osobniki, lub niefortunne rodziny, moglibyśmy na objaw ten patrzeć ze smutkiem wprawdzie, lecz zarazem i z tem przekonaniem, że to są nieuniknione ofiary losu i wyjątkowych okoliczności. Niestety, tłómaczenie to nie służy wcale emigracji masowej, która się w r. 1890 rozpoczęła, na Mazowszu i Kurpiach. Tu już nie wystarczają objaśnienia łagodzące sprawę, jak działalność agentur i t. p. Przyczyny wyraźnie tkwią głębiej.

Naturalnie, że wobec całkowitego braku danych do indukcyjnego wywodu, ograniczyć się należy, przy tłómaczeniu tych przyczyn, do rozumowania. Chodzi przedewszystkiem o pytanie, jaka warstwa społeczna w Królestwie stanowi podstawę społeczeństwa?

Najnowsi badacze Królestwa, na podstawie gruntowych studjów i dostępnych statystycznych danych oraz konsekwentnych wywodów, przychodzą do wniosku, że Królestwo polskie przestało być krajem o własności większej; przeważa w niem własność drobna, gdy bowiem własność mała włada 9,201,000 morgami, więksi właściciele posiadają 8,943,000 morgów, a że właściciele więksi posiadają sporo lasów i nieużytków, więc cyfra ta jeszcze ulegnie zmniejszeniu i wypadnie, że włościanie oraz drobna szlachta władają 6,000,000 morgami ziemi uprawnej, więksi właściciele—4,700,000 morgami. Na zasadzie tych i innych danych dowodzą, że główną podstawę dobrobytu włościan stanowi cho-

ciażby najmniejszy działek ziemi, osady tak zwane wyrobnicze, nie przechodzące 3 morgów gruntu, już dają pewien rodzaj zabezpieczenia i oparcia.

Zważywszy, że Królestwo posiada około 2,000,000 bezrolnych, widzimy jaka jest znaczna ilość włościan, opierających swą egzystencję przeważnie na zarobku. Zwolennicy własności małej dowodzą, że główną podstawę społeczeństw stanowią drobni właściciele, oni najlepiej przechowują tradycję i na nich społeczeństwo opierać się może i powinno pragnąć wytworzenia tej własności drobnej w najobszerniejszem słowa tego znaczeniu. Jakkolwiek tkwi w tych poglądach pewna słuszność, przyznać musimy, że wszelka jednostronność w układzie społeczeństwa nie może być ideałem; tyczy się to tak dobrze wyłącznej własności wielkiej, jak i małej.

W danym wypadku wyznać trzeba, że kraj oparty jedynie na własności drobnej, musi być względną barbarją. Oświata, nauki, sztuki, kunszty nie podupadną w nim w takim tylko razie, gdy społeczeństwo jest licznem, i zaprzątniętem sprawami rozwoju umysłowego i w ogólności cywilizacyjnego. Gdzie tych ostatnich warunków braknie, rozwój własności większej, w proporcjonalnem ustosunkowaniu ze średnią i drobną, zdaje się być niezbędnym.

Problemat to ciężki—niezmiernie ciężki, gdy teraz zważymy sobie, że kandydaci do emigracji znajdują się w dwóch najniższych kategorjach włościan, których zarobki nie są dostateczne, których wynagrodzenie nie zapewnia im egzystencji i że przeto potrzeba wytworzyć położenie takie, ażeby ludziom tym było lepiej, dobrze o tyle, iżby nie marzyli o wychodźctwie. Mądrość gminna doskonale uwydatniła ten swój programat dobrobytowy w szeregu przysłów takich, jak: «Ryba szuka gdzie głębiej, człowiek gdzie lepiej»; «Od dobra nie szukają dobra»; «Na to kura grzebie, żeby wygrze-

bała»... Wielki już krok naprzód, w stronę ideałów ogólnych, uczynił gmin tam wszędzie, gdzie po nad powyższe aforyzmy postawił antydoty refleksyjne: «Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma»; «Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej!»

Srodek radykalny polega na tem, aby w tym domu uczynić rzeczywiście «najlepiej». Nie sposób wszakże się łudzić, ażeby to polepszenie nastąpiło natychmiast. Trzeba na to czasu, dużo czasu... I żebyż jeno czasu tylko!

Ci, którym dziś jest bardzo źle, najprawdopodobniej wyemigrują, nie zaraz, to nieco później. Dbać wypada o zatrzymanie przynajmniej pozostałych, którzy jeszcze trzymają się jako tako, lecz z biegiem czasu mogliby się również dać opanować chęci opuszczenia kraju...

Brak zarobków — jak zaznaczyliśmy — jest jedną z najgłówniejszych przyczyn wychodźctwa. Trzeba przeto zarobek ten odnaleźć i dać... Ani choroba — ani jej leczenie nie są wcale nowe. Już proletarjat Rzymu pobudzał władców do budowania gmachów publicznych, do wznoszenia dzieł sztuki, pomników i t. p. Kultura naszego wieśniaka niewiele odbiegła od tamtych czasów, a rozejrzenie się w pewnikach teoretycznych okazuje, jaki to ogrom wiedzy ludzkiej czeka jeszcze na zastosowanie na każdem polu, w każdym kierunku i pod każdym względem... Dziś depczemy po utartych ścieżkach, przystosowując życie do trybów istniejących—przedwiecznych jak u nas.

Wiemy, że własność średnia upada. Obecne opłakane położenie obywateli ziemskich nakazuje zaprowadzenie ścisłej ekonomji i nie obarczanie budżetu zbytnim wydatkiem na służbę. Otóż, o ten to szkopuł rozbija się wszystko, wobec naczelnego wymagania: dostatniej płacy zarobkowej—dla potrzebujących zarobków.

Cóż więc tedy? Ratunek jedyny, podnieść własność średnią, uginającą się pod ciężarem rat Towarzystwa

kredytowego i długów prywatnych. Przesilenie rolnicze i inne klęski elementarne pchnęły obywateli w ręce lichwiarzy, doprowadziły do niewypłacalności. Pomoc im się należy od normalnych instytucyj kredytowych, ameljoracyjnych i ratunkowych, a pomoc ta objawić się musi w wytworzeniu takiej kombinacji finansowej, któraby dozwoliła dziś opłacane raty przepołowić. Główne to zadanie, główna rada, główny sposób ratunku. Niechby te raty płacono lat sto i dwieście — o to już mniejsza — płaciliby następcy i wnuki, lecz uratowany zagon dozwoliłby istnieć i doczekać się chwili oswobodzenia ziemi od ciężaru tak paraliżującego dziś najlepsze chęci rolnika. Pod tym względem rozgłośny w swoim czasie projekt p. Radziszewskiego, dążący ku oswobodzeniu organizmu własności średniej od nadmiernych długów, był jakby promieniem nadziei... Niestety, pomysł piękny i słuszny, okazał się w praktyce niewykonalnym. Naglące zatem potrzebny jest projekt inny, odpowiedniejszy i praktyczniejszy.

Obywatele ziemscy ograniczyli swe potrzeby do *minimum*; wskutek nizkich cen zboża zmuszeni byli obniżyć płacę najemnika. Wyczerpali wszelkie możebne środki ku utrzymaniu się przy ziemi, pomimo to znaczną ilość majątków rozparcelowano; z każdego podupadającego lub zwężonego dworu odeszła służba i nadal nie znajduje tu zarobku. Dopóki dworom działo się dobrze, o emigracji mowy nie było, być nie mogło: nie znajdowała ona dla siebie przyjaznego gruntu. Wzmocnienie przeto klasy obywateli ziemskich i zapewnienie przez to dobrobytu większej ilości służby dworskiej, powinno stać na pierwszym planie. Kredyt meljoracyjny, kredyty krótko-terminowe na zboże i jego sprzęt, wszystko to dążyć powinno do podtrzymania własności większej i średniej, gdyż jest to jedyny sposób ułatwienia zarobkowania włościanom bezrolnym i rolnym, zarobku potrzebującym.

Do innych, mniej lub więcej trwałych i skutecznych środków, dających zarobki, zaliczyć musimy budowę dróg podjazdowych w kraju, gdzie drogi gruntowe w złym są stanie, oraz użycie robotnika miejscowego do budowy dróg żelaznych. Ważne także znaczenie mogłoby mieć urządzenie państwowego biura pracy, zbierającego zewsząd wiadomości o tem, gdzie w całem państwie i jakiego potrzeba robotnika.

Na jednym poziomie z drogami podjazdowemi stanąćby mogła i budowa magazynów zbożowych zapasowych, których w kraju brak zupełny. Dalej regulacja brzegów rzek: Wisły, Buga, Narwi i innych. Samo tylko rozpoczęcie prac w tym kierunku zapewniłoby byt tysiącom, do emigracji dziś gotowym.

W innym znowu zakresie zjawisk należałoby koniecznie zapobiedz drobieniu się gospodarstw wiejskich. Włościanie, jak wiadomo, nie mają prawa dzielić się ziemią poniżej 6 morgów. Dzieje się jednak nie zupełnie i nie zawsze w myśl tego postanowienia. Gospodarkę 12-morgową dzielą na połówki dwoje z rodzeństwa, a gdy jest sześcioro, wypada na każdego po dwa morgi. Formalnie robi się podział na 2 części z imiennym zapisem na dwóch członków rodziny; pozostali «przystają» do tych części, to jest mają oni prawo uprawiać lub wydzierżawiać swoje dwumorgowe działki. W ten sposób gospodarki samodzielne, lub niezupełnie samodzielne, stają się wyrobniczemi. Przytem, same owe sześć morgów nie wystarczają do wykarmienia rodziny bez pomocy zarobków. Działek powinienby być nie mniejszym od 12-morgowego w niezłej glebie i 20-morgowego w pośledniejszej. Jakiekolwiek zresztą byłoby minimum, zabezpieczyć grunty od drobienia się może tylko prawo majoratu. Prawo to już było w swoim czasie stosowanem, później, ze zmianą wyobrażeń, zaniechane zostało, jednakże stanowi ono mocną rękojmię utrzymania gospodarki w jednej rodzinie i zapewnienia

jej zdolności do normalnej pracy. Regulując jednak stosunki w tej dziedzinie, należałoby dbać o sprawiedliwość względem młodszego także rodzeństwa. Gdyby np. przyjętą była zasada, że brat najstarszy otrzymuje 1/3 gospodarki na swą osobę, a z reszty robi spłaty pozostałemu rodzeństwu, mniej więcej w dwuletnich terminach, kwestja byłaby rozstrzygniętą jasno; młodsi z rodzeństwa wiedząc, że czekają ich niewielkie, zawczasu określone kwoty amortyzacyjne, garnęliby się do rzemiosł. Dziś, pewni będąc, że dostaną coś z gruntu, uczą się tylko siać, orać i młócić, objąwszy zaś swój działek całe życie cierpią nędzę, nie widząc innego dla niej ratunku nad wychodźctwo. Państwa monarchiczne zawsze się rządziły prawem majoratu i ludność wcale źle na tem nie wychodziła.

Gdyby zaś równolegle z majoratami stanęły szkoły rzemiosł dla ludu i popieranie przemysłu wiejskiego, pozostałby już tylko do zwalczenia okrutny wyzysk włościanina przez żydów.

Nie radzibyśmy powtarzać znanych obwinień rzucanych na żydów, a przecież niepodobna zaprzeczyć, że przy słabej inteligencji włościanina, stopień jego odporności nie daje gwarancji utrzymania się na normalnym, względem przebiegłego żyda, stanowisku tak w handlu, jak i wogóle we wszelkich obrotach gospodarskich i towarzyskich. Niedopuszczeni do guberni Cesarstwa, żydzi skupili się niepomiernie po miastach i miasteczkach zachodniego pasu. Straszliwe ciężary gmin żydowskich, utrzymanie kahałów, hederów, cadyków i całej zgrai uczących się, wszystko to opłaca kmiotek ze swoich kilku morgów, wplątany w sieć «cherymów» i urządzeń żydowskich, jak mucha w pajęczynę. Jeśli mowa o środkach przeciw-emigracyjnych, niepodobna pominąć kwestji żydowskiej. Trzeba być ślepym i głuchym, żeby nie spostrzegać ujemnego jej wpływu na włościan. Dla chłopa polskiego może być jedno tylko

życzenie i jedno stanowisko względem żydów: żebyż co najprędzej i jak najszerzej po całym świecie rozpłynął się ten żywioł pasożytny! Istniejące i formujące się coraz to nowe przepisy przeciwko żydom, do niczego nie prowadzą. Obchodzą je żydzi z największą łatwością. Należy: albo zapewnić im swobodę cyrkulacji po rozległych przestworzach całego państwa, lub raz na zawsze a tłumnie wysiedlić ich i skupić w jedno miejsce, w jedno samoistne, o własnych siłach żyjące państwo.

Sprawa zdrowia i leczenia ludu jest także nie małoważną. Chłop polski odżywia się licho, spożywa chleb i kartofle, mięsa, mleka, masła prawie nie widzi, jest najsłabszym ze wszystkich szczepów pobratymczych. Choruje też często i ciężko. Jak w zdrowiu żyd, tak w chorobie eksploatuje go felczer, znachor, «czarownica». Gdy się leczy prawidłowo, sam opłaca poradę, aptekę i szpital. Że zaś rzadko kiedy stać go na to wszystko, przeto najzwyklej wcale się nie leczy. Włóczy się z odpustu na odpust, od felczera do znachora, próbuje czy co nie pomoże—aż dopóki nie umrze. Zachodzi nagląca, do uczuć miłosierdzia i do godności cywilizacyjnej wieku odwołująca się, potrzeba zastosowania względem naszego chłopa instytucyj lekarskich, bezpłatnie udzielających porad i leków, instytucyj, utrzymywanych ze składek ogólnych na rzecz ubogich chorych.

Złożywszy to wszystko razem, powstaje pytanie najważniejsze: od czego zacząć? jaki całokształt pewności teoretycznych uważać za podstawowy? Dobrobyt materjalny? czy podniesienie poziomu oświaty? lub może inne jakie czynniki?

Rozumie się samo przez się, że najpożądańszem byłoby równoległe, całym frontem prowadzenie zaznaczonych powyżej przeobrażeń lub ulepszeń — choćby stopniowo, zwolna, w miarę sił i możności. Możność nasza społeczna jest na nieszczęście wielce ograniczoną.

Jak sądzimy, chodziłoby najpilniej o oswobodzenie organizmu włościańskiego od splotów nienormalnych, trapiących go obecnie. A więc: 1) starać się należy o uregulowanie opodatkowania ziemi i przeniesienie znacznej części ciężarów na inne procedery w kraju, oswobodziwszy przez to włościan od podatków nadmiernych, dla gospodarki zbyt uciążliwych. Dotyczy to podatków niestałych, gminnych, które rozłożone są zbyt nierównomiernie; 2) zapobiedz jaskrawym objawom eksploatacji żydowskiej i znęcaniu się znachorów, babek i felczerów; 3) wspierać uregulowanie kwestji działów; 4) dopomagać do rozszerzenia obecnej skali zajęć; 5) wytężyć wszelkie usiłowania w celu złamania lichwy i ułatwienia włościanom przystępu do taniego kredytu.

Gdy pierwsze nienormalności usunięte zostaną, wtedy pomyśleć już łatwiej o sposobach przygotowania włościanina do «samopomocy», do pracowania nad dobrobytem ekonomicznym, oraz nad podniesieniem przedsiębiorczości i cnót wyższego rzędu.

Pomnożenie szkół, przy równouprawnieniu języka ludu, zachęciłoby włościan do kształcenia się, obudziłoby większe zaufanie do nauczycieli. Szczególnie potrzebnemi byłyby szkółki agronomiczne, które prosperowaćby mogły we wsiach, zamieszkałych przez włościan wyjątkowo dobrze uprawiających rolę. Adepci, obok nauki rolnictwa, nabraliby pojęcia o hodowli ryb, pielęgnowaniu lasów, chowie pszczół, ulepszeniu inwentarza i t. p. Szkoły rzemieślnicze, zastosowane do potrzeb wiejskich lub przeróbki produktów krajowych, ogromnie przyczynićby się mogły do uwolnienia gminu naszego od gniotącej go niezaradności w odszukaniu zajęć zarobkowych... Wreszcie, jeśli już marzyć, to dlaczegóżby nie zamarzyć i o rozpowszechnieniu oświaty za pomocą tanich wydawnictw, zakładania czytelni, kółek rolniczych...

Zabrnęliśmy w przyszłość daleką... Tymczasem za nami sporo jeszcze pozostało realnego gruntu dla biedy i upodlenia, wobec których myśl o wiecach szkolnych lub rolniczych wydaje się poprostu utopją... Zajrzyjmy do gospodarki wieśniaka.

Wiemy, że w danej chwili połowa majątków w Królestwie ma nieuregulowane serwituty i *nolens volens* trzyma się z tej racji trzypolówki. Mniejsza o historyczny przewód tej sprawy od epoki uwłaszczenia. Dziś jest rzeczą zupełnie pewną, że uregulowanie serwitutów, t. j. natychmiastowe z niemi skończenie, stoi na czele wszelkich naszych zagadnień gospodarczych. Ku wspólnemu zadowoleniu i obywatela i włościanina, zniesienie serwitutów pomnożyłoby ilość gruntów włościańskich i podniosło dobrobyt kmiotka. Z drugiej strony, oswobodzenie obywatela od wiecznej zależności, ożywiłoby w nim nadzieję wyjścia z obecnego krytycznego stanu. A kropla nadziei dla nas — dzisiaj, to więcej zapewne, niż gdzieindziej ocean pewności. O ile dla majątków średnich szachownica uciążliwą była od samego początku, o tyle stała się ona uciążliwą obecnie i dla włościan. Gdyby w każdej wiosce cały obszar gruntów włościańskich — a *respective* i szlacheckich, podzielony był na cztery kategorje: 1) siedziba i ogrody, 2) ziemia orna, 3) łąki, 4) las, i gdyby każdemu właścicielowi wydzielono własność jego nie w szachownicy trzypolowej, lecz w osobnej kolonjalnej części, wówczas — i wówczas tylko możebnem byłoby rozpoczęcie uprawy roli racjonalnej i postępowej. Obecna szachownica dóbr włościańskich i szlacheckich jest tylko niewyczerpaną kopalnią pracy dla sędziów gminnych i rejentów, zabierając więcej może czasu na podróże do sądów, niźli na wyjazdy do świątyń pańskich.

Trudno także pominąć kwestję stempli notarjalnych, hamujących tranzakcje dzierżawne, sprzedażne i kontraktowe. Zmniejszyła ona znacznie ruch w poszuki-

waniu dogodniejszych dla danej jednostki warunków bytu, unieruchomiła przedsiębiorczość mas, obniżyła chęć do nabywania ziemi, wytwarzając natomiast nową formę ugód zastawnych, pogmatwała prawa własności, co kiedyś dotkliwie odezwać się musi.

Jeszcze jedno. Wobec złowrogich objawów wychodźctwa zagranicznego, naturalną jest kolej rzeczy, która doprowadziła do projektów skierowania emigrantów w kraje nadamurskie, usuryjskie i t. p. Rozumowaniu przewodniczyła tu zasada prosta: «Chcecie opuścić swą ziemię, gdzie wam źle, pragniecie otrzymać większe przestrzenie na własność. Nic przeciwko temu nie ma do nadmienienia. Oto czynimy zadość waszym życzeniom. W kraju z klimatem umiarkowanym dostaniecie sporo ziemi, pieniędzy na zagospodarowanie, przewiozą was darmo, będziecie żyć wyśmienicie». Nie wdajemy się w roztrząsanie takich przesłanek, jak «przejazd darmo» lub zapomoga, ułatwiona na zagospodarowanie się.

Tak czy inaczej, czyjaś kieszeń za te forszusy odpowiedzieć musi. Lecz wątpimy bardzo, czy w takiej nawet złotej oprawie zachęta trafi do przekonania włościan. Ulgi dla wychodźców z pewnością nie jednego mogą zachęcić. Lecz chłop nasz jest wielce niedowierzającym. Ma swoje wyrobione pojęcia na to konto. Agenci zagraniczni zawczasu postarali się mu wmówić, że idzie tu o proste «wysłanie» na Syberję. O Syberji zaś lud ma pojęcie takie: kraj to zimny, pusty, niech ręka Boska broni jak daleki; a przytem jest to goła skała, boć inaczej czyliżby wysyłano tam aresztantów po karę? Jeżeli zaś dodać do tego, że podatki opłacać trzeba, a do księdza najbliżej mil sto—nikt nie pojedzie, zwłaszcza, że agent brazylijski obiecał kraj mlekiem i miodem płynący, ciepło, owoce, swobodę, żadnych zgoła podatków, obfitość kościołów i t. p.

Tyle ze strony ciemnego ludu. Teraz co do nauki, ilekroć mowa o braku ziemi i kolonizacji, każe ona najpierw obejrzeć się dokoła siebie. Nikomu nie tajno, że Tow. kredytowe wystawia rok rocznie setki majątków na sprzedaż i nie znajdując nabywców, sprzedaje je niesłychanie tanio, za cenę długu. Nadto, w kraju mamy całe przestrzenie nieużytków i opoli poleśnych. Zgoda, że nieużytki nie nadają się często do uprawy, lecz opola (wytrzebiska), mają nieraz doskonałą ziemię. Z teoretycznego punktu widzenia, grunt ten mógłby pomieścić wszystkich obecnych i bodaj czy nie przyszłych naszych kandydatów do emigracji, a nabyćby go oni mogli bardzo tanio, bądź sami, bądź z pomocą banku włościańskiego. Dążący za ocean chętnie pozostaliby w domu, gdyby im powiedziano: «Macie w tymże powiecie lub guberni włókę gruntu, należność za nią rozłożymy na drobne raty, osiadajcie i pracujcie». Jeśli zaś amatorów na kolonje tego rodzaju dotychczas nie widać, musi być po temu jakaś przyczyna walna, jakaś główna wada swojskiego gruntu. Jednym z okrawków tej wady głównej jest okoliczność, że «nowina» ojczysta wymaga niemniejszej pracy, niemniejszego do koła siebie zachodu, jak grunt brazylijski; powtóre zaś, należy ona do jednej z klas opodatkowanej ziemi, jakkolwiek jest pustką w pełnem znaczeniu wyrazu. Gdyby taki nowoosiedleniec zwolnionym został na czas jakiś od podatków i otrzymał zapomogę na budowle i inwentarz—zapomogę nie przenoszącą i połowy kosztów na drogę zamorską—zostałby i pracował w kraju.

Należałoby, obok operacyj banku włościań skiego, wzmocnić nieco nasze «kasy gminne». Umieszczanie w tych kasach kapitałów luźnych na 6%, jest w obecnych warunkach dogodnem, lecz odsetek żądany przez kasę (8% od wypożyczającego na kupno ziemi) jest już za uciążliwy. Przy nieco obfitszym napływie kapitałów, stopy te procentowe mogą uledz obniżce. Nadto,

dla służących dworskich i wyrobników należałoby pozaprowadzać kasy oszczędności przymusowej, według typu stosowanego w Poznańskiem.

Ostateczną tedy syntezą naszych wywodów, obok pożądanych reform ustawodawczych, w kierunkach wytkniętych, jest: osiedlanie się ludu w kraju i kolonizacja wewnętrzna. Innego rozwiązania dla wycieńczającego nasz organizm wychodźctwa z domu — nie ma, być nie może.

# SPIS RZECZY.

# ERRATA.

| Str. | Wiersz | Od góry czy od dołu. | Zamiast. | Powinno być. |
|---|---|---|---|---|
| 13 | 8 | od dołu | Koanko | Kolanko. |
| 8 | 13 | od góry | batem nie | batem—nic! |
| 8 | 14 | » | kijem nie | kijem—nic! |
| 10 | 2 | od dołu | przecko | przećko. |
| 15 | 1 | od góry | z co tego | co z tego. |
| 16 | 19 | » | wprawdzie | wprowadzic. |
| 16 | 2 | od dołu | prawdawca | pracodawca. |
| 20 | 5 | » | nic | nie. |
| 21 | 6 | » | nie | nic. |
| 25 | 13 | od góry | gadany | gada:- ny. |
| 28 | 8 | » | gagać | gadać. |
| 28 | 9 | » | tylki | tyćki. |
| 28 | 9 | » | na nie | na nic. |
| 34 | 5 | » | hebe | Hebe. |
| 59 | 12 | » | nie tylko | nic tylko. |
| 77 | 18 | » | błaksze | błahsze. |
| 79 | 6 | » | przyjechać | przejechać. |
| 104 | 17 | » | cugi | cygi. |
| 152 | 11 | » | ziemie | ziemi. |
| 155 | 7 | od dołu | będze | będzie. |
| 161 | 8 | » | jemności | przyjemności |
| 166 | 7 | od góry | bobrowy | soboli. |